

Ewa Ostrowska

„Zabić ptaka”

Schabik

Trzasnęły drzwi wejściowe. Z takim hukiem, że niebezpiecznie zadrżała szyba w otwartym oknie.

- Obiad jest?! - krzyknął z przedpokoju ojciec.

A temu co odbiło?, pomyślała, wyłączając pośpiesznie adapter.

- Znowu słuchasz tych łomotów? - ojciec wpadł do pokoju z impetem. Usta miał mocno zaciśnięte. Znaczący: zły jak wszyscy diabli.

- Słucham muzyki.

- Idiotka! To ma być muzyka? - sapnął wściekle.

- Dla mnie muzyka.

- Olka! nie odszczekuj.

- Ja ci tylko wyjaśniam, tato. Są gusta i guściki.

- No właśnie. Guściki, guściki - powtórzył ojciec. - Na klatce schodowej słyszałem próbę twojego guściku. Co tak siedzisz? Obiad jest? Rusz się! Jestem głodny!

Już dawno nie widziała go tak rozwścieczonego. Opuściła głowę, poszła do kuchni. Pyzy, ulubiona potrawa ojca, czekają gotowe, przykryte ściereczką. Surówka z czerwonej kapusty w salaterce, jedynie doprawić. Garnek z gotującą się wodą pomrukuje na gazie. I nawet szarlotka w piekarniku pachnie cynamonem. Wczoraj przy kolacji ojciec, przysuwając talerz z odsmażonymi naprędce kartoflami, westchnął z żalosną rezygnacją: zjadłbym wreszcie coś dobrego. Zamiast oburzyć się na niego za wybrzydzenie, powiedzieć: a kiedy, do cholery, miałam ci to coś dobrego przyrządzić, skoro przez ostatni tydzień, ledwo wrócę z budy, sprzątam, szoruję, pastuję, wietrzę, trzepię, odwalając powakacyjne porządki - pomyślała tylko: biedny ojciec, pasę go albo grochówką z papierka, albo kartoflami, wszystko przez to generalne sprzątanie chałupy. Ojciec dziabnął widelcem kartofel; przecież rozumiem, Oluniu. że ci nielekkko, i szkoła, i prowadzenie domu, powiedział. Natychmiast poczuła się nędzną egoistką - dwa miesiące doskonałego lenistwa, palcem o palec nie ruszyła, a teraz wszystko zważyło się naraz, i mus łązić do budy. i mus odwalać porządki. Poprawię się, tato, obiecała, zamiast prac jutro zastony, zrobię ci twoje

ukochane pyzy. Ach, pyzy-pycha, pycha, rozczulił się ojciec, naprawdę zrobisz pyzy? Więc przez te cholerne pyzy, zamiast się wykuć o wędrówkach ludności świata, gotowała wieczorem mięso na farsz, przekręcała przez maszynkę, przesmażała z cebulką, a potem jeszcze, ostatnia kretyńka, zagniotła kruche ciasto na szarlotkę, i jeszcze jabłek nastrugała. A ten głupi Piecolog: Ola, wymień główne kierunki międzynarodowych migracji ludności. Eee, panie profesorze, więc tak... ece... Siadaj, Ola. Ale dwóci, świnią, nie zasunął, co zaraz na przerwie skomentowała Krystyna: dobrze być naczelnikowską córeczką, prawda, ludzie? A Magłowa po Krystynie oczkami świdrującymi: nie możesz dotąd przeżyć, że to ty nią nie jesteś, prawda, Krysiuniu? Krystyna zadarła hardo głowę: mój stary nie ma aż takich ambicji. Jemu wystarczy zwykła prezesura. Właśnie!, podchwyciła zaraz Iwona, a ty, Magłowa, co się tak podlizujesz Olce? Może chcesz przez nią załatwić awans dla swojej starej? Żeby ze sprzątaczką w geesie przeszła na sprzątaczkę do Urzędu? Cha! cha! cha! Świdry oczu Magłowej wbiły się natychmiast w Iwonę: a twojego starego, Iwonko, widziałam parę dni temu, jak dyrdał z tecuską pana prezesa dwa kroki za nim, piesek do nogi! Cha, cha, cha! I awantura, pożarły się okropnie. Podszedł Maciek: popatrz na nie. Olka, to jest widok. A gdyby im rzucić teraz brudasa, to byłby widok jeszcze lepszy. Joluska jednak czuwała: Maciusiu, pozwól na chwilę... Czego?, warknął, nie widzisz, że rozmawiam? Już po lekcjach, gdy wysypywali się z budy, Joluska zasyczała: ty, Olka, ja wszystko widzę. Odczep się od Maćka, dobrze? O, Boże święty, a wszystko przez te pyzy i Piecologa, który nie raczył wkropić gola. Ale Piecolog rzadko kiedy rypał gole. Kiedy już ani be, ani me, ani inne mru-mru, naprawdę, tym razem muszę, usprawiedliwił się zakłopotany i nieszczęśliwy. Proszę cię, naucz się na następną lekcję, zapytam, poprawię.

Wrzuciła pyzy na wrzątek, zamieszała, aby nie przywarły do dna garnka. Nawet u matki była dziś po szkole tylko chwilę, zmieniła wodę kwiatom i dalej, galopem do domu, dogodzić ojcu.

- Co z tym obiadem?

- Gotuje się, nie widzisz?

- Dopiero teraz? Nie mogłaś wcześniej? Nawet stołu nie nakryłaś!

- Zaraz nakryję-odpowiedziała, starając się zachować spokój. Kiedy jest zły, lepiej milczeć, nie wszczynać awantury. Ale co go tak ugryzło? Rozłożyła na stole serwetkę. Ułożyła sztucce, postawiła salaterkę z surówką.

- Za to łomotów słuchałaś - parsknął ojciec, brzęknął widelcem. -Idiotka.

A jednak to bardzo trudne: udawać spokój. Zwłaszcza jeśli się jest obrażanym bez powodu. Matka potrafiła. Matka po prostu opuszczała głowę, jakby w akcie postuszeństwa i pokory; a na jej usta wypełzał przeprasający uśmiech.

- Naprawdę - zasapał znów ojciec - mam tego dość!

Na wardze kropelka słońca. Chyba się nie rozbeczę?, pomyślała. Zamieszała jeszcze raz pyzy: gotowe. Matka pyzami dogadzała ojcu kilka razy w miesiącu. Olunia, wspominał ojciec, pamiętasz, jakie wspaniałe były pyzy matki?

Tak. Były wspaniałe. Zręczne kule o mięsistej, lśniącej powierzchni. Wiele razy próbowała zagnieść takie same, przepis w książce kucharskiej wydawał się dziecinnie prosty, ale wychodziły albo twarde gnioty, albo kluchy rozklejające się w mazistą paciaję.

- Długo mam jeszcze czekać? Co się tak guzdrasz!

Ktoś ojcu nadepnął na odcisk, a odgrywa się na mnie, pomyślała. Tymczasem pyzy wypłynęły na powierzchnię wody. Równe, okrągłe, lśniące. I żadna z nich nie rozciapała się, wszystkie sprężyste, gładkie. Dziś po raz pierwszy pyzy się udały. Wyglądały tak, jakby je naprawdę gotowała matka. Milcząc, wciąż z tą kropelką słońca na wardze, ułożyła pyzy w piramidkę na półmisku: w ten sposób układała je matka, podając ojcu obiad.

Dużo kropelek. Deszcz. I nagle pragnienie, co za głupota!, żeby ojciec ten deszcz zauważył, żeby spytał: Olu, co ci? Lecz ojciec nawet nie spojrzał na nią, tapczywie burzył symetrię piramidki, nagarniał górę surówki na swój talerz. Zawsze kochał jedzenie. Przyjemność jego życia: jeść. Dużo i smacznie. Nawet teraz, chociaż czymś rozwścieczony, rozgniał z lubością pyzowe ciasto mięsistymi, pełnymi wargami.

Gdybym była wielką, tłustą pyzą, pomyślała, zwróciłby na mnie uwagę, powiedział: ach, co za pyza, pycha, pycha. Stała. Przyglądała się, już suchymi oczami, jak ojciec je.

- Nie jesz obiadu? - zamamrotał, nadgryzając lśniące ciasto.

- Nie chce mi się - odpowiedziała i poszła do swojego pokoju.

Ojciec został naczelnikiem Orzelska niespodziewanie. Nie zanosilo się na żaden awans. Cztery lata temu wskoczył na kierownika służby rolnej: no, żeby mnie, a nie Banaszaka? - podsumował to wydarzenie. Biedny

Banaszak, tak liczył, że po odejściu Zielińskiego na emeryturę przeniesie się do gabineciku, i już widział oczami duszy tę tabliczkę na drzwiach: P. BANASZAK KIEROWNIK - i nawet się do partii zapisał, bo jak tu inaczej liczyć na gabinecik? No, no, a tu mnie, bezpartyjnego - cud nad Wisłą chyba?

Wraz z gabinetem kierownika w orzelskim Urzędzie Miasta i Gminy ojciec otrzymał również przydział na upragnione, od lat oczekiwane mieszkanie w blokach. A to dopiero ewenement, powiedział, pewno liczą, że mnie przekupią. Najpierw gabinet, z jednym co prawda oknem i zwykłym biurkiem nie politurowanym, ale za to z wizytówką i własną pieczętką, a potem szybko, żeby facet nie ostygł z wrażenia i był wciąż miękki jak wosk, rąbnąć mu i mieszkanko, a potem jeszcze szybciej podsunąć deklarację do wypełnienia. Później taki spaślak partyjny zadziarcze w telewizji: nasze szeregi rosną nieustannie. Cha, cha, cha, rosną! dobre sobie! A wiesz, Olunia, co ja teraz szybko zrobię? Matka, słyszysz mnie? Zostaw te gary, chodź, posłuchaj, co teraz robi twój mąż, na którym im musi bardzo zależeć, skoro go tak przekupują. Otóż on natychmiast złoży podanie o telefon! I niech mi kaktus na rękę wyrośnie, jeżeli nie założą tego telefonu! Bo to wszystko zgodnie z programem przerabiania mnie na wosk.

Złożył i dostał. A ja i tak się nie zapiszę, powiedział. Najwyżej wywalą mnie z gabinetu. Ale mieszkania nie zabiorą, telefonu nie odetną.

Pamięta doskonale ten moment: jeszcze na podłodze walają się kawałki kabla, porzucone przez monterów, którzy dopiero co wyszli, zostawiając po sobie również trochę obłupanego tynku - a na stoliku przy tapczanie, tuż obok nocnej lampki, nowiutki, w kolorze kości słoniowej aparat. Nawet matka porzuciła swoją kuchnię: stoi w drzwiach pokoju gruba, oparta plecami o framugę i wpatruje się w telefon niczym sroka w gnat. I z kim wy tu, w Orzelsku, będziecie prowadzić telefoniczne rozmowy? - w głosie matki można dosłyszeć jawną drwinę, a i uśmiech jest jakby ironiczny, nie przeprasający. Obrusza się więc na matkę: jak to z kim? W mojej klasie aż trzy osoby mają telefon! Maciek Komornicki, Kryśka Paszyń-ska i Dudek Kaczmarek. Ojciec parska: A ty, matka?, z kim byś chciała sobie pogawędzić? Masz kogoś takiego? Proszę, proszę, nie krępuj się, wykręć numer i porozmawiaj inteligentnie z zegarynką! Och, Boże, pamięta doskonale, jaki śmiech wywołały w niej te słowa ojca: inteligentnie z zegarynką! Ojciec również się śmieje z matki: zawsze możesz zamówić budzenie albo zadzwonić do Maniochy: dzień dobry, czy schab już dowieźli! No, proszę cię, matka, dzwoń, nie krępuj się! A ona. wciąż jeszcze oparta plecami o framugę, zaczyna pochylać głowę w przeprasającym skłonie, niżej i niżej, jakby w rytm ich zespolonego śmiechu. Bo ty, matka, mówi ojciec - jest zbyt zadowolony z posiadania telefonu, aby urządzić matce awanturę - jak już coś powiesz... Lepiej więc milcz!, ucina ojciec z nagłym gniewem. Mogę zadzwonić pierwsza, tato? pozwól, pozwól! do Maćka! Całkiem zgłupieje z wrażenia, że mam telefon! Nie, Ola, najpierw ja, odpowiada ojciec, a wiesz do kogo zadzwonię? Do naszego orzelskiego pierwszego! I co ty na to. Olunia? Powiem: halo, towarzyszu Jańczak, jak się macie? To ja, obywatel Jerzy Marciniak. Ależ nie, towarzyszu, nie w służbowej sprawie, ja takiej do was nie mam, ja chcę wam podziękować. No, nie udawajcie, że nie wiecie, przecież każde podanko musicie zaopiniować, wyrazić swoją zgodę podpisem. Bo partia czuwa, partia przewodzi... Dokąd to, matka, co to za ostentacja? Ale matki już nie ma w drzwiach, słysząc jej ciężkie kroki w przedpokoju. Obraziła się, komentuje ojciec, ciekawe, czy za zegarynkę, czy za Jańczaka. A ty co sądzisz. Olu, powiedz mu tak? Patrzy więc na ojca z przestraczem i jednoczesnym podziwem: naprawdę tak byś odważył się powiedzieć, tato? Ojciec jednak odkłada słuchawkę, śmieje się: za każdym razem, Olunia, gdy go spotkam, tak mu mówię. Jańczak woli przejść na drugą stronę ulicy, niż spotkać się ze mną. W kuchni radio gra zbyt głośno. Co matka chce zagłuszyć? ...Słyszała do warg kropelka słońca, a ty mi nic nie odpowiadasz i jesz zielone winogrona... I czemu ta cholerna baba tak wyje? Matka!, woła ojciec, ścisź ją, do diabła! Matka zawsze przy tym wyjcu nastawia tak głośno, że oszaleć można.

Podeszła do okna. Przejechała palcem po szybie, zostawiając tłusty ślad. Brudna. Wszystkie okna jeszcze trzeba umyć.

Kiedyś jak papuga powtarzała za ojcem: ale ryczy, ścisź ją, do diabła, mamo!

Uśmiechnęła się. Wybrała płytę z Ewą Demarczyk. Nastawiła cichutko: A może byśmy tak, najmilszy, wpadli na dzień do Tomaszowa?...

Adapter jest starym, przedpotopowym gratem. Ma ze dwadzieścia lat. Odkąd pamięta, zawsze był. Jeszcze w tamtym mieszkaniu, w tej dwu-metrowej klitce: schowany w pudle, upchnięty pod szafą.

Matka podczas comiesięcznych, generalnych porządków wyciągała pudło, przecierała ściereczką. Kupiłam go za swoją pierwszą pensję, powiedziała kiedyś.

Wystarczy przymknąć oczy i od razu matka - gruba, spocona, na kolanach - pochyla się nad pudłem. I siebie też widzi - chudą jak patyk smarkulę, nagle ogromnie zdumioną: ty pracowałaś kiedykolwiek, mamo? Matka upycha odkurzone pudło z adapterem pod szafę: dawno, dawno temu, Olu. mówi. Tak dawno, dodaje matka, że wydaje się to być nieprawdą. Ręce matki opadają na kolana, mną nerwowo fartuch, szarpią nim, jakby zrozpaczone wywołanym wspomnieniem tego czegoś, co działo się tak okropnie dawno; lecz twarz matki jaśnieje, a jej oczy błękitnieją i są dwoma czystymi jeziorkami, i tymi jeziorkami matka wpatruje się przed siebie - prosto w tę ohydną, starą szafę, i odzywa się cicho, prawie niedosłyszalnie: to były jednak czasy... Jedyne, wspaniałe, piękne. I z czystych jeziorok wypływają dwa strumyki. Patrzcie no, matka płacze, rozczulona czymś, co było dawno i wydaje się nieprawdą.

...A ty mi nic nie odpowiadasz i jesz zielone winogrona... - śpiewa Ewa Demarczyk. Zlizując słoń kropelkę z wargi, wyłączyła pudło po matce.

z/.mieniła stronę płyty.

Przeprowadzili się do bloków i matka powiedziała: może przyda ci się mój adapter, Oluniu? Kup płyty, słuchaj muzyki. Byle nie tych nowomodnych łomotów!, zaprotestował ojciec, uszy puchną! Wsadziła pudło na półkę w swoim regale. Też coś! Kto dziś używa adapteru?! Mógłbyś mi kupić magnetofon, tato! Paszyńska ma, Kaczmarek ma, Węcel ma, Komornicki to ma hi-fi, a ja, śmiechu warte, pudło od matki! Czyja kradnę?, zdenerwował się ojciec, a potem, chcąc ją udobruchać, zażartował: za pierwszą naczelnikowską pensję ci kupię. Obraziła się naprawdę. Wolne żarty, to znaczy tyle samo. co na święty nigdy. Trudno, na bezrybiu i rak ryba, niech będzie ten wrak. Wydają trochę fajnych przebojów na singlach. Wrak chrzęści, skrzeczy, pozwoli jednak być na bieżąco. Tranzystorowe radyjko matki nie ma trójki, to na czym, do cholery, słuchać listy przebojów?

No i patrzcie, ojciec został naczelnikiem. Jeszcze go, co prawda, nie mianowali, lecz to kwestia czasu. I słowa dotrzymał, kupił magnet. Razem z radiem. Więc i trójkę teraz ma, i listę przebojów, a woli słuchać zdartej płyty na zdartym adapterze.

...Taki śmieszny jesteś pod oknem... Gdyby ktokolwiek z klasy wiedział, czego ona słucha i kogo, dopiero byłby ubaw. Bo kto dziś słucha jakiejś Demarczyk?

Wydałem na ciebie kupę forsy, zaciągnąłem pożyczkę, a ty wciąż i wciąż chrzęścisz tym gratem! Wyrzuć go wreszcie na śmietnik, Olka! Nie, tato, nie wyrzucę, nigdy, nigdy! Ale po co ci taka ruina, do diabła, skoro masz już wreszcie upragniony magnet? Ty wiesz, ile toto ma lat? To jeszcze matka kupowała... Mój Boże, Ola, znowu łyzy? Teraz, Olunia, kiedy zostałem naczelnikiem, kupię ci i wideo. A tak, tak! bo czemu nie? i wideo również! Cha, cha, cha! Olunia, niech żyją węgorze!

Bo Jurczyk z Cieślakiem wpadli właśnie przez węgorze. Od lat kłusowali na Głębokim, dziesięć kilometrów od Orzelska, i chyba nawet przedszkolaki wiedziały, że kiedy ciemnogrnatowy fiat Jurczyka wczesnym rankiem wjeżdża szosą od strony Grobek w ulicę Karłowicza, to naczelnik nie wraca z podróży

służbowej ani krajoznawczej wycieczki po gminie, lecz właśnie z Głębokiego, i wystarczy unieść pokrywę bagażnika, aby znaleźć w nim sznury z hakami, zwinięty ponton, krótkie wiosła oraz worek z ruszającymi się węgorzami. Wszyscy wiedzieli, że Jurczyk ze swoim zastępcą Cieślakiem uprawiają namiętnie ten proceder. Głębokie to jezioro pegeerowskie, przepływowe, ryba się tam trzyma doskonale, a węgorzy bez liku. Jurczyk zresztą specjalnie się nie krył. Ileż to razy ojciec przynosił do domu żywy, śliski prezent, którym musiał się dalej sam zajmować. Matka, tak posłuszna we wszystkim, nie chciała węgorzy ani jeść, ani ich wkładać do soli, aby się wytarły. Nie, mówiła z niezwykłą jak na nią stanowczością, to bestialstwo, zabij je przynajmniej od razu, niech się nie męczą. Cóż za litościwa osoba z tej naszej matki, kpił ojciec, pajęczki też, zamiast rozgnieść, wyrzuca za okno. Im więcej soli, tym lepiej, matka, bo tym szybciej węgorzki się wytrą z śluzu. A węgorzki to pycha przecież, dawaj, Ola, sól, mówił ojciec.

Wszyscy potem zgodnie twierdzili, że ktoś doniósł. I to z premedytacją, bo nie do „swoich”, lecz do obcych. Czyli takich, którym nie dasz w łapę. Aż w województwa była ta drogówka, ustawiona z radarem tuż przy roгатce ulicy Karłowicza. Zatrzymano fiata niby za szybkość, ale to pozór, głośiła orzelska plotka, ta kolejkowa zwłaszcza; w długich kolejkach po mięso lub proszek trzeba o czymś rozmawiać, to najlepiej o bliźnich, a już takie wydarzenie, jak węgorzowa wpadka naczelnika miasta, nie może w kolejkach przejść bez echa.

Obca drogówka zatrzymała, a Jurczyk, dureń, zamiast gębę w kubęł, opowiadał śmiejąc się z zadowoleniem ojciec, zaczął się stawiać. Że niech lepiej pilnują pijaczków za kierownicą, a nie naczelnika i jego zastępcy, przecież lecieli zaledwie siedemdziesiątką. To pokazali im, co mogą, sprawdzili wóz dokładnie, niczym na przeglądzie technicznym, od wycieraczek po hamulec ręczny. I chociaż był wczesny ranek, ludzie z okien wypatrzyli, zebrał się tłumek, Jurczyk posiniał: jak to, jego? naczelnika? przy społeczeństwie? tak kontrolują jak jakiegoś

przestępcę? Więc im

coś zasunął, że przekraczają swoje kompetencje; no, to mu pokazali te kompetencje na komendzie wojewódzkiej, i tak skończyli obaj, i Jurczyk, i Cieślak. Naczelnik i zastępca. Węgorzków nie za wiele, pięć sztuk, ile wszystko, co trzeba w bagażniku, nawet żabki żywe na przynętę. Kolegium, kilkadziesiąt patyków grzywny na łeb, przypadek fiata, zielona : raweczka dla obu, za kłusownictwo zakaz zajmowania stanowisk, he, he, ale wpadka, co, Oluniu?, pokazowa, jedyna w swoim rodzaju.

Bardzo był wówczas usatysfakcjonowany. Nie cierpiał ani Jurczyka, ani jego zastępcy. Dwa trepy, mawiał zawsze.

Płyta się skończyła, zazgrzytała igła. Uśmiechając się gorzko, pomyślała, że wtedy jeszcze nie raziła jej ani ta satysfakcja ojca, ani te węgorzki, które przynosił od nie cierpianych i pogardzanych przez siebie trepów. Cmokał tłustymi od węgorzy wargami: pycha, Olu, prawdziwa pycha.

Tak, wtedy niewiele mnie raziło. Chyba w ogóle nic mnie nie raziło. W ojcu. Bo ty, mammo, raziłaś mnie bardzo. Gruba, niczego nie rozumiejąca, głupia po prostu. Od rana do wieczora zajęta domem, garami. Niczym więcej. Nawet gazety do ręki nie. Nawet na film w telewizji nie. Ślepy kret. W przeciwieństwie do ojca. Z ojcem można porozmawiać na każdy temat. I ojciec ma poglądy.

- Ma? - dotknęła płyty z Ewą Demarczyk. Kupiła tę płytę dopiero niedawno, w antykwariacie w Grobkach. Zniszczona okładka, a i płyta mocno zdarta. Widocznie ten ktoś, kto jej słuchał, słuchał często, i może jemu też u warg kropelka słońca... zanim oddał w komis do sprzedania?

Pamięta: przesłuchując nowy nabytek, nastawiła zbyt głośno adapter. Co to?, zapytał zdumiony ojciec, zaglądając do pokoju. Masz płytę z tym wyjcem? Tak, tato. Wzruszył ramionami: kwestia gustu, rzecz jasna. Ale

kiedyś ci się to nie podobało.

Cóż mu miała odpowiedzieć? Że kiedyś nie oznacza zawsze? I że tak wiele rzeczy i spraw, które się kiedyś podobały, teraz przestało się podobać? I że kiedyś wierzyła bez żadnych, najmniejszych zastrzeżeń w każde słowo usłyszane od niego, nie poddawała żadnego analizie, bo i po co? Skoro on, ojciec, coś mówi, to znaczy, że ma rację.

Odłożyła płytę na półkę, między inne płyty. Usłyszała szuranie krzesła za ścianą, te blokowe mieszkania są takie akustyczne. Pewno ojciec skończył jeść. Trzeba od razu pozmywać, bo naczynia zaschną. Najlepiej wszystko robić od ręki. Matka niczego nie zostawiała „na później”.

Ojciec wciąż siedział przy stole. Talerz odsunął. Zmiotł pyzy co do sztuki. I prawie całą surówkę. Palił teraz papierosa.

Coś jednak się stało, pomyślała, puszczając wodę do zlewu. Ojciec palił papierosy w wyjątkowych okolicznościach. Kiedy go coś mocno siekło albo kiedy był czymś szczególnie ucieszony.

- Nie zostanę naczelnikiem - odezwał się.

Spojrzała na niego uważnie. Bredzi? Ale ojciec nie wyglądał na takiego, który bredzi. Był po prostu załamany: kąciki jego pełnych ust drżały. Aż tak mu na tym zależało?, pomyślała.

- Jakaś nowa plota! Bo niby dlaczego? Wypuścił dym. Zaciągnął się mocno, bardzo mocno.

- Co za pytanie! - wzruszył ramionami. - Przecież nie jestem ich. Dotąd nie wstąpiłem w ich zwarte szeregi. A tylko partyjni mają prawo zajmować w tym kraju stanowiska.

Tę śpiewkę znała na pamięć. Ulubiony refren ojca, któremu jednak nie sposób odmówić racji. Bo jeżeli ojca nie zatwierdzili, to jest naprawdę ostatnie draństwo. Od trzech miesięcy już pełnił obowiązki zawieszono go w czynnościach służbowych Jurczyka. I nikt nie miał żadnych wątpliwości, jak Orzelsk długi i szeroki, że oficjalne mianowanie nastąpi lada dzień. W każdym razie szanowne orzelskie plotkary takowych nie miały i uśmiechały się słodziutko: jak się miewasz, Olu? Co słysząc u tatusia? Rzygać się chciało, ale cóż, takie życie, niech żyje nowy król; chociaż pamiętała, że jeszcze zanim wojewoda ustanowił ojca peo, te same szanowne panie stawiały wyłącznie na Paszyńskiego, bo Paszyński był na ty z samym wice.

- Paszyński?-zapytała. Ojciec roześmiał się ponuro.

- Chyba zgłupiałaś. Paszyński by chciał i smród mi stale robił, wiem, bo mnie Banaszak ciągle przed nim ostrzegał, ale co tam Paszyński! -plotka, szarak, chociaż partyjny i z plecami. Wsadzają swojego. Stamtąd.

- Stamtąd to znaczy skąd konkretnie?

- Idiotka. Coś ty nagle nie z tego świata? Jest tylko jedno takie miejsce, z którego się wskakuje na wolne stołki. Nazywa się komitet, zapomniałaś? - Wściekł się, zacisnął usta, rzucił gwałtownie: - Draństwo!

- Może to jednak jakaś plotka?

- Był teleks.

- Stamtąd?

- Och, Olka, nie denerwuj mnie! Przecież muszą zachowywać pozory!

Od wojewody, głupia!

Wyduszał papierosa, jakby ten nieszczęsny papieros był właśnie wojewodą; mściwie, z wściekłością.

- Trzy miesiące wodzili mnie za nos, wojewoda kawką częstował, a tu!... -wstał, odsuwając krzesło tak gwałtownie, że upadło. - A wystarczyłoby przystać do tej zgrai! I wówczas byłbym dobry, i nadawałbym się!

- Muszą mieć jakąś motywację - zaczęła, ale ojciec przerwał ze złością:

Naprawdę, Olka, ostatnio mnie zdumiewasz! Jaką motywację, do diabła? Skoro przez trzy miesiące nadawałem się, to tak nagle przestałem się nadawać?

Trudno było odmówić logiki temu pytaniu. Draństwo, pomyślała, ostatnie. Ale pochyliła się nad zlewem, chowając przed ojcem twarz. Bo tak naprawdę, ta wiadomość początkowo piorunująca teraz zaczęła cieszyć. Tak bardzo pragnęła swojemu ojcu ufać jak dawniej, wierzyć w jego słowa jak dawniej, lecz począwszy od tego zamszu, w który tak skwapliwie wskoczył jadąc do wojewody, a skończywszy na kulce cielecej, którą też ze skwapliwością upychał w lodówce przed paroma dniami, naczelnikowanie ojca przyniosło tyle wątpliwości, obaw, rozterek, że pomyślała ponownie: no i bardzo dobrze się stało. Nie musisz być naczelnikiem.

- Jańczak nachodził mnie co drugi dzień, podsuwał deklarację: tylko wypełnijcie, naczelniku, staż kandydacki wam skrócimy.

- A ty co?

- Ja? Jak to: co? Powtarzałem niezmiennie: pana partia będzie musiała bez mojego udziału wieść naród do dobrobytu! - kopnął leżące krzesło. - Od razu sobie po teleksie pomyślałem, że to robota Jańczaka. Już



on mi wystawił opinię! Puściła większy strumień wody. Za gorąca, parzy. Pomyślała: mój Boże,tato!

Dopiero wczoraj widziała ojca razem z Jańczakiem. Wracła od matki, a ojciec sunął rzęchem środkiem jezdni, obok niego siedział Jańczak. Może by nie zauważyła, lecz rzęch bryznął fontanną brudnej wody, wjeżdżając z fasonem prosto w sam środek kałuży. Posyłając za nim niezłą wiązanę, zobaczyła wyraźnie: jej ojciec wiezie orzelskiego pierwszego i taki jest zaaferowany rozmową, taki tryskający uśmiechami, że bożego świata nie widzi, ani kałuży, ani rodzonej córki, którą ochlapał niekiepsko. Znając miejsce zamieszkania Jańczaka i wiedząc, że jego ford Alosza, czyli zaporożec stoi w warsztacie Kołodziejczyka, bo czy cokolwiek się w Orzelsku ukryje?, wysnuła jedyny możliwy wniosek: ojciec usłużnie odwozi Jańczaka do domu. Cóż za wykwinna uprzejmość w stosunku do kogoś, komu podobno za każdym razem udowadnia się trepowatość.

- A Paszyński będzie miał teraz radochę-powiedział ojciec. Podniósł krzesło. Pomilczał, pomilczał, w końcu się odezwał: - No, ale jemu też przeszło koło nosa. chociaż jest z wice na ty. Dostanę herbaty?

- Tak, tato.

- To pójdę się położyć. Głowa mi pęka. Gdzie proszki?

- W apteczce.

- Herbatę przynieś razem z proszkiem.

- Dobrze, tato.

Bezkrólewie po wpadce Jurczyka trwały parę tygodni. Ojciec wracał wtedy z pracy podminowany, jakby oczekujący. Wszystkim orzelskim paniom w kolejkach sklepowych, pod kioskami „Ruchu” i gdzie bądź na ulicy odpadały jęzory. Krystyna w budzie zadzierła brodę coraz wyżej, dając wszem i wobec do zrozumienia, że nikt inny, jedynie jej stary nadaje się na to wybitne stanowisko.

Trudno nie pamiętać: pierwszy wstrząs. Ojciec łyka pośpiesznie kupne pierożki z kapustą. Nie ma czasu na gotowanie wymyślnych obiadków, przed końcem roku szkolnego, zamiast przystopować, gnają z materiałem. W garmażerze były akurat mrożone pierożki, jak przyjemnie-obiadek będzie w dziesięć minut, ale ojciec nienawidzi mrożonek; przygotowana więc na wymówkę, przygląda się w zdumieniu, jak te pierożki wsuwa gładko i ze smakiem. Przygotuj mi. Oluniu, mówi ojciec między jednym pierożkiem a drugim, moją zamszą marynarkę. I czy moja koszula w niebieskie paseczki jest czysta, Oluniu? O mało nie zadławiła się swoim pierogiem. Zamszą marynara tudzież koszula w błękitne paseczki to najbardziej wyszukany, uroczysty ubiór ojca, nawet nie w każdą niedzielę idzie w nim do kościoła. A co to za święto?, zapytała. Jadę do wojewody, odpowiedział ojciec z dumą, pycha pierożki, Olu, brawo. Odsunął talerz, wyciągnął paczkę klubowych, zaciągnął się dymem. Rozumiesz, Olu, dopowiedział napuszonym głosem, wezwano mnie. Sam wojewoda.

Wojewoda? Aż sam wojewoda, no. no. I patrzyła na swojego ojca nie rozumiejąc - a może ją podpuszcza? Kpi? Dotychczasowy podział świata.

dokonywany przez ojca, był zupełnie nieskomplikowany: po jednej stronie znajdują się partyjni, a po drugiej - wszyscy uczciwi ludzie. Im większy partyjniak, tym gorszy. Na tych pokazywanych w dziennikach telewizyjnych ojciec wprost nie mógł patrzeć. Obdarzał każdego mało życzliwym komentarzem. Popatrz, popatrz, Ola, jaki spasiony! A tamten, popatrz no tylko, na gębie ma wypisane złodziejstwo! Wszyscy zaś razem, ci mniejsi i wielcy, systematycznie doprowadzają nieszczęsny kraj do kolejnych kryzysów, a tę resztę narodu zamieniają w roboli, rozpijają wodą, ogłupiają i okłamują. Przyjmowała taki podział za faktyczny. Razem z ojcem zaciskała pięści. Pogardzała tymi, którymi on pogardzał. Komuś trzeba ufać. Komuś należy wierzyć. A ojciec miał poglądy i był nie przekupny. I udowadniał każdego nieomal dnia, że gdyby się wyparł swoich poglądów lub gdyby żyli w innym systemie - żyliby dobrze, dostatnio i w ogóle wspaniale. Jak ludzie, a nie jak bydło. Wystarczyło, aby przypomniawszy sobie ich dawną klitkę: oto dowód. Mieszkanie? To nazywać mieszkaniem? To klatka dla bydła, mawiał ojciec. Poddasze w drewniaku. Takich jeszcze wiele stoi przy orzelskich ulicach. Jeszcze nie wszystkie rozebrano, nie przeniesiono do bloków ich lokatorów. Ojciec dostał dwupokojowe mieszkanie dopiero wtedy, gdy liczyli, że go skaptują. Przetrzymali mnie, dranie, mówił ojciec. Nigdy, Ola, nie zapomnij tej przestrzeni życiowej, na jaką ciebie od urodzenia przez ponad dwanaście lat twojego życia skazali oni. Ta klatka to właśnie dzięki nim. Pamiętaj o niej. Pamiętaj również, że gdybym się do nich zapisał, nic więcej, tylko zapisał - już dawno mieszkalibyśmy jak ludzie. Ile ja podań złożyłem, ile dróg wydeptałem. Zawsze jednakowa odpowiedź: że inni mają liczniejsze rodziny niż moja, a mieszkają w podobnych warunkach. Za to do tych nowych mieszkań z centralnym, gazem i ciepłą wodą wprowadzać swoich, jakby ich nie obowiązywała kolejka przydziału, to można? Miał rację, Paszyńska już dawno zapomniawszy, jak wygląda mycie się w misce; jest jedynaczką, więc Paszyńskich też tylko troje, a chatę dostali przed wiekami i to trzypokojową nawet. No więc widzisz, Ola, tak to jest. ale Paszyński partyjny, a ja nie.

Sam wojewoda, osobiście, Oluniu, podkreślił znowu z satysfakcją ojciec.

Usta miał syte, zaokrąglone, pełne. A powinien je zaciskać ze złością. Powinien się oburzać. Powinien być zaskoczony i pełen pogardy, przecież takim ważnym partyjniakom nie podaje się ręki.

I od razu, ciągnął ojciec, te wszystkie tutejsze Banaszaki i inne Paszyńskie... Cha, cha, cha, bo rozumiesz, Olunia, za godzinę pół Orzelska już będzie wiedziało, że do kierownika służby rolnej był teleks od wojewody.

Uroczysty zamsz, koszula równie uroczysta: w błękitne paseczki. Bo sam wojewoda. Teleksem.

i

Lecz ojciec nie zauważył jej spojrzenia, sycił się swoim sukcesem, zaciągał klubowym, kończył: to jasne, Olunia, po co. No, bo kto inny stąd? Taki Paszyński? Trep, ale wiem od jego sekretarki, że nawet matury nie ma. Dobrze sobie, co, Ola? Facet trzęsie geesem, odpowiada za miliony, a nie ma matury. Ot, Polska.

Zaciągnął się kolejnym dymkiem. Zaciśnął nagle mściwie usta: a Paszyński, dureń!, już był pewien, że jego! Plecy ma jak stąd do województwa! A tu figa. Ot, i nie jego, ale mnie. Tak więc, córko, możesz mi pogratulować. Będiesz miała ojca naczelnika.

Powinłam była go wówczas zapytać, pomyślała, wycierając ostatni talerz, czy już do nich przystał.

Schowała naczynia do kredensu. Jeszcze przetrzeć te cholerne płytki pecewu, każdy ślad na nich widać.

Ale nie zapytałam, pomyślała, pamiętam, że odczyściłam mu ten jego uroczysty, wyjątkowy zamsz, a niech tam; on siedział, przeciągał się, wreszcie ziewnął: pójdę się trochę zdrzemnąć, Olunia, zbyt dużo przeżyć jak na jeden dzień. Ja, zwykły kierownik służby rolnej - i do mnie, osobiście sam wojewoda! No, no. Ja. Jerzy Marciniak i proszę - nie Paszyński, lecz ja: naczelnik. Trudno nie pamiętać: jak obuchem.

I poszedł uciąć swoją zwykłą poobiednią drzemkę, czy może pomarzyć o zaszczycie uściśnięcia dłoni wojewody, a ja czym prędzej do siebie, i ryczałam jak głupia całe popołudnie.

Przeplukowała ścierkę, wykręciła, rozwiesiła. Woda w plastikowym wiaderku była prawie czysta. Jeżeli codziennie przeciera się podłogę, jest mniej pracy. Matka podłogę przecierała codziennie, a woda w plastikowym wiaderku też była prawie czysta. Nie jak po przetarciu podłogi.

Ciekawe, pomyślała, wycierając teraz wiaderko do sucha, gdyby do naszej rodziny zastosować twój podział, tato, to jak? Partyjnych brak, więc powinni być sami robol, a odkąd pamiętam, był w tym domu tylko jeden robol. Ona. Matka.

Robol, który kładł się spać ostatni, a wstawał pierwszy. Do którego się wołało: daj jeść! zrób kanapkę! zaceruj skarpetkę! wyprasuj koszulę! upierz rajstopy! odczyść spodnie! podaj sól! zabierz cukier! znowu zapomniałaś kupić jabłek!? O wnoszeniu śmieci robolowi nie trzeba było przypominać, zawsze pamiętał, robol był nadzwyczajnie czysty, pedantycznie po prostu. W tamtym starym mieszkaniu wnosił dziennie po kilka wiader wody, zaganiał do mycia. I wnosił po kilka wiader brudów. Sapał, stękał, charczał, ale dźwigał. Prał. prasował, sprzątał, czyścił. Podawał, usługiwał, zabierał. Rzadko się odzywał. Często uśmiechał się przeproszająco. Sakramentalne pytanie ojca: obiad jest?

Pięć razy w tygodniu, wracając z pracy, bez względu na godzinę powrotu, wcześniej czy później, zawsze jednakowo, od progu: obiad jest? I jakby to pytanie ojca zawierało w sobie jakąś ukrytą groźbę, matka rzucała w popłochu każdą robotę i niezgrabnie biegła do garnków, do tego obiadu, który zawsze, niezależnie od pory, czekał gotowy. Kwadrat białej serwetki na stole, połyskujące sztucce, szklanka z kompotem, ponieważ ojciec lubił popijać kompotem drugie danie - czekały również.

Obiad jest?!, krzyczałam tak samo jak ojciec, jeszcze w progu. Olunia, to ty? - i biegła ku mnie, kotysząc biodrami, niosąc mi każdego dnia powitalny uśmiech. Usta mojej matki z dnia na dzień siniały

coraz bardziej, ale ja tego nie dostrzegałam. Obiad jest? Całowała mnie tymi ustami, otaczała ciepłym ramionem. Miała szorstkie ręce. No, daj spokój, mamo,

drapiesz. Obiad jest?

I znów u warg kropelka słońca. Dużo, dużo słonych, gorzkich, piekących.

Trzeba odnieść wiaderko do łazienki.

Umywarka zachlapana. Mył ręce i, jak zwykle, wszystko dokoła zapaćkał. Mydło, zamiast na mydelniczce, leży obok. To też jak zwykle. Przyzwyczajony od lat, że w domu jest robot, który po nim sprząta.

Biedny ojciec. A tak prężył pierś: ja, naczelnik. Tak łatwo wskoczył do gabinetu po Jurczyku, z takim impetem, taką pewnością siebie, jakby od urodzenia był naczelnikiem. Co najmniej naczelnikiem. Weszła do Urzędu w lipcu. Gorąco, upał. W holu przy gabinecie zaledwie cztery krzesła, a ludzi tłumek, ze dwadzieścia osób podpięta ściany. Dwie babcie przycupnięte obok siebie na jednym krześle. Chudziutkie, pomieściły się. Wbiegała taka lekka, brała zimny prysznic, jeszcze czuła orzeźwiająca wilgoć. Uciszyło się na jej widok, każdy tu znał każdego, jeżeli nie osobiście, to z widzenia. Nawet nie pomyślała, że ci tutaj, to do ojca. A, Olunia, powiedziała pani Basia, nieśmiertelna sekretarka wszystkich naczelników] którzy się przewinęli przez ten gabinet, wejść. Ojciec urzędował za biurkiem, rozchełstany, pił kawę, jadł pączki. Chcesz? No pewnie. Klapnęła, rozwalila się; ale gorąco. Zaraz przyszedł Banaszak. Kawy się, Banaszak, napijesz? Jakżeby ci odmówić, naczelniku? Pani Basiu, kawę dla Banaszaka i herbatkę dla Oli! Pani Basia parzyła kawę, herbatkę, to i trwało, a oni pletli jakieś dyrdymały, że upał, że susza, że cement drożeje, a co nie drożeje? itepe. Pani Basia wniosła kawę, herbatkę. Dużo jeszcze tych do mnie?, zapytał ojciec. Panie naczelniku: dwadzieścia dwie osoby. O rany, powiedział ojciec, niech ich pani spławi. Pani Basia popatrzyła tak jakoś: ależ, panie naczelniku, dziś jest dzień przyjęć... Pani Basiu!, powiedział ojciec, zaciskając usta, to co z tego, że dzień przyjęć? Nie mogę być zajęty? Ale, panie naczelniku, oni czekają od rana... No, do cholery, więc od rana jestem zajęty. Zresztą, przyjąłem chyba z pięciu, wystarczy na taki upał, oddychać nie ma czym. No, co się pani tak patrzy? Niech pani wykona polecenie! Panie naczelniku, ale ja naprawdę nie wiem, co mam im powiedzieć... O Boże, pani Basiu, cokolwiek! Niech im pani na przykład powie, że właśnie przyjechał do mnie bardzo ważny towarzysz z komitetu. Zwalimy na komitet, dobre, co, Banaszak? Cha, cha!

Nigdy, Olu, nie zapomnij naszej dwunastometrowej przestrzeni życiowej. To tylko w tym ustroju możliwa jest taka pogarda dla szarych robotli.

Kiedy wychodziła od ojca, hol przy gabinecie był już pusty. Pani Basia dobrze się spisała. Tylko te dwie babcie, chyba aż z kolonii z Lipową, ciągle siedziały przycupnięte obok siebie na jednym krześle. Chociaż trzy pozostałe stały nie zajęte. W ciemnych chuścinach, w ciemnych spódnicach, trzymały na kolanach suche kosteczki żółtawych dłoni. Ogarnęły ją zażawionymi, oczekującymi spojrzeniami. Bojąc się, że usłyszy swoje imię, uciekła.

Umywarka doprowadzona do białego połysku. Jeszcze trzeba namoczyć narzutę z wersalki. Bardzo się

zakurzyła przez lato. Jak zresztą wszystko w tym domu.

Rozłożyła „Geografię gospodarczą świata”.

„Wędrówki międzynarodowe odegrały istotną rolę w historii i rozwoju cywilizacji, Miały one przeważnie podłoże ekonomiczne, związane z poszukiwaniem pracy i lepszych warunków życia...” Lekcja z Piecologiem

> prawda dopiero za tydzień, ale o tych piekielnych wędrówkach trzeba się wykuć od ręki, bo są zaległe. Następnym tematem, cholera, równie pasjonujący: struktura zawodowa ludności. O Boże, ratuj!

Gdyby otworzyć granice, w tym kraju nie zostałby nikt, Olu. Nawet

trepy by nawiąły. Biedny ojciec. Już nie naczelnik.

Wieść o teleksie zatacza teraz po Orzelsku szersze kręgi. I cały Orzelsk trzęsie się od plot, domysłów, pomówień. Lepkich, brudnych, jadowitych. Normalka. Chleb powszedni. Tak się tu dzieje zawsze: kolejkowe panie dostały nowy temat do frapujących pogawędek. A Paszyński przeżywa chwile satysfakcji: mnie nie, ale i Marciniaka też nie. No, Kryśka Paszyńska jutro w szkole przywdzieje na usta najbardziej promienny i kłujący jak szpila uśmiešek. Powie: jak tam, Olka, zdrowko tatusia? Nie dostał zawału?

A, do diabła z Kryską i innymi!

Bez względu jednak na osobę ojca, to i tak draństwo. W tym jednym chociaż ojciec ma rację: tylko partyjni mogą zajmować stołki. Wszędzie partyjni. Ojciec Krystyny, ojciec Dudek. Dudek przynajmniej uczciwy, w przeciwieństwie do Paszyńskiej nie osłania swojego starego jakąś tam ideologią. Można skonać ze śmiechu, słuchając opowieści Dudek o tym, jak jego rodzony ojciec komentuje w rodzinnym gronie przebieg zebrań partyjnych. Ty, matka, powiedział raz Dudek do Krystyny, chcesz wmówić nam, że twój dinozaur jest za? Ty, matka, nie nadymaj się tak, bo pęknie. Mój tam nie ukrywa, po co się zapisał, i za to go cenię. Mój wyklada tę ideologię tak: w straży nakraść nie mam okazji, nikt mi za gaszenie pożarów nie wsunie nawet jajeczka, to chociaż jestem ważny komendant orzelski i samochodzik mam służbowy, i benzyna bez ograniczeń, a co, nie opłaca się? Nie boisz się, Dudek, że ktoś doniesie?, zapytała raz Iwona. Chyba że ty, matka, roześmiał się Dudek. Świnia, obraziła się natychmiast Iwona, nie jestem kolabola! No, jasne, matka, że nie jesteś, śmiał się Dudek, między nami nie ma takich szmat. A jakby się kiedykolwiek jaka znalazła, to ja ją, matka, na makulaturę, o tak! - i naprężył stalowe mięśnie Tarzana. Wszystkich rozbawił. Dudek ma jedno w głowie: trenowanie mięśni. Siła, ludzie, to jest to!

Jutro cała buda się dowie, że ojca odsądziła. Wielu zacznie ustawiać się °od nowa. Gdy ojciec przeniósł się do gabinetu po Jurczyku, odczuła zwiększoną życzliwość w stosunku do własnej osoby. Iwona na przykład zapragnęła ją codziennie odprowadzać do domu. Odwal się, powiedziała do niej, przecież ja i

tak nigdy nie wracam od razu do chaty. Węcel co rusz wpadał, niby po lekcje. Słuchaj, powiedziała mu, zakochałeś się we mnie, czy co? Spadaj, Węcel, bo mi twoja Irusia oczy wydrapie. Nauczyciele też łaskawi, a niech ich licho weźmie, przez tę łaskawość trzeba się dwa razy tyle wykuwać co bez, lecz w końcu nie miała nikomu za złe tej życzliwości w zwiększonych dawkach, ludzie jak ludzie, przyzwyczajają się z czasem do Aleksandry Marciniak, córki naczelnika, i wszystko wróci do normy.

Raz jednak dała się nabrać. Ola, już dawno miałam ci powiedzieć -czemu ty, dziewczyno, sterczysz w kolejkach do mnie? zamiast walić od razu na zaplecze. O mało nie rzuciła się Maniosze na szyję. Z wdzięczności, ponieważ kupienie kawałka kartkowej padliny w jedynym sklepie mięsnym Orzelska równało się zdobyciu górskiego szczytu w Himalajach, taki wyczyn. Od bladego świtu falował przed sklepem zbity tłum, ludzie wściekli, bo dostawy nieregularne, tańszego mięsa niewiele, a na szynkę nie wszystkich stać. Żeby cokolwiek dostać, musiała zwalniać się z lekcji, wstawać o poranku, a i tak nigdy nie udało się jej zająć miejsca w pierwszej dziesiątce. Na samą myśl, że trzeba wykupić mięcho, dostawała mdłości. Ale mus to mus. Ktoś musi odwalać tę robotę. A i mięsa teraz nie starcza, brak jednej kartki jest odczuwalny w mięsnym budzecie. Matka bowiem nie jadała mięsa. Piekła najlepszą w świecie pieczeń wołową, wspaniały pasztet, ale jeść tego nie chciała.

Pycha ta wołowinka, mammo! To jedz, Oluniu, na zdrowie, matka uśmiecha się, usta ma sine, fuj, jakie brzydkie są te usta matki. Mogłabyś je zacząć malować, mówi. Co mam malować?, pyta matka, uśmiecha się przepraszająco. Usta, mammo, mają taki dziwny kolor.

Byłam delikatną, taktowną córką, pomyślała, pochylając się nad książką: „Wędrówki międzynarodowe odegrały istotną rolę w...” Nie powiedziałam: sine, powiedziałam: dziwne. Matka dotyka grubym paluchem tych ust, ciągle się uśmiecha, mówi jednak ze zdziwieniem: naprawdę? Nie zauważyłam. Mnie się wydaje, że one są normalne... Ojciec kraje soczysty płat pieczeni. Dorobisz się jakiejś paskudnej choroby, zobaczysz, matka, mówi i przełyka z apetytem; a wszystko stąd, że nie jadasz mięsa. Właśnie, mammo, dlaczego nie jadasz mięsa? Mięsko pycha. Uśmiech znika z warg matki. Ojciec się śmieje: popatrz, Olunia, na matkę. To taka litościwa osoba, że nawet mięsa nie przełknie. Proszę cię, mówi matka, chce odejść do siebie, do kuchni, ale ojciec, śmiejąc się ciągle, przytrzymuje jej rękę. Fe, jaka ta ręka matki. Palce grube obwarzanki, a paznokcie też mają taki siny kolorek. Bo to było tak, Olu, śmieje się ojciec, zahorowałaś na zapalenie płuc. Zabrali cię do szpitala w Grobkach, taką ,malerką... straszne, straszne. A potem doktor Barański przepisał na umocnienie wątróbkę. I nasza litościwa matka, która dotąd wsuwała mięso jak się patrzy, musiała chodzić po tę wątróbkę codziennie do rzeźni, a tam - biedne krówki, biedne świnki, biedne cielaczki, rozumiesz, Olunia, wszystko takie biedne... Upięte w węzeł, obfite, pszeniczne włosy matki lśnią: matka pochyla głowę, nisko. Przecież ja nie wyśmiewam się z ciebie, że jadasz mięso, mówi cicho. Jeszcze by tego brakowało!, woła ojciec; jest łaskawy dla matki dzisiaj, jest syty; dobre mięsko, pyha, ale tobie, matka, brakuje piątej klepki - nie jadać mięsa! My z Olą, chwala Bogu, jesteśmy normalni. Przepadamy wprost za twoją, matka, pieczenią wołową.

Więc, dziewczyno, dawaj kartki, przyjdź pod wieczór, wal od tyłu, zapukaj cztery razy, a ja ci podam. Ach, dziękuję, dziękuję pani! Nie ma za co. głupstwo.

Co za szczęście, mieć z głowy koleje! Kochana Maniocha! Puk, puk, cztery razy. Schabik, mówię ci, Ola,

wprost palce lizać. Pan naczelnik będzie zadowolony. Naczelnik? Jaki naczelnik? Cha, cha, Ola, ale dowcip, fajna z ciebie dziewczyna, Ola. A portmonetkę schowaj, już wszystko załatwione. I jeszcze raz podziękuj ode mnie panu naczelnikowi. Mogę spytać: za co? Och, takie tam... No, zmykaj, Ola, do domu. Już będę zamykać.

Schabik, rzeczywiście, palce lizać. Cienka kostka, obficie mięsa. I ze dwa razy więcej niż opiewa kartkowy przydział.

Ojciec wchodzi do kuchni, ogląda, cmoka. Zadowolony. Postarała się, i owszem, mówi. To co, Olunia? jutro w bułeczce, w jajeczku, wpylamy schaboszczaka? Tak, tato, wpylamy. Dawno nie jedliśmy schaboszczaka,

Olunia. Tak, tato, dawno.

No i proszę, jak się raz-dwa przyuczał ten mój ojciec. Prędziutko. Szybciutko. Pojętnie. A tu urwało się. Teleks i cześć pracy. Zanim się rozkręcił na dobre. Jeszcze wczoraj załapał się na kulkę cielęcą. Może od Maniochy, a może od kogoś innego. Upychał tę kulkę tak skwapliwie, tak gwałtownie w zamrażalnik, jakby się jej sam wstydził.

Może się jeszcze czasami wstydzi. Tylko dla mnie już nie jest tym, kim był kiedyś. Dawniej. Ale tak musiało się stać. Nawet gdyby nie został peo Po° Jurczyku, nawet gdyby nie zafunkcjonowały uroczyste zamsze, schabik i kulka cielęcą, nawet gdyby nie dwie babcie przycupnięte na jednym krzeselku; też nie byłby już tym wspaniałym monolitem, moim jedynym i wyłącznym autorytetem, moim własnym, domowym bogiem. To ty nas rozdzieliłaś, mamó. Ach, te kropelki!

- Olka! coś się pali. do cholery! - z pokoju ojca dobiega wściekły, podniesiony głos.

- O Boże! -zawołała. Puściła się pędem do kuchni wypełnionej szczypiącym dymem. Otworzyć okno, szybko. I wybrać z piekarnika te nieszczęsne, zwęglone resztki szarlotki, o której na śmierć zapomniała.

I nie wiadomo dlaczego, bo przecież nie z powodu spalonego ciasta, zapragnęła gwałtownie, aż do bólu, znaleźć się w ramionach matki. Wrzuciła blachę do zlewu.

- Wychodzę!-zawołała.

ani jednej łzy

Matkę pochowano w bocznej alejce. Obok grobu rozrasta się potężny klon. Pod klonem spróchniała ławeczka. Ktoś musiał tu przychodzić, siadając: patrzył na bliski sobie grób przy klonie, modlił się, może płakał? Cmentarz orzelski jest niewielki, lecz stary, ma chyba tyle lat co klon. a kto wie, ile lat ma klon? Więc trumna w trumnę. Tę z matką wpuszczali w gliniastą ziemię, w której walały się szczątki innej. Nie patrz, powiedział szeptem ojciec. Dlaczego?, odpowiedziała również szeptem. I patrzyła dalej suchymi oczami. Chciała widzieć wszystko i zapamiętać wszystko. Ten kawałek drewna z obcej, cudzej trumny także. Pod klonem zawsze panuje jednakowy, wilgotny, przejmujący chłód, nawet w ciepły, słoneczny dzień. Teraz przedwieczorne cienie kładły się zielonkawo na wąskiej ścieżce między grobami, zwiślały smugami z ramion krzyży. Usiadła na ławeczce.

Któregoś dnia, niedługo po pogrzebie, ojciec, wskazując na ławeczkę, powiedział: trzeba postawić nową. Nie, nie!, zaprotestowała. Dlaczego?, zdziwił się ojciec, ta jest stara i szpetna.

Ale jej wydawało się, że ta ławeczka to jak pamięć ocalała po tym kimś. kto kiedyś na niej siadał, modlił się, płakał, a teraz już i jego nie stało, i on odszedł. Pokryta mechem czasu, ale jest. Nie, powtórzyła stanowczo, nie chcę nowej.

Od pogrzebu matki, ponad półtora roku przychodzi tu, na tę ławeczkę. Każdego dnia. Nie opuściła żadnego. Nawet w najgorszą zamięć, najsroższy mróz, w ulewę, w burzę i nawet w trzęsienie ziemi też, gdyby ono nastąpiło, zawsze, zawsze tu przyszlaby, wprost po szkole, do matki. Znają tu ją wszyscy stali bywalcy cmentarza; dzień dobry, Olu, jesteś już, Olu?

Zimą cmentarz bywa zupełnie pusty. Jej ślady w śniegu były często jedyne. Lubiła pusty cmentarz, na którym nikogo, tylko krzyże, groby, drzewa, klon, ławeczka i wszędobylskie ptaki.

Jaka to dobra córka, mówiono o niej. Dzień w dzień żeby tak biegać Kochałaś mamę bardzo, prawda, Olu?

Matka Maćka powiedziała: twoja mama musiała być bardzo szczęśliwa, mając taką kochającą córkę przy sobie.

Czyja jesteś, Oluniu? Powiedz, powiedz! Twoja, tato, twoja. Dopóki sięgnąć pamięcią - zawsze jego. Chwalił się, że podobno pierwszym wyrazem, jaki wypowiedziała, nie było: ma-ma, lecz: ta-ta. Jeżeli kogokolwiek ojciec w swoim życiu kochał naprawdę, to nie ulega wątpliwości, że ją właśnie. Swoją córkę, Aleksandrę Marciniak. Nie masz nic z matki, jesteś tylko do mnie podobna, Oluniu. Moja krew. Dla swojej krwi zawsze znajdował czas. Ze swoją krwią na spacer. Do kina. Przed telewizorem Pamięta: zanim zaczęła chodzić do szkoły, nawet opowiadał jej jakieś bajki na dobranoc. Nawet po ciuchy nie z matką, lecz z nim. Jemu swoje dziewczynskie tajemnice. Jemu żale. Jemu ręce na szyję. Więc i na świat patrzyła jego oczami. I mówiła jego słowami. I do matki tak jak on.

Podaj. Zabierz. Sprzątnij. Przynieś. Upierz. Wyprasuj.

Obiad jest?



Matko święta, nowy dywan!, krzyczy ojciec. Na nowym dywanie roz rzucone kawałki mięsa w sosie pomidorowym.

Talerz jeszcze się toczy. Niczym dysk. Rozpryskuje dokoła, na wyblyszczone płytki, z których każda jest jak małe, zielone lustreczko, kawał mięsa. Gęsty sos pozostawia falistą, czerwoną smugę.

Matka, ale z ciebie niezdara. Olka, pomóż matce się podnieść!

A matka leży w białym obramowaniu drzwi, jakby się potknęła o próg Lecz progu tu nie ma.

No, matka!, ale niezdara, co z tobą?, pomrukuje wściekle ojciec, zbierając z dywanu mięso. Nowy dywan, matka, popatrz, co ty narobiłaś! A ona nie chce patrzeć. Leży twarzą do podłogi.-Talerz uderza o regał. Nieruchomieje.

Wtedy coś, co jest na razie małą, lecz już ostrą igiełeczką, wspila w serce.

Siedzi dotąd jak przykuta, ma w uszach łomot i w oczach rozmach, z jakimi się waliło otyłe ciało matki. Jeszcze nie wie, że matka nie potknęła się o próg, bo progu tu przecież niema. Jeszcze trwa krótkie, choć już zamierające od szpili parsknięcie śmiechu: tak komicznie wyglądał lot masywnej bryły ku płytce podłogi, a i ojciec, który pełza na kolanach po dywanie, zbierając obpaćkane kawały mięsa, też ją rozśmieszył.

Ukłucie drugie jest silniejsze.

Mamo, nie wygłupiaj się, wstawaj, wstawaj!

Ukłucie trzecie jest tak silne, że serce zamiera.

Mamo!

Ramiona matki jakby się wrywają ku niej, jakby ją chciały jeszcze raz objąć. Warkocz wysuwał się z ciężkiego zwoju, spada przez ramię pszenne, jasny. Mamo!

Serce jest całe szpilą.

Ktoś leży w białym obramowaniu drzwi. Ktoś, kogo ramiona, rozłożone niby do lotu, są ciągle ciepłe, ale nie chcą już obejmować. Warkocz jeszcze lekko drży, jakby poruszany wahadłem oddechu.

A potem ostrość widzenia, która aż boli. Kawałek mięsa przy nodze stołu. Łuk talerza, zatrzymanego przez regał. Krzykliwe usta ojca: o Boże, Boże, Boże! Różowość zachodzącego słońca w szybie. I w szeroko otwartych oczach matki.

W tych oczach nie ma ani bólu, ani obawy, ani smutku. To są nareszcie wolne oczy. Uspokojone. Już ich nie dotyczą: podaj! wynieś! przynieś! Na zupełnie sinych ustach nieodłączny uśmiech, też wolny. Na zawsze. Nikogo już nie będzie musiał przeproszać za pięciominutowe spóźnienie z obiadem.

Boże, Boże, Boże!, wyje ojciec.

Podaje mu słuchawkę. Dzwoni.

Boże, Boże. dokąd? gdzie?

Więc sama wykręca numer. Podaje adres. Odpowiada na głupie pytania przyjmującej wezwanie. Słyszy swój spokojny głos. I sama się sobie dziwi, że jej głos jest tak przeraźliwie opanowany. I że ani jednej łzy. Wciąż ani jednej.

Ty, matka, jesteś okazem zdrowia, powtarzał często ojciec. Nawet cię katar nie bierze.

Sam łapał wszystkie możliwe grypy, a i bez grypy chwytał się za głowę: ach, jak mi pęka, chory jestem. Wystawiał język: zobacz, matka, jaki obłożony, znowu mi coś zaszkodziło, siadło na żołądku. Owijał szyję grubym szalikiem: muszę uważać, zaraz mnie przewieje i angina gotowa. Lubił chorować. O, znowu trzydzieści siedem i dwa, najgorsze są stany podgorączkowe, bo podstępne, niby człowiek nie chory, ale już nie zdrowy. Kładł się do łóżka, marudził, zrzędził, stękał, narzekał.

Matki nie pamięta, aby ją chociaż raz widziała w łóżku. Czy siedzącą z termometrem pod pachą. Czasem matka mówiła: chyba grypa mnie bierze, po czym łykała jakieś piguły. I tyle choroby. Ale czy robole mają prawo chorować! Robole są do roboty, a nie do chorowania. Gdyby ich robol położył się do łóżka w biały dzień, oboje z ojcem pomyśleliby, że to chyba koniec świata.

Tobie to dobrze, matka, powtarzał ojciec. Trochę zamieść, machnąć kilka razy szczotką, coś przeprać, coś upitrasić, kilka kartofelków obrać i po robocie. A ty, człowieku, gnaj na ósmą, tłucz się po terenie w pluchę i zawieruchę, pouczaj ciemnych chłopów o zaletach sianokiszonki, użeraj się z instruktorami, pieskie życie.

O, dobry Boże, jakież jestem skonany, mówił obowiązkowo po każdym obiedzie ojciec, muszę się położyć. I szedł uciąć drzemkę. Budził się, ziewał, sapał, chrząkał; zjadłbym co dobrego, mówił. Jadł, pił herbatę, ziewał, włączał telewizor; co za program, mówił, czym oni tych roboli pasą. Czasem bywał zadowolony: ładny dziś film dali, prawda, Olunia, że ładny? Tak, tato, ładny. A ta nasza matka jak ślepy kret, nawet na film nie przyjdzie popatrzeć, niczym się nie interesuje, tylko garami i robótkami na drutach. I jak ona może w ten sposób żyć? Ślepy kret, Ola. Tak, tato ślepy.

Niechże pan się opanuje! Córka potrafi, a pan, dorosły człowiek-nie? Proszę przepuścić! Musimy zabrać ciało żony na sekcję, ustalić przyczynę zgonu. Taka procedura.

Słuchaj, tato, weź się w garść. Tyle jest spraw do załatwienia w związku z pogrzebem.

A on leży na tapczanie, wpatruje się w sufit albo chowa twarz w poduszkę. Nie mogę, Olunia, nie mogę, ja tego nie przeżyję, nie przetrzymam, zadzwoń do Banaszaka, niech on załatwia, ja nie mogę, nie potrafię.

Nikt obcy nie będzie niczego załatwiał.

Dlatego wie, ponieważ ją o tym w parafii pouczono, że: jeśli po upływie dwudziestu lat ponowna opłata za grób nie zostanie uiszczona, to podlega on zniwelowaniu.

Za ten, w którym pochowano matkę, nie uiszczono. I podlegał.

Boże, Ola, ty chyba jesteś z kamienia, pojękuje ojciec. Jak ci jedzenie nie stanie w gardle? Ja nie mogę, nie potrafię, nie przetrzymam.

Dotąd, tato, jak ty, i owszem, z kamienia. Odtąd już jednak nie. Czy tak mu powiedziała? Nie pamięta.

Ogol się, jak ty wyglądasz? Trzeba pojechać po matkę. Zamówić przewóz. Wysłać trumnę. Wybrać ubranie, w którym matkę pochowamy.

Szafa. Na ramiączkach porządnie, w równym szeregu wiszą ubrania matki. Po matce. Niewiele tego. Wszystko szare, tanie, banalne. Szara spódnica. Szary sweter. Szary prochowiec. Szara jesionka. Szara sukienka. A po co robotowi kiecki? Wystarczą mu gospodarskie fartuchy.

Przeglądając te ubrania po matce, uświadamia sobie, że ojciec wychodził z matką jedynie na mszę, do kościoła. Nigdzie więcej. Do nikogo.

Nawet na imieniny do Banaszaka szedł sam. Czy nie mogłabyś się choć trochę odchudzić? Wyglądasz jak istna słonica. Matki uśmiech przepraszający: sama nie wiem - od czego?, naprawdę, przecież widzicie, że jem niewiele. A kto by się tam przyglądał, co ona ma na talerzu? Może to od serca?, dodaje matka jakby usprawiedliwiająco. Coś z moim sercem ostatnio nie najlepiej. Eee, matka, nie wmawiaj sobie choroby. I nie zwalaj na serce, ruch dłoni ojca jest zamaszysty, z powietrza nie tyjesz, musisz się zdrowo opychać, kiedy nas z Olą nie ma w domu.

Matka Maćka jest piękna, elegancka, smukła. Jeździ cytrynowym datsunem. Pachnie masumii. palmolivem, yardleyowską pomadką. Mieć taką matkę! Maciek to kretyn, nie potrafi swojej wspaniałej matce wybaczyć, że wyjechała na cztery lata do Stanów robić szmal. A kim byłby teraz Maciek, gdyby nie szmal jego starych? Zwykłym chłopakiem jakich setki, jakich na pęczki, synem dentystów z gminnego ośrodka zdrowia.

Więc marzyłam, żeby mieć taką piękną i luksusową matkę jak Komornicki. Zamykałam oczy i wyobrażałam sobie, że ty, mamó, taka właśnie jesteś. Że drobisz nobliwie kroki, zawsze na wysokich obcasach, a nie w domowych, nieco przydeptanych łapciach. Że twoje palce są gładkie po manikiurze, a dłonie pachną drogim kremem, kupowanym za zielone w Peweksie.

Weź te ręce, mamó, drapiesz! I pewno znowu pastowałaś podłogi. Boże, jak tu wszędzie cuchnie pastą!

Ależ nie, skądże, nie mówiłam nigdy: odwal się, mamó, ponieważ cuchniesz. Delikatna ze mnie była córka, taktowna, mówiłam jedynie: zabierz ręce, zalatuje od ciebie pastą, fe, brzydki zapach.

I w co ją ubrać, w co?, jęczy ojciec. Wszystko takie byle jakie, nic porządnego, nawet do trumny, wstyd przed ludźmi. Dlaczego ona się tak zaniedbywała? Inne kobiety chodzą do fryzjera, malują się, a ona nigdy: po co mi? Mnie nic nie potrzeba, wszystko mam.

Wszystko znaczy tyle samo co nic, tato.

I żadne z nas, ani ja-córka, ani ty- mąż, nie zapytaliśmy jej nigdy: czego pragnie? o czym marzy? co chciałaby mieć? Czy robol, na dodatek ślepy jak kret, co to nawet filmu w telewizji nie obejrzy, ma prawo do marzeń, pragnień?

Panowie!, ojciec opiera się o białą, kaflową ścianę, zielenieje na twarzy, poci się obficie; ile? panowie, ile? Bierzcie, ile trzeba, ile się wam należy za tę usługę, i proszę, proszę wszystko co trzeba, co należy, żonę umyć, ubrać... Ojciec słania się, zaraz zemdleje; chodź, Ola, szybko chodźmy na świeże powietrze, już tu dłużej nie wytrzymam, panowie się na tym znają, mają wprawę, chodź, Ola, chodź stąd!

Nie. Ja stąd nie wyjdę.

Proszę panów, ja sama.

Dlaczego nie dam rady? Przecież to moja matka.

Pieniądze proszę zatrzymać. Zawołam panów później. Sama nie dźwignę swojej matki, nie ułożę w trumnie, będziecie więc potrzebni, panowie.

Wokoło biel i chłód. Biel i chłód. I ty, nasz robol. Słonica. Moja matka.

Nikt obcy nie ma prawa do tej ostatniej usługi. Nigdy ci nie myłam nóg, mamó, a teraz myję. Nigdy ci nie myłam rąk, mamó, a teraz myję. Nigdy nie rozczesywałam twoich włosów, mamó, a teraz czeszę. I z bluzką sobie poradzę. Daj rękę, mamó. O, tak, dobrze. Trochę dźwignę, uniosę trochę, założę.

Teraz panowie możecie wejść. Moja matka jest gotowa do drogi.

Na tym prostokącie kartki - z datą i stemplem jak trzeba, podpisanej jak trzeba, pośród czarnych rzędów zdań, brzmiących tak formalistycznie, jakby nie dotyczyły kogoś, kto żył, istniał, miał rodzinę, swoje życie, lecz był przedmiotem, albo lepiej: tylko ciałem - kilka słów układało się w tacińską nazwę przyczyny zgonu Marii Marciniak, urodzonej w 1943 roku, z domu Jarząbek, która była okazem zdrowia, nie chorowała nigdy, nawet na katar niepodatna, i oto nagle, wnosząc mężowi i córce obiad, gulasz wołowy z sosem pomidorowym, potknęła się na nieistnjącym Progu a talerz potoczył się, bryzgając wokoło kawałkami mięsa, jak zawsze pysznego, ponieważ Maria Marciniak z domu Jarząbek potrafiła

doskonale przyrządzić mięso wołowe.

Pamięta, że wpatrywała się w ten prostokąt kartki długo, odczytując go raz po raz, i jeszcze raz, i jeszcze.

I chociaż łacińska nazwa przyczyny zgonu Marii Marciniak z domu Jarząbek na pewno nie uwzględniała umiejętności Marii Marciniak z domu Jarząbek w zakresie przyrządzania mięsa wołowego, to pamięta doskonale, że o tym mięsie również myślała, odczytując rządki zdań na białym prostokącie kartki.

Takie masz dziwne w kolorze usta, mamó, podmaluj je...

Istna słonica, nie mogłabyś się, matka, chociaż trochę odchudzić?

Łacińska nazwa może uwzględniała siność ust. ale czy mówiła cokolwiek o grubej słonicy, która nie chciała się odchudzać?

Łacińska nazwa była za trudna nawet do przesylabizowania. Ale z całą pewnością ta nazwa choroby nie mówiła nic i o Jerzym Marciniaku, mężu. i o Aleksandrze Marciniak, córce. To sucha, specjalistyczna nazwa. Określała precyzyjnie rodzaj schorzenia, wskazywała bezpośrednio na jakąś część anatomiczną, lecz nie wymieniała przyczyny najistotniejszej: Jerzego Marciniaka, męża, oraz Aleksandry Marciniak, córki.

I kto tu był ślepym kretem, tato?

Czy krety na pewno są ślepe, tato?

Postugiwałam się wtedy twoimi słowami, własnych jeszcze nie miałam.

A skąd wiesz, Olu, że kret jest ślepy? Uśmiech matki: czy na pewno przepraszający? Może jednak ironiczny?

To był zawał. Nic innego nie mogło być. Zawał teraz dziesiątkuje ludzi. Zwała z nóg. Zawał, powtarzał ojciec, bo zawał atakuje zwłaszcza otyłych, a matka była otyła, nalana tłuszczem. Tyle razy mówiłem, biadolił ojciec, żeby się odchudzała, tyle razy, Boże, Boże.

Czy ta długa nazwa łacińska oznaczała zawał?

Tato, musisz iść do doktora Barańskiego! Zaraz, natychmiast. Pokazać mu ten wynik, tę nazwę, niech ją odczyta, niech powie, na co, na co?

Och, Ola, jakaś ty dziecinna, mało poważna, po co mam chodzić? Bez doktora wiem, że to był po prostu zwykły zawał. Twarz ojca jest pokreślona ostrymi ścieżkami nowych zmarszczek, postarzał się przez te dni, ale już teraz, po pogrzebie, jest spokojny; pogrzeb matki był piękny, ludzie płakali, tyle ich nawaliło, gęsty tłum. pogrzeb to atrakcja taka sama jak ślub.

Piękny miała pogrzeb, prawda, Olu., ile kwiatów! I nawet Jurczyk osobiście składał mi kondolencje, cały Urząd był, wszyscy! Rzeczywiście?, zapytała, jakoś nie udało się jej zapamiętać ani jednej twarzy.

Była wpatrzona cały czas w tę ławeczkę i w tę ziemię wyrzucaną przez grabarzy na boki, i w tę, która potem coraz ciszej i ciszej dudniła, szeleściła, spadając na wieko trumny.

Nie spostrzegłaś naczelnika, Olu? Ależ stał w pierwszym rzędzie! Jurczykowa płakała.

Naprawdę, tato? Aż płakała?

A jaką wiąchę odwalili, za trzy patyki przynajmniej. No, no.

1 wieniec był od moich instruktorów. Ten przetykany żywymi goździkami.

Goździkami, no, no.

Już naszej matce niczego nie potrzeba. Niech odpoczywa w spokoju. Wszystko, co nam zostało, to modlić się o spokój jej duszy. A spokój twojej, tato?

Mojej? mojej?, powtórzył, a czegoś ty od mojej chcesz?

Poszła sama do doktora Barańskiego. Proszę, niech mi pan przetłumaczy tę łacińską nazwę.

I gdyby mi odpowiedział: cóż, zawał; ach, gdyby on mi tak odpowiedział, chyba nareszcie mogłabym płakać. Równie obficie jak mój ojciec, i mogłabym za ojcem powtórzyć: niech jej ziemia lekką będzie, pokój jej duszy. Co to byłaby za ulga - móc wreszcie płakać, wielka, uspokajająca sumienie ulga, więc pragnęłam tej ulgi dla siebie; zawał, powtarzać za ojcem, bo zbyt otyła była ta moja matka, matki wina, nie moja, co za ulga, co za spokój. Ale doktor Barański nawet nie rzucił okiem na tę długą nazwę łacińską, tylko patrzył na mnie. Nie wytrzymałam, omal nie krzyknęłam: zawał? panie doktorze? zawał, czy tak?, a on ciągle patrzył na mnie. To jest stary człowiek, ten doktor Barański, siedzi od niepamiętnych czasów w tutejszym ośrodku zdrowia, czasem go widuję na cmentarzu, przychodzi do swojej dawno zmarłej żony. Ma dwie dorosłe córki, przyjeżdżają razem z mężami i dziećmi na dwa tygodnie latem, a tak jest sam, ten doktor, więc ma dużo zbytecznego czasu, może przyjmować pacjentów

Do późnych godzin wieczornych, nie trzymając się żadnego harmonogramu czy etatowego limitu. Mówią o nim w Orzelsku, że ma świra, bo nie odmawia pomocy nikomu, nawet pijakom, i wszystko za frajer, za darmochę, nie pozwoli sobie wcisnąć do kieszonki choćby marnej stówki. Teraz na mnie patrzył i milczał. Bardzo długo milczał.

Sama dobrze wiesz, że to nie zawał, powiedział wreszcie. Twoja matka musiała chorować od dawna. Spotykałem ją na ulicy, proponowałem: niech pani do mnie wpadnie, przebadam serce. Och, odpowiadała twoja matka, ależ ja jestem zupełnie zdrowa, tylko męczę się ostatnio szybko.

Rozumiem, odpowiedziałam.

I wyszłam. Bo zrozumiałam, że on, ten stary doktor Barański, zna całą prawdę o mojej matce, chociaż jej nigdy nie przebadał. Jak również zna całą prawdę o mnie, Aleksandrze Marciniak, córce, która tak bardzo pragnęła uspokajającej ulgi, i tylko po tę ulgę pobiegła do doktora. Więc ta prawda o mnie, Aleksandrze Marciniak, nie jest budująca. Zrozumiałam również, że do tej prawdy o sobie samej będę

musiała długo i mozolnie, i boleśnie dochodzić. Wspominać siność ust swojej matki, wiedząc cały czas, że już niczego nie da się naprawić. A wszystko stąd, że zanim moja matka potknęła się na nie istniejącym progu, była dla mnie, córki, jedynie robolem. Podaj. Sprzątnij. Zrób. I on, ten stary doktor, o tym również wiedział.

Drugiego dnia po pogrzebie siedziała w swoim pokoju, usiłując się uczyć. Chociaż dokoła siebie spotykała teraz współczującą życzliwość, nie zamierzała z niej korzystać.

Przez ścianę, z kuchni, pobrzękiwało tranzystorowe radio matki. Zawsze tam stało, na parapecie okiennym. Matka lubiła słuchać radia. Oni oglądali film, a matka zamykała się w kuchni i dziergając na drutach kolejny sweter, słuchała radia. Kiedy była sama w domu, nastawiała je bardzo głośno, niczym nastolatka podczas nadawania listy przebojów. Ileż to razy, wracając ze szkoły, słyszała już na klatce schodowej radio matki, ale wystarczyło trzasnąć drzwiami wejściowymi, a ono cichło i matka, ciężko stąpając, biegła na powitanie: to ty, Olunia? Co za głupie pytanie! A któż by o tej porze? Księżniczka perska? Zostaw mnie, mamó, puść: drapiesz.

Przez ścianę, z kuchni, nagle: Tak-bardzo - bardzo...

Potknęła się na równej drodze, walnęła drzwiami, dopadła radia i wzmocniła głos. Ale to już był koniec, ostatnie akordy.

„Na resztę dnia synoptycy przewidują pogodę bez większych zmian Zachmurzenie miejscami duże, stopniowo zanikające...”

Gwałtownie nacisnęła klawisz. Cisza.

Radio na parapecie. W oknie firaneczka, jeszcze nie zdążyła się zakurzyć. Szyba lśni: matka myła ją przed tygodniem. Kredens. Stolik. Dwa taborety. Zlew. Kuchenka. Garnek. Czajnik. To tylko przedmioty. Nic więcej. Przedmioty, na których są jeszcze ślady rąk matki.

Tak - bardzo - bardzo...

Z powrotem galopem do pokoju. Płyta, adapter. Włączyć. Lekki zgrzyt igły zachodzącej na ścieżkę płyty. Przygrywka.

Kiedy? Kiedy przytapała matkę tu, w swoim pokoju, siedzącą na tapczanie, słuchającą płyty z przebojem „Kultu”? Dwa tygodnie temu? trzy? A może w przeddzień...?

Ale nastawiła! Na cały regulator! Zwariowała czy jak? No, nie spodziewała się mojego powrotu o tej porze. Baldachim zachorował, zwolnili nas z ostatniej lekcji. Więc matka tak spędza czas, gdy mnie z ojcem nie ma w chałupie? Co za łomot! I czego to ona słucha? To chyba ta ramota „Kultu”. Tak, to „Kult”.

...Ja- czekam - trzeci - dzień...

W przedpokoju zorientowała się natychmiast, że tym razem to nie radio ryczy. Głośne dźwięki dochodziły z jej własnego pokoju. Pchnęła drzwi.

Matka siedziała na tapczanie, odwrócona plecami. I zasłuchana tak bardzo, że nie wiedziała o bożym świecie.

... patrzę - na drzwi! - czy - przyjdzie - ktoś - od ciebie?...

Chciała krzyknąć, oburzona tym bezczelnym wtargnięciem do jej pokoju, tym nastawionym adapterem, ale wypukłe plecy matki tak komicznie podrygiwały w takt muzyki - to dopiero widok! - że postanowiła nie przerywać; będzie z czego się pośmiać z ojcem.

... czy-przyjdiesz - ty! - Czy - wiesz - że twoje - oczy - spalają - mnie - jak ogień? - Gdy - patrzę - w twoje - oczy...

Z trudem powstrzymywała śmiech. Gruba słonica kołysała się wciąż i wciąż. Przebój „Kultu” nie zyskał ongiś uznania w ich kółku, przestuchiwali go u Maćka, Maciek powiedział: sentymentalna bzdura, nie, ludzie? Kto to dziś umiera z miłości, nie, ludzie? Skonać można, ale słowa, nie, ludzie? Joluska, gdy odjeżdżasz ode mnie, czy ja umieram dziewięć razy?

(ha, cha, cha! Nie trafiony zakup, ten „Kult”, na półkę z nim między rupiecie, a ta matka, co za bezczelna facetka, musi tu włożyć pod moją nieobecność, szperać, węszyć, i wywęszyła tę upchane płytę, pewno i inne przegrywa, ale po co jej to? Zbikowała do reszty?

... zaczyna się - dzień! - Tak - bardzo - bardzo - kocham...

Stara, gruba beka, a podryguje. Stara, gruba i co ona sobie teraz wyobraża, tak podrygując?

..tak- bardzo - potrzebuję cię! -Ja- czekam - trzeci - dzień - patrzę -na drzwi! - czy - przyjdzie - ktoś...

Ale cyrk!

...od ciebie? - czy - przyjdiesz - ty! - Czy - wiesz - że gdy - odchodzisz - umieram - dziewięć - razy!...

Podrygująca dotąd matka znieruchomiła. Jakby zastygła. I tylko, pochylając zupełnie nisko głowę, ręką dotknęła swoich włosów. Nagle jej grube paluchy zaplątały się we włosy jakoś tak intymnie, wprost nieprzyzwoicie.

... Tak - bardzo - bardzo - kocham...

Paluchy matki wciąż we włosach, targają nimi albo je głaszczą... Mamo!

Matka drgnęła. Cofnęła rękę. Ale nie podniosła głowy.

No wiesz, mamo... Istny cyrk tak przyglądać się tobie.



Igła zazgrzytała, z takim pośpiechem matka wyłączyła adapter.

Przepraszam cię, Olu, powiedziała cicho matka. Wysuwała się chyłkiem, boczkiem, wciąż z opuszczoną głową, jakby nie chciała pokazać twarzy.

... Ja- czekam - trzeci - dzień - patrzę - na drzwi! - czy - przyjdzie -ktoś - od ciebie? - czy - przyjdiesz - ty! - Czy - wiesz - że gdy - odchodzisz - umieram - dziewięć - razy! - Tak - bardzo - bardzo - kocham...  
Palce matki we włosach ciągle młodych, pszennych, obfitych. To było tak dawno, że aż nieprawda: oczy matki - dwa jeziora rozbłyśnięte od wspomnień, które musiały być czyste, jasne, dobre. I które odeszły bezpowrotnie w przeszłość, ale przecież ciągle trwają i może są szczęściem, a może cierpieniem?, a może i jednym, i drugim? Bo te łzy z czystych jezior i te palce we włosach... więc matka kiedyś kochała i była kochana? ... Tak ~ bardzo - bardzo - kocham...

Olka! wściekała się? oszalała?, ojciec jeszcze z aktówką pod pachą, której w złości nie zdążył lub zapomniał rzucić na ławę w przedpokoju, sunął do adapteru. Na drugi dzień po pogrzebie rodzonej matki łomotów

słucha! Wprost się zachłystywał. Na cały regulator! Aż klatka schodowa dudni! I co powiedzą o nas sąsiedzi? Czy w tobie nie ma żadnych ludzkich uczuć?

Wtedy po raz drugi uderzyła go suchymi, ciągle bez jednej łzy oczami) łomoty! Matka umarła, a ona łomoty! Żeby dotąd nawet nie zapłakać Ani jednej łzy! W końcu to była przecież twoja matka! Milczała.

Odpowiedz coś! Jak śmiesz patrzeć na mnie w ten sposób, Olka! Masz jak zawsze rację, tato: w końcu to była moja matka. W końcu Pamięta doskonale, że tak właśnie odpowiedziała, cały czas przyglądając się mu suchymi, bez jednej łzy oczami.

nałożyć nelsona

ojca nie było. Zostawił na kuchennym stoliku karteczkę: „Pojechałem do Banaszaka. Nie czekaj z kolacją. Wrócę późno. Dzwonił Komornicki, prosił o telefon”.

W pokoju rozbabrany tapczan. Dwa ogryzki w popielnicze. Pet na podłodze.

Zacisnęła usta ze złością. Choć tyle po sobie mógłby sprzątnąć, ale jemu by rączka uschła, gdyby

poprawił narzutę na tapczanie i wyrzucił ogryzki do śmieci.

Podniosła niedopałek, wygładziła narzutę. Oczyszczając popielniczkę, pomyślała, że właściwie jej pretensje są nieuzasadnione. Sama przecież powiedziała ojcu: żadnych Kozłowskich. Nie chcę. W parę dni po pogrzebie ojciec oznajmił: umówiłem Kozłowską, Oluniu. Będzie przychodzić co drugi dzień. Posprząta, upierze, ugotuje na dwa dni obiad. Potarł czoło, westchnął, oczy mu zaszczyły łzami, siorbnął nosem: jakoś musimy żyć. Chociaż zupełnie nie wyobrażam sobie - jak. Zaledwie tydzień minął, a tyle wszędzie kurzu. Meble zmatowiały. Dywan poszarzał i gdzieś widać brunatną plamę z zaschniętego sosu. Płytki w podłodze nie są już zielonymi lustreczkami. Czajnik, zamiast być wypukłym, krzywym lustrem, pokrył się smugami, a mówią, że gaz nie kopci. Zlew aż kipi od brudnych naczyń. Wyciągali je z kredensu, a potem odstawiali do zlewu i urosła brudna, zaschnięta góra. Już wczoraj ojciec, przełykając chleb z żółtym serem, westchnął: zjadłbym wreszcie normalny obiad. Ale żadne z nich nie potrafiło niczego, chyba tylko wodę na herbatę ugotować. Jak żyje, nie trzymała szczotki w ręku, nie przeprała rajstop, nie obrała nigdy jednego ziemniaka. Upierz! Wynieś! Przynieś! Podaj! Zrób! Obiad jest? A tu obiadu nie ma.

I robola nie ma, co gorsza. Odszedł, trwając na posterunku. Podając °obiad. Nic mu nie było, temu robolowi, na nic nie chorował, nawet na katar nie, tylko po prostu męczył się szybko, a tak, poza tym i tymi coraz bardziej sinymi wargami, nic mu nie dolegało, końskie zdrowie; doprawdy matka, jakie ty masz końskie zdrowie.

Stała w kolejce po proszek do prania, o kilka miejsc dalej matka głowej ze swoją nieodłączną Dawidowicz trzaskały dziobami na temat biednej Marciniak, która zamiast wysłać córkę po zakupy, sama taszczyła ciężkie siaty, rżąc, sapiąc, chorobę miała wypisaną na twarzy; za to pogrzeb jej wyprawili, widziała pani, ile kwiatów?, a wiązane<sup>9</sup>, za życia nie dbali, to chociaż po śmierci, a ten Marciniak płakał jak bóbr... I pomimo że w domu została ostatnia paczka proszku do prania, którą jeszcze matka wystąpiła - wyszła z kolejki, uciekła.

Nie chcę, powiedziała do ojca. Ojciec nie zrozumiał: Kozłowska jest porządną kobieciną, co masz przeciwko niej? Przeciwko niej nic, ale nie chcę, powtórzyła. Ojciec już zaciskał usta: więc jak wyobrazasz sobie nasze życie? Kto nam będzie gotował? sprzątał? prał? Popatrz, zaledwie dzień, jak matki nie ma, a dom niczym chlew.

To prawda: chlew. Nawet po sobie tapczanów nie zaścielali, pościel należałoby zmienić na czystą, termin właśnie upływa - matka pościel wymieniała co dwa tygodnie.

Na twarzy ojca tyle nowych bruzd. Tak bardzo postarzał się po stracie matki. Opłakiwał żonę, kochaną kobietę czy robola, z którym wygodnie bo podane, sprzątnięte, uprane? ... Tak - bardzo - bardzo - kocham - cię - tak - bardzo - potrzebuję cie!... Grube czy opuchnięte od choroby były palce matki wplątane gwałtownym gestem we włosy? Wplątane z rozpacz czy z pragnienia, aby wróciło tamto sprzed lat, dawne, odległe ... Tak - bardzo - bardzo - kocham... Kogo chciała ciągle kochać? Jeszcze kochać? Gruba słonico! kogoś ty pragnęła kochać? Gruba słonico robolu: obiad jest?

A może już nie pragnęła tego słowa: kocham? Może oczekiwała tylko ludzkiej życzliwości, przyjaźni,

szacunku? Dla siebie, dla swoich skrywanych myśli? Wymijali ją codziennie. W każdej godzinie. Oni, jej najbliżsi. Mąż i córka. Nikogo poza nimi. Żadnych znajomych, dalszych ani bliższych. Od rana do wieczora z nimi. Skazała się na ich wyłączność dobrowolnie? Zrezygnowała z własnego życia dla nich? Czy doszła w którymś momencie do wniosku, że je przegrała i że nie warto już walczyć? I odtąd zagniała pyszne pyzy, piekła najlepszą w świecie pieczeń wołową? Od tąd już tylko te pyzy i pieczeń, i coraz niżej opuszczana głowa?

W każdym meblu, w każdej płytce podłogi, w każdym przedmiocie wszędzie, we wszystkim w tym domu ciągle jeszcze jest matka. Jakże się nauczyć jej na nowo, od początku, jakże ją poznać, zrozumieć, skoro ma przyjść jakaś obca kobieta, obce ręce zaczną sprzątać i pozacierają wszelkie ślady po matce. Wpatrując się w postarzałą, zmęczoną twarz ojca, pomyślała: to my, my będziemy, my musimy opierać się i sprzątać i sami po sobie, my, nikt inny nie ma prawa tu wejść. Lecz ojciec zaciskał wargi coraz szczelniej, więc powiedziała szybko: ja. Ja będę. Ty?, parsknął ojciec, co to za wygłupy? Ja, powtórzyła, objęła swojego ojca mocno, tak bardzo chciała go kochać jak dawniej, a tyle już ich rozdzielało, już dwa razy uderzała go suchymi, ciągle bez jednej łzy oczami; tato, a proszę cię, ja błagam, nikogo tu obcego, tato! Ja nauczę się szybko i gotować, i sprzątać... Lecz ojciec ją odepchnął, powiedział: ty chyba zwariowałaś, Olka, czy zdajesz sobie sprawę, co to znaczy prowadzić dom? A ja muszę mieć normalny dom! Tak, tato, wiem, wiem, musisz i będziesz go miał, i wszystko będzie tak samo jak kiedyś, zanim mama od nas odeszła, o to właśnie mi chodzi, aby niczego nie zmieniać. Kupię książkę kuharską, nauczę się raz-dwa, zobaczysz: wołowinka - pycha, pycha!

Odepchnął ją znowu, nie chciał tego słuchać; idiotka, syknął, więc uderzyła go oczami, powiedziała: jeżeli sprowadzisz kogokolwiek do tego

domu, ucieknę, odnajdziesz mnie przez milicję, ucieknę po raz drugi, zawsze będę uciekać, rozumiesz?

Chyba się jednak przestraszył. A może dla świętego spokoju powiedział: ty masz charakterek, machnął ręką, po mnie ten charakterek, zawzięta jesteś, no, no. Próbuje, skoro ci na tym aż tak zależy. Tylko pamiętaj, sama chciałaś. W razie czego - zawsze mogę zawołać Kozłowską.

Raz-dwa to się nie nauczyła. Na początku nie wiedziała, gdzie i w co ręce wsadzić, jak się do czego zabrać. A dziś po raz pierwszy udały się pyzy. Były takie, jakby je gotowała matka.

Poszła odnieść popielniczkę. U matki nic się nigdzie nie walało, wszystko stało na swoim miejscu.

Wykręciła numer do Maćka.

- Co jest z tobą, Olka? - głos Komornickiego był gniewny. - Znowu zapomniałaś?

- Cholera, tak - odpowiedziała. ~ Wskakuj w buty i ładuj!

~ Słuchaj, Maciek... - zaczęła, nie miała najmniejszej ochoty nigdzie ładować, a zwłaszcza na drugi koniec miasta i zwłaszcza do Komornickiego- Już dawno przestały ją bawić wygłupy na czwartkowych

spotkaniach.

~ Ty, Olka! - przerwał podniesionym głosem - na poprzednim również nie byłaś! Wszyscy przychodzą, bawimy się świetnie jak zwykle, tylko ty się wyłamujesz.

Ustyszała w słuchawce chichoty. Może oni rzeczywiście bawią się świetnie, a może tylko udają, że się bawią.

- Olka? Jesteś tam? - zdenerwował się Maciek. - Każę zaraz starej wystartować po ciebie!
- Maciek, posłuchaj... - ale on już szcęknął słuchawką.

Cholera, pomyślała, teraz mus, bo co powiem Komornickiej?, że zasuwała na próżno?

Maciek należał teraz do absolutnej elity. Nikt nie mógł się z nim równać. Chyba Malwina Kołodziejczyków, ale Mańka robiła w tym roku maturę i na takich pętałów z drugiej licealnej nie zwracała najmniejszej uwagi. Starzy Malwiny zarabiali niełichy szmal na wczesnej sałatce, rzodkieweczkach, szklarniowych ogórasach i pomidorasach, tudzież innych nowalijkach, lecz łązili w walonkach i dotąd mieszkali w starej chałupie krytej papą. Ojciec Dudka Kaczmarka pięć lat budował się i wybudował parterowe pudełko, nawet na garaż mu nie starczyło z jego komendanckiej pensji.

Dlaczego akurat ich: Dudka, Matulę, Tadka, Joluskę i ją, Aleksandrę! Marciniak, wybrał król Maciuś na stałych bywalców swoich apartamentów? - nad tym się zastanawiała do niedawna, bo długo czuła się wyróżniona, a przez to lepsza, wspanialsza od owej nędznej reszty klasy, dla której - a jakże - raz w miesiącu Maciek wydawał tak zwane party, już nie w swoich osobistych salonach, lecz na dole willi, w tym olbrzymim holu z] kominkiem. Na party uczęszczała klasowa hołota, ich piątka należała do '< ścisłego Parnasu. Hołota plątała się na dole między drogimi, miękkimi] fotelami, deptała onieśmielona puszysty dywan, nie wiedziała, czy ma stać, czy siadać, ścisłała w spoconych paluchach talerzyki z horteksowym tortem, oglądała zdumionymi oczami wykwintne koreczki z żółtego sera, jeszcze wykwintniejsze koreczki anchois; a oni, ich piątka, proszę, poruszali się tutaj pewnie, jak we własnym domu, rozwalali się w fotelach, nieobca im już była wykwintna nazwa „anchois”, wiedzieli, w jakiej szklaneczce pija się aperitif, posługiwali się widelczykami do tortu, jakby nigdy inaczej nie jadali ciast, tylko właśnie tak: wykwintnym, posrebrzanym, a może nawet srebrnym widelczykiem. Ta plącząca się hołota nie miała prawa wstępu na rzeźbione ozdobne schody i nie wyobrażała sobie, jak

wyglądają apartamenty ich klasowego kolegi. Moje apartamenty, podkreślał Maciek, inaczej nie nazywał swoich dwóch pokoi i własnej łazienki wyłożonej jasnobłękitną glazurą.

Willa Komornickich nie miała sobie równej w pejzażu Orzelska. Burzyła wszystkie dotychczasowe pojęcia miejscowych o tym, jak powinien wyglądać prywatny dom. Wjeżdżający do miasta od strony Grobek z ostrego łuku szosy widzieli ją jak na dłoni. Zdawała się wysuwać wprost ze zbocza wzgórza,

szokując nieregularnymi spadkami i załamaniem dachu, oślepiając jaskrawą bielą ścian. Nawet drzwi i okna były inne -łukowe, w drewnie pomalowanym na kolor bordo.

Inny świat po prostu. Świat luksusu z zachodniego filmu, przeniesiony do Orzelska. Nawet domofon tu zainstalowano: nie wpuszczą cię, zanim nie podasz swojego nazwiska. Jeżeli im to nazwisko nie odpowiada, głosem służącej, Dominiki, odpowiedzą: państwa nie ma w domu. I cześć. I finito. Państwa nie ma, poszła won, hołoto. Maciek zostawił Dominice listę, na której widniało tylko pięć nazwisk, ani jednego więcej. Jeżeli nosisz nazwisko Marciniak, skądinąd bynajmniej nie luksusowe, a przeciwnie: mocno pospolite, nawet prostackie, lecz jesteś na liście, proszę - sygnał oddzwania, państwo są w domu, możesz wejść.

I wchodziłaś, Aleksandro Marciniak, wnosząc swoje mało wykwintne, a jednak wyróżnione nazwisko, i byłaś tym zachwycona, nie udawaj, że było inaczej. Z każdym krokiem oddalałaś się od pospolitości, zwyczajności, szpetoty orzelskich uliczek, na których, poza dwiema głównymi: Wojska Polskiego i Tadeusza Kościuszki, wszędzie gdaczą kury, w kałużach taplają się kaczucho, a między krzywymi komórkami na smrodliwych podwórkach w pogodne, słoneczne dni hasają świni. Zostawiałaś za sobą chamstwo facetów o zarośniętych szczeciną pyskach, zataczających się od rana pod restauracją o optymistycznej nazwie „Jutrzenka”, chociaż ta restauracja wcale od rana nie jest czynna, i te baby, co to: moja Pani, a słyszała pani, moja pani...? I gdyby cię Maciek nie wybrał na godną swoich osobistych apartamentów, nie wiedziałabyś nawet, że taki świat istnieje naprawdę, nie tylko na zachodnich filmach - wypachniony yardleyem, palmolivem, Heleną Rubinstein, miękkimi, puszystymi, gładkimi, drogi, luksusowymi. Za dolary. Za dużo, dużo zielonych.

Popatrz, popatrz, Olu, kiedy wyjeżdżali, mawiał ojciec po każdej wizycie z zębem do plombowania u Komornickich, nie mieli prawie nic, no, może trochę więcej niż inni, bo dwa pokoje nad ośrodkiem zdrowia, dużego fiata. I zaledwie cztery lata im tam wystarczyło, cztery latka! i do końca życia urzędzeni, dranie, taki szmal, ale draniom ciągle mało, ty wiesz, Oluniu, ile zapłaciłem za głupią plombę? Dranie, dranie! Nie wiedzą, co robić z forszą, a za plombę każą płacić dwa patyki!

To lecz zęby w ośrodku, powiedziała mu raz. Sama sobie lecz w ośrodku!, sapnął ojciec z irytacją, to cholerne, przedpotopowe wiertło na nogę, jak za króla Ćwieczka, aż ci w mózgu zgrzyta!

No to płac dwa patyki i nie stękać, że zdzierają. Luksus kosztuje, chciałbyś za darmo znieczulający zastrzyk i szybkoobrotową maszynę?

Podeszła do okna. Już zaraz wieczór. Ojciec teraz pewno grzmi przed Banaszakiem na draństwo trepów, którzy go wysadzili z siodła, wróci podпиты, jak zwykle od Banaszaka. Pod blok lada moment podjedzie cytrynowy datsun Komornickiej. Jeszcze półtora roku temu, pomyślała, opierając się czołem o szybę, zamiast stać w oknie tak spokojnie i czekać, chyba przebijałabym głową sufit z dumy, że po mnie, Aleksandrę Marciniak, Maciek wysyła wóz. Ze swoją matką, pachnącą masumami, za kierownicą.

Przyjdź, Ola. Mam nowe hity, ostatnie przeboje babci Tiny, prosił Maciek. Ale babka z niej, mówię ci, Olka, jest na co popatrzeć, przyjdź, namawiał Tadek. Jakoś bez ciebie, matka, nieklawo, a Maciek smętny, skąpy się zrobił, wydziela nam, o, popatrz: po takim kawałku tortu, mówi, że chowa dla ciebie, matka, dowcipkował Dudek. Tylko Joluska, zazdrosna o Maćka, wzruszała niechętnie ramionami: nie chce, to nie. I po co wy ją tak prosicie?

Gdzieś byś wyszła, zabawiła się, odprężyła, Oluniu, gderał ojciec. A ty dzień w dzień na cmentarzu. Wychudłaś. Zmizerniałaś. Pamiętasz, Olunia, kiedyś co tydzień ganiałaś do Komornickich? Maciek przestał cię zapraszać?

No dobrze, pójdzie. Pewno, trzeba zacząć znowu gdzieś łązić, rozmawiać z ludźmi.

Na krzewach, rosnących po obu stronach ścieżki, białawe owocki zaczynały nabierać czerwonej barwy. Już jesień, pomyślała wtedy, pamięta to doskonale i pamięta swoje zdumienie: co? już jesień?, a jeszcze przed paroma miesiącami była wiosna, tamta wczesna wiosna, i tak jaskrawo zachodziło słońce za oknem. Tak różowo odbijało się w szeroko otwartych oczach matki. Więc to tak dawno? Bo już jednak jesień... Niedługo owocki ponad metalicznymi liśćmi krzewów, których wykwiłtej nazwy jakoś nie potrafiła zapamiętać, aż obrzmieją czerwienią i zaczną opadać Na zimny śnieg, płonąc na jego bieli podobne kroplom krwi.

Dominika otworzyła drzwi, pani Komornicka zastukała wysokimi obcasami: Ola, jakże się cieszę, kochanie, że cię widzę! Tak dawno nie byłaś u nas

Rzeczywiście, nie byłam.

Tak dawno, że zdążyła zapomnieć o tym innym świecie, którego tak pragnęła dla siebie, którego tak zazdrościła, który ją aż tak olśniewał i przytłaczał jednocześnie. Olśniewał i teraz. Patrzyła na rozległy hol, zamknięty przeszkloną ścianą, wyłożony olbrzymim dywanem, robionym na zamówienie u elbląskiego plastyka, zastawiony fotelami, pufami; ile takich dwunastometrowych klitek zmieściłoby się tutaj? Dwie? Trzy? Co najmniej trzy. Trzy życiowe przestrzenie rodziny Marciniaków. I nagle zobaczyli swoją matkę, tę grubą bekę, tę słońcę, tego robola; trzymaj, matka, torebkę w garści, równaj krok, i ty, Olunia, też równaj krok, idziemy oglądać nasze nowe mieszkanie, oznajmił ojciec. Potem przez całą drogę plół o trepach i o tym, że gdyby on do nich przystał, to już dawno mogliby żyć jak ludzie, nie jak bydło, ale trzeba mieć swoje poglądy i być im wiernym, a ty, matka, równaj, równaj! Mimo rozważań o trepach ojciec tryskał humorem: no, matka, wrzuć trójkę; bo matka nie mogła za nimi nadążyć; szybciej, mamo, co się tak wleciesz?, powtarzała za ojcem; musisz skończyć kurs prawa jazdy, dowcipkował ojciec, albo kowalski, sapiesz jak miech u kowala, o, to tam! ten ostatni, jeszcze nie otynkowany blok, trzecie piętro, w sam raz na nasze młode nogi, ojciec wciąż dowcipkował, jeszcze nad nami będzie czwarte, bo te orzelskie drapacze chmur, cha, cha. aż czteropiętrowe, cha, cha... Ojciec otworzył drzwi, już miał nawet klucze; włączyć, Marciniaki, zawołał, matka w przedpokoju zadyszała urywanie: mój Boże, mój Boże... i nagle puściła się kaczym kłusem do pierwszych lepszych drzwi, a one prowadziły do tego największego pokoju, w porównaniu z holem Komornickich - ciasnej kliteczki, ale w porównaniu z całą dotychczasową przestrzenią życiową Marciniaków - na której wszystko było razem: i kuchnia węglowa, oddzielona od "sypialni" szafą, i szafa, i tapczan, i wersalka, i stolik przy kuchni węglowej. służący jako deska do

prasowania, blat do zagniatania ciasta, siekania mięsa, biurko do odrabiania lekcji, stół do jedzenia posiłków - ten największy pokój w nowym mieszkaniu musiał się wydawać matce jakąś Przeogromną, bezmierną przestrzenią. Ściana z szerokim oknem balkonowym otwierała się widokiem na niebo, zachodziło krwawo zimowe słońce. Matka powoli osuwała się na kolana. Mamo, powiedziała do niej z niesmakiem, co się wygłupiasz? Lecz matka nadal klęczała. Twarz miała uniesioną ku temu zachodzącemu szybko słońcu, więc łzy toczące się po jej grubych policzkach załśniły też krwawo. Przesuwała palcami po podłodze, jakby sprawdzając, czy ta podłoga, zabrudzona wapnem, ist nieje naprawdę. Co z tobą, matka?, ojciec zacisnął usta, wstańże! Chodź obejrzyj resztę: drugi pokój, kuchnię, łazienkę. Ale matka pokręciła głową, że nie. Nie chce. Słuchaj, zdenerwował się nie na żarty ojciec, czy ty ze wszystkiego musisz robić cyrk?

Nic się u nas nie zmieniło przez ten czas, Olu, odezwała się pani Komornicka lekko zniecierpliwionym tonem.

„Ten czas” to znaczy: jaki czas?, pomyślała.

Tak dziwnie mi się przyglądasz, Olu. To nie jest grzeczne, powiedziała pani Komornicka.

Matka Maćka, jakże to doskonale pamięta!, miała na sobie popielatą suknię, przy szyi spiętą perłową broszką, którą właśnie poprawiała smukłymi palcami.

Naprawdę, Olu. nie patrz w ten sposób. Ja również się nie zmieniałam, powiedziała pani Komornicka, idź do Macusia, on się ciebie nie może doczekać.

Cytrynowy datsun wjeżdżał na międzyblokowy parking. Narzuciła kurtkę, wybiegła. Zbiegając ze schodów, pomyślała o tej eleganckiej, luksusowej, pachnącej masumi i tak doskonale wiedzącej, co jest grzeczne, a co nie, kobiecie, że ma wszystko poza jednym: miłością syna.

Maciek na drzwiach swoich apartamentów wywiesił napis: OBCYM BEZ PUKANIA WSTĘP SUROWO WZBRONIONY! Napis dotyczył wyłącznie pani Komornickiej i pana Komornickiego. Wszystkim innym wolno było bez pukania. Nawet Dominice.

- Przykro mi, że Maciek panią fatygował - powiedziała wsiadając. Jeszcze nie tak dawno, pomyślała, umierałabym z zachwyty, ze szczęścia i Bóg wie z czego jeszcze, pragnąc, aby każdy przechodzący orzelską ulicą ćwok, każda moja pani, każda koleżanka byli świadkami mojego osobistego awansu - przejażdżki datsunem z Komornicką przy kierownicy.

- Przecież wiesz, Olu, jak jest-odezwała się cicho Komornicka, wrzuciła bieg, datsun popłynął. Pełen luksus.

Dystyngowany profil Komornickiej wyrzynał się bielą spośród mroku, pył nieruchomy. Błyskało oko. Kącik ust, pachnących pomadką yardleya - obwiedziony promieniście drobnymi strumyczkami. Ale to

nie były strumyczki uśmiechów. Często musiała u tych warg kropelka słona piec goryczą.

Mówiłaś coś do mnie, Olu? - Komornicka wzięła pewnie ostry zakręt, z wąskiej ulicy Wierzbowej wjechała w Wojska Polskiego, główną Orzelską arterię. - Nie, proszę pani.

Synku, synku, dlaczego? Ty nie wiesz, dlaczego? Ty? Boże, synku, jak długo będziesz mi pamiętał? Ulituj się nade mną, wybac. A ty, wyjeżdżając razem z ojcem, zostawiając mnie tu samego, litowałaś się nade

mną?

Za późno ich spostrzega, nie może się już cofnąć. Poprzez gałęzie bujnego jaśminu widać głowy matki i syna, obok siebie. Jakby przytulone, jakby się wzajemnie wspierające. Maciek z matką leżak w leżak. Jest piękny dzień, środek maja, a ją zabolął ząb. Pana doktora nie ma, a pani doktor z Maćkiem w ogrodzie, informuje Dominika.

Boże, synku, przecież zostawiliśmy cię pod opieką babci! Ty to nazywasz opieką? Skąd mogliśmy przewidzieć, że tak się stanie, synku? No, pewno, skąd, racja, racja! Nie mogliście w żaden sposób przewidzieć, że babcia wykorkuje po pół roku! Babcia była młoda, siedemdziesięcioletnia kózka, prawda? Przecież my z ojcem dla ciebie, synku... Doprawdy? Dla mnie? Teraz mi zasuniesz, że cały czas robiliście szmal z moim imieniem na ustach? Boże, Boże! Ty nawet nie masz prawa wzywać Boga. Synku, nie wiesz, nie wyobrazasz sobie, co ja tam cały czas przeżywałam... A ja, obsmarkany ośmiolatek, który rano, zamiast babci przygotowującej wnuczce śniadanko do szkółki, znalazł zimnego trupa, to co przeżywałam, mamu? Synku! Co: synku? No, co? Nawet na pogrzeb własnej matki nie przyjechałaś, a przecież wysłali wam depeszę! Ta depesza, synku... Tak, wiem, słyszałem tysiąc razy: depesza się spóźniła, odnalazła was w dwa tygodnie po śmierci babci. Ale ja nie umarłem razem z nią, mnie najpierw wzięli dobrzy ludzie, którzy liczyli na waszą rodzicielską wdzięczność w zielonych, a kiedy przestali liczyć - oddali na Państwowy wikt i opierunek. Synku, zrozum: to była nasza jedyna szansa na dorobienie się czegoś w życiu. Tyle pieniędzy pochłonął wyjazd, musieliśmy sprzedać fiata, żeby pokryć koszt dwóch zaproszeń, podróży -wszystko rzucić? wracać? tak na pusto? Pisaliśmy przecież listy... O tak pisaliście! Co za sensacja w przytułku: widzicie go, sierotkę zakichanego i tatuśka ma, i mamuśkę też, i nawet liściki od tatuśka i mamuśki, śliczne liściki, miłosne liściki, ze znaczkiem za całe dwadzieścia centów, bo lotnicze liściki ślą tatusiek i mamuśka, co to tak kochają swojego sierotkę, że nawet nie oszczędzają na znaczku...

Trzaska gałązka. Głowy odskakują od siebie. Wychodzi zza jaśminu Cześć, Olka, mówi leniwie Maciek, właśnie sobie tutaj leżę i gawędzę z moją starą. Dawno się przytrafałaś? Starając się, aby głos wypadł możliwie naturalnie, odpowiada: miotam się po ogrodzie od dziesięciu minut dopiero teraz patrzę, a ty tu. Dzień dobry pani, pani doktor. Bardzo mnie boli ząb. To leć, stara, z Olką i załataj jej ten ząb. A nie waż się wziąć od niej forsy. Uśmiech Komornickiej wypada blade: przecież nigdy z ojcem nie bierzemy



pieniędzy za leczenie twoich przyjaciół.

- Dojeżdżamy, Olu-bezsensownie odezwała się Komornicka, ponieważ już skręcała w bramę, a garaż z zapalonym wewnątrz światłem wyglądał niczym otwarta drapieżnie paszcza, w którą powoli, ostrożnie i już nie tak pewnie wsunął się cytrynowy datsun. - Gdy będziesz wychodzić od Maćka - Komornicka z pochyloną głową ściągała rękawiczkę - daj znać przez Dominikę. Maciek prosił, żeby cię odwiedzić.

- Dziękuję bardzo, lecz to naprawdę zbyt wiele. Komornicka szarpała się z drugą.

- Przecież wiesz, że robię wszystko, co on tylko zechce, Olu - odpowiedziała cicho. Kącik jej pachnących yardleyowską pomadką ust zadrżał bezradnie, boleśnie. - A dziś jest od samego rana w nieszczęśliwym nastroju. No, idź już do niego, idź. Denerwował się, że przestałaś przychodzić. On cię bardzo lubi, Olu. To nie jest aż taki zły chłopak, naprawdę. Pomóż mu, Olu, jemu kiedyś musi minąć ten zły okres.

Wewnętrzne schody prowadzą z garażu wprost do holu. Cicho, nikogo. Przyćmione światła boczne w kinkietach. Krok tłumiony dywanem. i gniew też jakby tłumiony: taki wielki, luksusowy dom, zaledwie dla trojga osób. Każda z nich ma własne apartamenty z oddzielną łazienką. Chłopak nie aż tak zły, kiedy jest w swoim nieszczęśliwym nastroju, demonstruje ów nastrój w bardzo szczególny sposób. Na przykład mrużąc długie, dziewczynskie rzęsy, mówi: Matula, teraz będziesz moim psem, waruj! I Matula posłusznie waruje. Dobry piesek, posłuszny pieseczek, w nagrodę, na kosteczkę, pieseczku! Kosteczka w języku nie aż tak złego chłopaka oznacza pięciocentówkę. Czasem fajkę. Nie jakąś zwykłą, | rzecz jasna, lecz dolarową, marlboro chociażby. Piesek, aport! I fajka ląduje na podłodze. Ależ nie, nie na podłodze, tu nie ma podłóg, tu są albo ceramiczne płytki, albo wykładzina pod kolor mebli, albo dywany. Piesek, czyli Matula, aportując skacze na czworakach, szczeka; potrafi wargami uchwycić fajkę i odnieść panu - rozpartemu w swoim osobistym fotelu nie aż tak złemu chłopakowi, który wciąż mrużąc długie rzęsy, mówi łaskawie: twoja kosteczka, pieseczku, twoja. A oni wszyscy zarykują się ze śmiechu. Ten Maciek! Jak on już coś wymyśli! No nie, ludzie, trzymajcie mnie, patrzcie na Matule Maciek! Maciek! jeszcze raz, Maciek! O Jezu, Maciek, tusz mi się od śmiechu rozmaszał! Oni? \

Dlaczego: oni? A gdzie się podziewa Aleksandra Marciniak? Nie ma jej? Wyraża protest przeciwko zamienianiu Matuli w aportującego psa? Maciek! brawo! Maciek, jesteś niezrównany! Jeszcze Maciek, jeszcze!

Jeszcze? Czemu by nie? Teraz ty, Tadek! Aport! Aport! Coś ty, Maciek, czy ja Matula? Długie rzęsy Maćka zwijają się w falującą frędzlę. Słusznie, Tadek, słusznie, ty nie Matula. Tobie byle kosteczka nie wystarczy. Ty masz poczucie godności własnej. Tobie należy się duża miska dobrych kosteczek. Więc aport, Tadek, aport! Popatrzcie, ludzie, ale on ma jednak to poczucie! Jeszcze mu mało? Za dziesięć kosteczek marlboro nie chce aportować! No, Tadziu, a teraz? Pełniutka paczuska.

Fe, nieposłuszny piesek! Tadek, nie bądź świnia, nie psuj zabawy innym, aport, Tadek, aport!

Śmieją się. Pękają ze śmiechu. Żałują, że nie aż tak zły chłopak im nie każe aportować nowiutkiej, nie zaczętej paczki marlboro.

Oni? A czy ja, Aleksandra Marciniak, nie spoglądam na tę paczuszkę za zielone łakomy wzrokiem? Czyż nie wyobrażam sobie, że należy do mnie, jest moja? To przecież tylko wygłup, taki aport, trochę poskaczysz, p°opętasz i już twoje.

To tylko zwykły wygłup »nie aż tak zły chłopak, kiedy jest w swoim nieszczególnym nastroju, staje się niezwykle hojny, szasta paczuszkami marlboro, rozsypuje nawet dziesięciocentówki: macie, pieski, kupcie sobie gumę do żucia. Tak, faktycznie: jeśli nie aż tak zły chłopak ma napad, czwartkowe spotkania są urozmaicone, wprost frapujące; jeśli natomiast czuje się normalnie -spotkania są wręcz nudne, słucha się nagrań, ogląda

wideo, popali fajkę, spije drinka i wszystko. Normalny Maciek nikogo nie poniża, nie bawi się kosztem innych.

Najpierw tresował Matulę. Potem Tadka. Potem może Joluskę. tego nie wie, po śmierci matki nie przychodziła tu długo, a kiedy przyszła ponownie, oni już bawili się przede wszystkim w dorosłość. Jesteśmy już dorośli, panowie, panie, oznajmił uroczyście Maciek, precz z tortami, precz z aperitifami, niech żyją drinki! Odtąd, panie, panowie, będziemy spijając wyłącznie drinki! Ja wam pokażę, panie, panowie, jak to się robi, ja was nauczę je spijać. Drinki, panie, panowie - to jest to!

Ćmili marlboro albo oscary, cmok, cmok, spowijali się wonnym dymem za zielone, jakże różnym od swojskiego dymu klubowych, które cmokali ich rodzice. Spijali drinki, martini z cytrynką i wodą sodową albo z tonikiem, jak kto woli, a może cinzano z odrobiną dżinu? Proszę! proszę! Zakładali nogę na nogę, pili, ćmili, cmokali, byli już przecież dorośli, każde z nich zostawiło za sobą niedawno szesnaste urodziny, byli dorośli, uczęszczali aż do drugiej licealnej, do matury zaledwie jeden krok. Oglądali po raz dziesiąty „Gwiezdne wojny" na wideo; porno, Maciek, nie masz? Porno! porno! to by było to! Ale porno Maciek nie miał; starzy nie chcą dostarczyć, cholera. Przyduś ich, co jest z tymi twoimi starymi? Stawiają ci się? Porno! Porno to by było to! Zamiast porno puszczały hity, miał ich na kopy, Steve Wonder, Madonna, Nicholson i inni, wszystko z kursu. Ale ten? Chyba z lamusa wyciągnięty? Gęba jak kubeł, stary pryk, a się miota. Panowie, panie! jakież z was prostactwo, przecież to sam B. B. King! Co za cholera ten twój King? Maciek, dawaj coś z biglem, reggae dawaj, disco dawaj! A ja, Dudek-Tarzan, ja chcę metal! Bo metal to jest to! To jest siła, to są mięśnie! Precz ze słabością! Coś ty, Dudek, a ja chcę tańczyć, disco, powyginamy się przynajmniej... Panowie, panowie, King to król bluesa, prostactwo z was orzelskie, niebawale, wiecie wy przynajmniej, ile on żąda za jeden koncert? Nie aż tak zły chłopak ostatnio stał się bywały, światowy, zgrywając na dorosłość; chociaż poza Orzelskiem niewiele widział, przez trzy lata z okładem siedział przecież w przytułku, w jakiejś Radziejówce, a tu proszę: zasuwa o bluesie i B. B. Kingu, jakby sam kupował w Miami bilet na koncert króla bluesa. Pacany wy orzelskie, to ja wam urządzę najpierw wykład o bluesie, blues, pacany, to jest właśnie to! Załapujecie więc, czym jest blues?

Stos sprowadzanych z zagranicy czasopism o lśniących okładkach; macie, pacany orzelskie, liźnijcie trochę światowej ogłady, poznajcie, co jest co, a kto jest kto! Więc liżą, oglądają kolorowe reklamy; ale chałupa, matko święta, ale meble, jasny gwint, ale facetki, a niech je!, ale facety, co jeden to ma równiejsze zęby, i jak oni to robią, że mają takie białe i takie rovvne? Aż w oczach się ćmi od kolorów, to jest dopiero ten świat, ach, goże, ale gdzie on jest? Połyskliwe reklamy aut, coca-coli, wykwintnych Woreczków anchois, pomadek yardleya i hot dogów McDonalda; kompendium wiedzy o luksusie, wytworności, o tym, co i z czym, i jak się miesza, w czym podaje, w co się ubiera, czym się jeździ, jak się mieszka, na czym śpi i czego się powinno słuchać. To co, panie, panowie, puścić wam Modorn Talking"? Och, daj spokój, Maciek, oczywiście tylko B. B. Ikunga, króla bluesa, bo blues to jest to!

Po półrocznej nieobecności i codziennych odwiedzinach u matki, przyglądała się im i myślała: a ja co tu robię?

Kaleka ręka Maćka jak zawsze ułożona na kolanach, niczym na pierwszy rzut oka nie różniąca się od zdrowej, prawej, władnej. Biedny chłopak, powiedziała kiedyś matka. Kto?, zapytał ojciec. Maciek Komornicki, odparła matka. On?, prychnął ojciec, chciałbym być taki biedny jak ten szczeniak. Mówią, że mu podobno otworzyli konto z pięcioma tysiącami wkładu. Ty sobie zdajesz sprawę, matka, jaki to pieniądz? Ola, a ty?, pochwycił kartkę, zaczął wyliczać: na dziewięć procent to od pięciu tysięcy dolców ten biedny chłopak ma czterysta pięćdziesiąt dolarów po roku, a po drugim już ma... zaraz... zaraz: procent będzie około pięciuset dolarów, to po trzech latach... a, cholera, co ja tam będę liczył, harując do końca życia nie uzbieramy takiej forsy, jaka temu szczeniakowi skapnęła za darmo. No nie, Ola? mam rację? Tak, tato, masz rację. Aż się wątroba w człowieku gotuje na myśl, że taki szczeniak... prawda, Ola? Prawda, tato. To po co ty do Maćka chodzisz, Olu?, zapytała matka. Jak to: po co? O Boże, jaka głupia, na niczym się nie zna, niczego nie rozumie, nigdy na oczy nie oglądała czegoś takiego jak willa Komornickich wewnątrz. Żebyś ty, mamó, zobaczyła, jak oni mieszkają! A Maciek ma dwa własne pokoje, z osobną łazienką. I ma swój telewizor. Kolorowy, oczywiście. Ma wideo. Ma wszystko. A jego starzy muszą tak skakać, jak on im zagra. Odbija sobie teraz to, że go zostawili. No i ta ręka. Raz mu się zadarł rękaw koszuli, mówię ci, mamó, cała pociachana, od przegubu aż do łokcia. Biedny, biedny chłopak, z uporem powtórzyła matka. A ty mu, Olu, zazdrościsz tego telewizora kolorowego, wideo i łazienki. A może on oczekuje od ciebie właśnie jakiegoś dobrego słowa? Ojciec roześmiał się: czort swoje, a pop swoje, cha, cha, cha, Olu. Cha, cha, tato. Bo ojciec był mądry, wspomniały. Ojciec zarabiał na rodzinę. Ojciec

pracował. Ojciec znał się na ludziach, ojciec ferował wyroki. Cokolwiek by matka powiedziała, zawsze to się ojcu wydawało albo dziwne, albo po prostu głupie. Więc i ja. ja też. za ojcem. Jak papuga. Cha. cha. cha, jakże nas bawiły twoje odzywki, mamó. Dlatego w którymś momencie/-nie mogąc od nas odejść - zamilkłaś, swoje rozmowy z nami sprowadzając do: obiad smakował? Wołowinka miękka? Jedyne co ci, mamó, pozostało do obrony przed nami to ta ucieczka w milczenie.

Obiad jest.

Tak. Oczywiście. Jest. tylko tyle odpowiadała matka na codzienne dopytywanie ojca.

OBCYM BEZ PUKANIA WSTĘP SUROWO WZBRONIONY! Nie była obca. mogła wejść.

- No, jesteś nareszcie! - powitał ją Maciek. Siedział jak zwykle w swoim osobistym fotelu, w którym nikt inny poza nim nie miał prawa usadzić tyłka. Tak kiedyś powiedział do Dudka: zabierz stąd brudny tyłek. To mój fotel. Nie Życzę sobie, aby ktokolwiek z was usadzał w nim swój brudny tyłek.

Joluska nie miała uszczęśliwionej miny. Coś tam pomiędzy nią a Maćkiem ostatnio się popsło. Maciek już nie obwoził Joluski datsunem po Orzelsku. Traktował ją dość brutalnie. Słuchaj, krowo, mówił, odwal się. Biedna Joluska wyłaziła ze skóry, żeby mu się przypodobać.

Za to chłopcy wyraźnie się ożywili. Tadek pstryknął pilotem, efektowna babcia Tina, ostatnie światowe odkrycie Maćka, rozplynęła się na

ekranie w nicość.

- Cześć. Olka - powiedział Tadek.

- Raczyłaś się przywlec, matka - zagrział Dudek - a my już drinki rozpiiliśmy I nudno nam bez ciebie.

- Mnie tam nie nudno - mruknęła Joluska.

- Zrobić jej drinka, Maciek? - poderwał się Matula.

- Zrób. Podwójnego.

- Dziękuję, ale nie - powiedziała siadając.

- Jeśli dają za darmo. bierz - roześmiał się Tadek.

- Olka nie od dzisiaj udaje, że jej na nas nie zależy. Prawda, Maciusiu?

- zaćwierkała Joluska.

- Zamknij się - ściał Joluskę Maciek. - Dlaczego nie chcesz? Zawsze chciałaś, może nie?, a raptem nie chcesz? Nie odpowiadają ci już moje drinki? Dają ci gdzieś lepsze? Stał się agresywny. Odepchnął Joluskę. Odepchnął Matulę.

- Sam jej przyrządzę!

Lewa ręka, zrzucona gwałtownie z kolan, zadyndała. Poprzecinał w tym domu dziecka razem z żyłami i ścięgna. Rękę miał bezwładną, a palce przykurczone.

- Ty, matka, weź, nie wygłupiaj się-szepnął Dudek. -On dziś ma napad szczególnego humoru. Matulę chciał dla draki owinąć papierem toaletowym i podpalić. Był ciekawy, czy Matula potrafi skamleć o litość. Ledwośmy go z Tadkiem odciągnęli od tego zamiaru.

- Co ty tam, osiłku, szepczesz? To jest chamstwo, wiesz? - wycedził Maciek, odwracając się od podręcznego barku.

- Och, Maciek! Dawaj tego drinka i nie czepiaj się Dudka - powiedziała pojednawczo.

- No i bierze! - prychnęła Joluska. - Jaka cwaniucha. Jej chodziło o pokazanie nam wszystkim, co ona może z Maćkiem.

- Zamkniesz ty nareszcie swój dziób? - syknął wściekle Maciek. Joluska przygryzła wargę.

Upiła łyk. Trzeba przyznać: dobre. Nawet bardzo dobre. Pycha po prostu. Ale nie aż taka, żeby za nią pozwalać na pomiatanie sobą. Maciek, już odprężony, sadowił się w swoim fotelu.

- Powiedz ty mi, Maciek - odezwała się - dlaczego pomiatanie innymi sprawia ci przyjemność?

Uśmiechnął się.

- Nie musicie na to pozwalać. Czy ja was zmuszam, żebyście do mnie przyłazili? Wypijali moje drinki? Wypalali moje fajki? Obżerali się moimi tortami? Zresztą wiecie już, co dobre. Wiecie, ile co jest warte. Bo w końcu w życiu co się tak naprawdę liczy? No? Pytanie za brudasa! Po kolei: Joluska? dla ciebie?

Joluska siedziała naburmuszona. Zła. Błysnęła oczami, ale odgryźć się nie ośmieliła. Joluska jest ładna, najładniejsza dziewczyna w budzie, nie tylko w klasie. Zanim Maciek wrócił z domu dziecka i zamieszkał w swoich apartamentach, Joluska i Tadek stanowili nierozłączną parę. Od pierwszej klasy podstawówki trzymali się za ręce. Narzeczeni. Pocałujcie się, narzeczeni, powiedział na którymś z coczwartkowych spotkań Maciek. Chcę zobaczyć, jak całują się ci, co kochają się naprawdę. I których nic nie potrafi rozdzielić, bo tak się ładnie kochają. Świnia z ciebie i tyle.

powiedziała odważnie Joluska. W niedługi czas po tym Maciek rozkazał: Joluska! chodź, pocałuj mnie. Pokaż wszystkim, jak wygląda twoja nowa miłość. Do mnie. Matula, my na czas. Liczysz. Tadek pobladł. Zabełkotał: coś ty, Maciek, coś ty. No, Joluska, pośpiesz się, powiedział Maciek. Joluska podeszła, pochyliła się nad siedzącym, jej ciemnokasztanowe włosy opadły na twarz Maćka, jakby tworząc zasłonę. Ty, szarpnął się Dudek do Tadka, ty pozwolisz? nie dasz mu w pysk? Ona go całuje, ludzie! naprawdę, usta w usta!, zapał Matula, odliczał: raz! dwa! trzy! pięć! siedem! dziesięć! jedenaście! Joluska, ty go zadusisz: dwanaście! Dwanaście sekund pocałunku, czy to jest rekord godny księgi Guinnessa? Bardzo błąd Tadek zapytał jeszcze: Joluska? Jak to, Joluska? a ja? Dlaczego, Joluska? Odpowiedz mu, Joluska, nakazał Maciek, że odtąd z nim nie chodzisz. Tadek, nie chodzę już z tobą, powiedziała szybko Joluska.

- No, Joluska? czy to za trudne dla ciebie pytanie?- rzęsy Maćka tworzyły idealnie puszystą kreseczkę.

- Daj jej spokój, Maciek-poprosił cicho Tadek. Cóż, stara miłość nie rdzewieje, a Joluska jest rzeczywiście śliczna.

- Proszę, jaki rycerz - zakpił Maciek. - To może ty, rycerzu, odpowiesz, pytanie to samo i stawka ta sama.

- No... - zająknął się Tadek, popatrzył po zebranych spłoszonym wzrokiem.

- Bo chyba na uczucie, Tadziu, już nie stawiasz? - kpił dalej Maciek.

- No... przyjaźń na przykład... cholera zresztą wie, co-zdenerwował się Tadek - i coś się tak do mnie przyczepił?

- Piękna sprawa: przyjaźń - rozmarzył się nagle Maciek, oczy w szparze rzęs załśniły. - Ty, Matula, wiele byś mógł powiedzieć na temat przyjaźni, prawda?

Matula skulił się, wciągnął szyję.

- Czego? czego ty ciągle mnie...

- Ja? Ależ niczego, piesku, nie obawiaj się, nie będę cię owijał w papier. Dobry piesek i wierny, aport, aport! - i Maciek roześmiał się. Joluska też. Ale Dudek siedział ponury, szczęka mu chodziła.

- Na ci, piesku, tego brudasa. - Maciek pogrzebał w kieszeni, wyjął plik pomiętych banknotów, zawsze nosił taki plik przy sobie; trzeba być przygotowanym, mawiał, że komuś za coś. Rzucił teraz Matuli wygnieciony paperek.

- Na dziś to chyba ci wystarczy, Maciek, cyrków z Matulą, co? - odezwał się zaczepnie Dudek. A Matula, zadowolony, że skończyło się na aporcie, otrzepywał kolana.

Gdy Maciek wrócił po trzech latach nieobecności do Orzelska i do budy, chodzili jeszcze do podstawówki. Okaleczona ręka Maćka, jego pobyt w domu dziecka wzbudzały zrozumiałe zainteresowanie, spotęgowane famą o Komornickich, którzy w Stanach zarobili niebotyczny szmal. Komornicy wynajęli parter w willi Kołodziejczyka, a ich datsun był pierwszym zachodnim wozem w Orzelsku, nikt tu nie miał podobnego, szpan kończył się na polonezach. Maciek, dopóki nie przeprowadzili się do własnej willi, nie urządzał czwartków ani comiesięcznych party dla hołoty. Ale od pierwszego dnia powrotu wyróżniał Matulińskiego, i głupi Matula szczyrzył zęby w jeszcze głępszych uśmiechach, cały w skowronkach, że Maciek ma tak krótką pamięć i chce się z nim nadal przyjaźnić. A przyjaźnili się od piaskownicy. Matulińska z Komornicką wyprowadzały bachorów na spacerki, a cała rodzina Matulińskich, dość liczna, z pociotkami i stryjkami, leczyła zęby poza kolejką w ośrodku zdrowia. Matulińscy bywali u Komornickich na brydżu i bez brydża, słowem-dwa zaprzyjaźnione domy. Matulińska łała krokodyle łzy, machała chusteczką, gdy Komornicy wyjeżdżali na saksy. Obiecywała zająć się Maciu-siem jak rodzonym. Potem umarła babka Maćka. Matulińska znowu łała ślęzy na pogrzebie, załamywała ręce, dziobała co chwila czule policzek Maćka i Maciek zamieszkał u Matulińskich. Razem z Matulą spał w jednym pokoju, jadł przy jednym stole, odrabiał lekcje łokieć w łokieć, idylla trwała, gdy jednak oczekiwana wdzięczność zza oceanu nie nadchodziła nawet w postaci marnych paczuszek z używanym odzieniem czy wkładanych do listów Jeffersonów, Matulińska każdej napotkanej w mieście osobie wywodziła listę przewin, jakich dopuścił się Maciek Komornicki: że je jak koń, drze spodnie na kolanach, rośnie za szybko, i w ogóle, proszę pani, to jest czarna niewdzięczność. O tym jednak, że po śmierci babki likwidowała mieszkanie swojej jedynej i najlepszej przyjaciółki, doktor Komornickiej, a graty sprzedała w zamian za dalszą opiekę nad Maciusiem, taktownie nie wspominała ani słowem, a te graty Komornickich były całkiem, całkiem. Któregoś dnia Matula, śliczny chłoptaş, anielski blondasek, zawołał na dużej przerwie dyszkancikiem ośmiolatka: Komornicki! chcę się na tobie przejechać! Do tej pory słyszy cieniutki głosik Matuli, w którym brzmi jakiś urągłiwy rozkaz, i płacziwą odpowiedź Maćka:

proszę cię, proszę, nie tutaj, nie przy nich! Maciek Komornicki nazywany był wtedy przez wszystkich Płaczusem. Płaczusiu, Płaczusiu, płacz

za mamusiu! - utkwiała w pamięci niegramatyczna rymowanka. Płaczek - raczek - nieboraczek - poszedł - w kącik - zgubił - fraczek! - Mama - tatko - odjechali - ale - raczka - nie - zabrali! Ta rymowanka była znacznie lepsza od pierwszej, kto ją ułożył? Może Tadek, miał zdolności do rymowania, a może Kryska? Może Joluska? Może wszyscy razem dobierali rymy do raczka-nieboraczka? W każdym razie często obtańcowywali zasmarkanego Maćka, skandując: Flaczek - raczek... Wtedy również otoczyli Matulę i Komornickiego; dawaj grzbiet, Maciek, dawaj, bo powiem w domu mamie!, groził Matula. Gile z nosa i łzy wymieszały się, Maciek rozmasał je rękawem po całej gębusi. Proszę cię, nie tutaj, nie przy nich. Dawaj, dawaj! Powiem mamie, żeby ci nie dała deseru! Maciek pochlipując uklęknął, pochylił plecy. Wio, koniku, wio!, wołał dyszkancikiem Matula, kopał swojego wierzchowca piętami, ujeżdżał go na oczach całej klasy. Ty, Matula, zejdź z niego!, do koła wparował Dudek. Dudek był zawsze ze wszystkich najsilniejszy i najwyższy. Od pierwszej klasy trenował mięśnie. Chciał zostać najsilniejszym człowiekiem świata i jedną ręką dźwignąć tonę. Jednak zebrany wokół Matuli na wierzchowcu nie spodobało się, że ktoś zamierza przerwać zabawę. Mama - tatko - odjechali - ale - raczka - nie - zabrali! Zmiana warty, rozkazał Dudek, ale już, już. Matuliński. Teraz Maciek będzie jeźdźcem! Maciek jednak bał się zostać jeźdźcem, za taki wyczyn prawdopodobnie pozbawiono by go nie tylko deseru, lecz i obiadu. To ja ciebie, Matuliński, ujeżdżę!, powiedział Dudek. Ale fajowo! Zabawa trwa, tylko zmiana wierzchowca! Matula się szarpał, gryzł, wierzgał, nie chciał być ujeżdżany. A teraz Maciek odgrywał się za tamto: aport, Matula, aport! Dobry piesek. Na, kosteczka za posłuszeństwo.

- Odwal się od niego wreszcie, dobra? - powtórzył Dudek, już z groźbą w głosie. Nie wiadomo, czy kiedykolwiek osiągnie swój sukces i stanie się najsilniejszym człowiekiem świata, ale nie ulega wątpliwości, że mierzący metr osiemdziesiąt Dudek Kaczmarek jest najsilniejszym chłopakiem w Orzelsku.

- A czy ja mu każę? - uśmiechnął się prawie pogodnie Maciek. - Kto chce jeszcze fajkę?

Matula, Tadek, Joluska chcieli.

- A ty. Dudek, nie? I ty, Olka, nie? Nie smakują wam moje dolarowe fajeczki? Zakładacie wspólny sprzeciw? - Maciek nadal się uśmiechał. -A, właśnie! Dudek, co według ciebie jest w życiu najważniejsze? Poczekaj, sam zgadnę. Siła, nie? Ile godzin dziennie trenujesz swoją siłę?

Joluska, Tadek i Matula, zaciągając się dla odmiany Oscarem, zachichotali.

- Tyle co trzeba - stwierdził ponuro Dudek.

- Dudek, napnij mięśnie! - zaświergotała Joluska.

- Sama sobie, matka, napnij! - zdenerwował się Dudek. Wstał. -Mam na dzisiaj dość. Spadam.

- Idę z tobą-powiedziała.

- Zaraz, zaraz, moje rybki. Ty, Dudek, nie odpowiedziałeś na moje uprzejme pytanko. Siła? To jest to? Na pewno?

- A odczep ty się wreszcie! - wybuchnął Dudek.

- Piękna sprawa: siła - delektował się Maciek - Cenię siłę. Wszyscy niezwykle cenimy siłę. prawda, panie, panowie? No to patrz, Dudek, wykładam dwudziestaka. Widzicie, panie, panowie: prawdziwy dwudzie-stak w jednym papierku-pomachał banknotem, musiał go już wcześniej przygotować, nie grzebał długo w kieszeni. - Jeszcze nigdy chyba nie oglądaliście takiego nie rozmiennego, zieloniutkiego Jacksona, prawda, panie? Prawda, panowie? No i powiedzcie: czy to też nie jest to? A może tylko to jest to?

Zapatrzyli się w zielony papierek, który Maciek odłożył z namaszczeniem na poręcz fotela.

- Jest twój, Dudek.

Dudka zatkało. Wytrzeszczył oczy, przetknął głośno ślinę. Joluska oblizwała wargi. Tadek jęknął. Matula z wrażenia nie istniał.

- Nie powiesz mi chyba, Dudusiu, że nie chciałbyś mieć na własność takiego Jacksona? Weź. Nie bój się. Nie kęsa. Jest twój.

- O matko...-jęknął Tadek.

- Co się wydurniasz? - głos Dudka zabrzmiał słabo, poruszyła się w szyi wystająca grdyka.

- Mówię poważnie: jest twój.

- Tak za darmo? Za nic?

- Ołała! panie, panowie! wżyciu nie ma nic za darmo. I ty, Dudek, też o tym wiesz. Ale ja chcę dostać za tego Jacksona niewiele. Chcę cię tylko raz kopnąć w tyłek.

Uciszyło się. Kompletnie. Banknot leżał na poręczy. Matula aż się spociła. Tadek nie wytrzymał:

- Możesz mnie, Maciek! Za połowę!

- Nie jesteś wart nawet piątaka, Tadek.

- O Boże, Dudek - powiedział Matula jakby z rozpaczą - taka forsa, Dudek.

- Co ci szkodzi, Duduś - zaśmiała się nerwowo Joluska.

- Matka, doradź! - Dudek raz po raz przetykał ślinę, grdyka mu latała tam i z powrotem, jak odbijana piłeczka. Popatrzyła, powiedziała:



- To twoja sprawa, Dudek. Nie moja. Ty zadecydujesz.

- Jeden mały kopniaczek, Dudek. Nawet nie poczujesz - kusił Maciek. Jego puszyste rzęsy tworzyły równą kresczkę.

- Dudek, ja bym za ćwierć... ty głupi - zajęczał Tadek. A Dudek wciąż się zmagał.

- Dwadzieścia dolców to jest chyba jednak to - powiedziała do niego ironicznie. Sama poczuła nagle suchość w ustach. A gdyby to jej dotyczyło? Czy potrafiłaby powiedzieć: zatkaj się swoim Jacksonem, Komornicki? Dwadzieścia. Ile to byłoby po czarnorynkowym kursie?

- Wypnij się, Duduś - powiedział łagodnie Maciek. Dudek jeszcze raz poruszył grdyką. I pochylił się. Wypiął.

- Ale on ma tyłek! jak szafa! - śmiech Tadka brzmiał nieco histerycznie.

- Zwały mięśni - zawtórowała Joluska.

- Kop! - głos Dudka był stłumiony, jakby się wydobywał z czeluści.

- A wiesz: odechciało mi się. Szkoda mojej nogi - stwierdził Maciek. Dudek odwracał się z żądzą mordy w oczach. Przestali rechotać. Wystraszyli się.

- Chyba nie uderzysz kaleki, Tarzanie? - zakpił Maciek. -I czego się wściekasz? Zgarniaj forszę, jest twoja, zarobiłeś uczciwie. Matula, nalej wszystkim po drinku. Trzeba oblać to wydarzenie.

- Tak zarobić! Za frajer! Nawet ci nie nakopał! - westchnął z nie udawanym żalem Tadek.

Matula już brzękał szklaneczkami.

Widziała pot na czole Dudka. I jego rękę wyciągającą się szybkim, złodziejskim ruchem w kierunku fotela. Sekunda i poręcz była już pusta.

- Więc, panie! panowie! pijemy za szmal. Bo to jest właśnie to! Niepotrzebna jest siła, aby założyć zielonego nelsona.

Pot na czole Dudka zgęstniał.

- Na mnie tym razem nie liczcie - powiedziała nagle z tą suchością w ustach. - Ja spadam.

I nim ktokolwiek zdążył zaprotestować, wyszła pośpiesznie, zostawiając za sobą Maćka, Tadka, Joluskę, Matulę, Dudka z potem na czole i dwudziestodolarówką w kieszeni, cały ten cholerny luksus.

Ty, facet!

Terkot budzika.

Jeszcze na śpiąco wyskakiwała spod kołdry. Tego się już nauczyła: wstawać równo z terkotem budzika, nie darować sobie ani pięciu minutek rozkosznego ciepła; czas miała ściśle rozliczony. Punkt szósta pobudka. Natychmiast bieg pod prysznic. Skok w ubranko. Hajda po mleko i świeże pieczywo. Ojciec zawsze na śniadanie pił mleko z inką i jadł dwie bułeczki z dżemem.

Przemykając do łazienki, usłyszała jak zwykle dziarskie chrapanie ojca. Ten to ma sen! Nawet w tamtym starym, dwunastometrowym mieszkaniu, gdzie każdy każdemu deptał po głowie, chrapał w najlepsze, chociaż za szafą od dawna krzątała się matka, rozpałała ogień, przynosiła z odległego hydrantu wodę w dwu wiadrach.

No, a ja? co ja robiłam?, pomyślała ze złością, wycisnęła pastę, przejechała szczoteczką po zębach; zalegałam w wyrku na wzór i podobieństwo ojca, tylko że zamiast chrapać, skrzeczałam: musisz tak hałasować, mamó?

Dziesięć po szóstej. Chwyciła portmonetkę, siatę, butelkę, trzasnęła drzwiami.

Bieg na skróty między blokami. Do licha, bloków nabudowali, a sklepów jak na lekarstwo. Wilgotne powietrze tamowało oddech. Najbliższy sklep spożywczy - róg Abramowskiego. Co za czort ten jakiś Abramowski?

- Bułeczek jeszcze nie dowieźli - oświadczyła ekspedientka.

- Jasny gwint! To co ja ojcu dam na śniadanie?

- Chleb też wczorajszy.

- Trudno, niech będzie.

Porwała butelkę z mlekiem, zapłaciła, wypadła: wpół do siódmej. Kilka minut biegu, piekielne trzecie piętro, zasapała się. Ojciec, oczywiście, wciąż chrapał.

Mleko na gaz. Chleb pokroić. Dobra. Wsypać kawę. Dobra. Dżemik jest. Dobra. Zalać wodą garnek po mleku, 'aby nie zasechł. Dobra. Czy w takiej kolejności swoje poranne obowiązki wykonywała dzień po dniu matka? Siódma. Poszła obudzić ojca.

- Jeszcze pięć minutek, miej litość. Olunia.

- Nie mam. Wstawaj.

Ziewał. Drapał się. Przeciągał. Pojękiwał żałośnie, ale nareszcie wstał. Ciągłe stękając, powlókł się do łazienki.

- Co za bartóg - pomyślała wrogo, chowając pościel w pojemnik tapczanu. A dopiero tydzień temu zmieniałam bieliznę. Fleja.

- A bułeczki? - zapytał ojciec. Zasiadł przy stole, rozparł się, czekał, aż mu podstawią wszystko pod nos.

- W piekarni! Pieką się.

- Nowy naczelnik, nowe porządki - mruknął ojciec. - Za moich czasów bułeczki były w każdym spożywczym sklepie punkt szósta. No, ale ja nie partyjny, nie nadawałem się.

O partyjnym naczelniku trąbił od trzech tygodni. Ciągłe jeszcze nie mógł pogodzić się z odstawką. Ona także uważała, że świństwo jest niebotyczne, trzymać człowieka parę miesięcy jako peo i nie zatwierdzić tylko dlatego, że nie należy do jakiejś tam partii. Ale jak długo można słuchać tej samej płyty?

- Może i jego nie zatwierdzą? - powiedziała, podsuwając ojcu masło. - Sam mówiłeś, że się waha, czy ma przyjąć ten zaszczyt? W końcu to dla niego średnia przyjemność walić dzień w dzień osiemdziesiąt kilometrów z województwa. Benzyna kartkowa...

- Jak ty już coś powiesz! - parsknął ojciec. - Tacy mają swoje oddzielne przydziały, głupia. A poza tym, już nie będzie dojeżdżał. Wczoraj wprowadził się na stałe.

Zakrztusiła się swoją kawą.

- A skąd mieszkanie? Wynajął?

- Idiotka. Wybrał sobie jedno z tych w nowych blokach. Ma przydział po Kwaśniewskiej.

Znieruchomiła.

- A Kwaśniewska?

- Będzie musiała czekać do wiosny w następnej kolejce.

- Ależ to draństwo!

- Cóż chcesz: takie czasy - rozłożył ręce. - I bułeczek też już nie ma świeżych. A chleb, cholera, czerstwy.

Piętnaście po siódmej. Dziesięć minut na obranie kartofli. Dziś ma na obiad zaplanowaną zapiekankę kartoflaną z grzybami. Grzybki ugotowała wczoraj. Gdy wróci od matki, tylko pokroi kartofle, przesmaży grzyby z cebulą i - do piekarnika.

Draństwo ostatnie. Kwaśniewska oczekiwała na to mieszkanie jak na zbawienie. Już naprawdę goniła

resztką sił. Na własnościowe jej nie stać, gdzież z nauczycielskiej pensyjki, z której musi utrzymać siebie i dwójkę bachorów, małolatów. Na spółdzielcze czekała więcej niż trzy lata. Niby niedługo, ale w jej sytuacji... Dwoje znerwicowanych dzieci, ona, mąż, z którym się przed trzema laty rozwiodła, i flama męża - wszyscy pod jednym dachem. Eks-mąż wspólnie z flamą wywalili eks-żonę razem z bachorami, które przecież nie są eks, do kuchni. Kuchnia jak to w blokach: trzy na trzy. Ile można wytrzymać w takich warunkach? Rok? Półtora? Bachorki Kwaśniewskiej mają buźki przezroczyście, rączki trzepoczące, eks-tatuś kocha je tak czule, że podobno nawet do sraczyka nie wpuszcza. Sama Kwaśniewska też na wykończeniu. Musiała liczyć już nie dni, lecz godziny do przeprowadzki, a tu...

Draństwo ostatnie.

Koło budki Zientarowej,oczywiście sterczała Magłowa. Czy ta się nigdy od człowieka nie odcepi? W budzie na każdej przerwie Ola to, Ola tamto, i codziennie nadkłada drogi, wyczekuje pod budką, żeby tylko te kilkadziesiąt metrów przejść razem.

- Cześć, Olka - zaczęła Magłowa - a wiesz, wczoraj po południu...

- Wiem - przerwała, co Magłowej bynajmniej nie zniechęciło, nadawała z szybkością karabinu maszynowego:

- Ale na pewno nie wiesz, jakie on ma meble! Ten kredens z Grobek, z desy, co zalegał ponad pół roku, bo kosztował rupieć aż cztery paczki, no, wiesz przecież który, Olka!, a tydzień temu nagle zniknął, to właśnie oni go kupili, mama widziała na własne oczy, bo wiesz? wczoraj po południu przylatuje Dawidowicz i mówi: pani Smułkowa, dopiero co widziałam z okna wóz meblowy. Od razu pomyślałam, mówi, że za tym się coś kryje i że pewno ten nowy się wprowadza, to trzeba zaraz polecieć, zobaczyć...

- Ty zawsze coś wypatrzysz. Magłowa. Oczy masz obrotowe - Tadek usłyszał niedokładnie słowa Magłowej. Dobijał z Joluską. Szli objęci czule, jak za dawnych dobrych czasów. Mieszkali oboje w tym samym domu, nad sklepem obuwniczym, lecz kiedy Joluska zrozumiała, jak bardzo i wyłącznie kocha Komornickiego, przestali sobie mówić rano nawet dzień dobry, a po wyjściu z bramy Joluska przebiegała na drugą stronę ulicy. Tadek zaś rzucał w ślad za nią mało pochlebny epitet, w rodzaju: ale szmata! Teraz odkryli się na nowo i miłość buchnęła płomieniem. Parnas Komornickiego rozsypał się, Maćkowi został jedynie Matula. Dudek po kopanym spotkaniu jakby przygasł, boczył się na wszystkich w budzie. A Maciek, zbyt pewny siebie, dowcipkował: czemu się tak smęcisz, Tarzanie? Nie starczyło ci na nowe sztruksy? Mogę dorzucić parę dolców. Ty, facet, odezwał się posiniały nagle Dudek, z nami koniec, finito. Sam ci to miałem zaproponować!, Maciek zmrzył oczy, tylko jestem za dobrze wychowany. Toteż kiedy w parę dni później Tadek z Joluską wyłynęli z bramy, trzymając się za rączki, obrotowe oczy Magłowej omal nie wypadły: a wy co? znów jak gołąbeczki? Joluska, wyrzekłaś się swojego Maciusia? Ty, Magłowa, powiedział Tadek, zamknij dziób. Wiesz. Olka, sapnął, miałaś rację zrywając z Maćkiem, on sobie rzeczywiście za wiele pozwala. Joluska zaśmiała się nerwowo: cham. Myśli, że za głupie drinki wszystko

mu wolno. Niech mu Matula aportuje! A wiecie? te oscary, którymi nas ostatnio częstował, to były z regularnej przeceny! Za ledwie czterdzieści centów paczka! Drań! I tak oto Tadek z Joluską pokochali się na nowo.

- Bo ten naczelnik wprowadził się wczoraj, chyba słyszeliście? - zaczęła od początku Magłowa - i moja mama razem z Dawidowicz na własne oczy widziały kredens za cztery paczki z desy w Grobkach, a Dawidowicz, gdy tylko zobaczyła wóz meblowy, to od razu coś ją tknęło i przyleciała do nas, i mówi: pani Smułkowa, za tym się coś kryje...

- Zwykle draństwo - przerwał Tadek.

- Podobno jeszcze wczoraj w nocy podłączyli mu gaz i wodę. Prawda, Tadziu? Opowiadałeś - zaszczebiotała Joluska.

- Draństwo - powtórzył Tadek. - Mój stary spotkał wczoraj wieczorem Lewandoszcza. Muszę montować zaraz ekipę, powiedział Lewandoszcza, ściągać ludzi z łóżek, ponieważ nowemu naczelnikowi zachciało się ugotować herbatkę na gazie.

- A te dwa bloki - dodała Joluska - już od przeszło miesiąca gotowe do zasiedlenia...

- By były, Jolusko, by - znowu wtrącił się Tadek - ale ciągle bez gazu i wody.

- No właśnie! Przez tyle czasu nie potrafili podłączyć, ale dla pro... pro...

- Prominenta, Jolusko - z troskliwą wyrozumiałością podpowiedział Tadek.

- No właśnie: prominenta - starannie wymówiła Joluska i splonęła po korzonki włosów: środkiem jezdni przepływał cytrynowy datsun. Komornicka jak zwykle odwoziła Maćka do budy. Magłowa natychmiast wświdrowała się oczami w Joluskę.

- Uważaj, Tadek - odezwała się Magłowa - bo za tym pąsem jednak coś się jeszcze kryje.

- Świnia-powiedziała Joluska.

- Kto? Magłowa? - zapytała, dobijając do ich paczki, Krystyna. Mieszkała tu, pod dwudziestym siódmym. - Żadna nowość, wiadomo, że świnia. Ale wiecie, nowy...

- Wiemy! wiemy!

- Ludzie, poczekajcie - zasapana Iwona wpadła pomiędzy Tadka a Joluskę szczupakiem. - Czy wiecie, że...

- Wiemy, wiemy!

- Świństwo, co, ludzie? Biedna Kwaśniewska. Ale nie wiem, czy wiecie, że ten kredens za cztery paczki...

- Też wiemy. I o gazie, i o wodzie, i o tym, że chciał ugotować herbatkę.
- Herbatkę? A po co? - zdumiała się Iwona.
- Żeby się napić, kretyńko, po przeprowadzce.
- Ale przecież tych bloków jeszcze nie podłączono...
- Idiotka! Właśnie o to chodzi, że już podłączono!
- A ja słyszałam z kolei, że telefon... -powiedziała Iwona.
  - Pewno telefon też. Bo to ważny prominent - Jolusce udało się bez zająknięcia wymówić trudny wyraz, popatrzyła po wszystkich swoimi niebieskimi, ślicznymi oczami z dumą. - Prawda, Tadziu? Ciekawe jednak, skąd mają tyle forsy, żeby machnąć zjedzony przez korniki rupieć za cztery paczki.
- Kradną zwyczajnie. Wiadomo, partyjni.
  - Ja sobie wypraszam podobne uwagi! - obraziła się w imieniu swojego ojca Krystyna.
  - No jasne. Twojego starego to nie dotyczy-mrugnął porozumiewawczo Tadek.
  - Głupia czy o drogę pyta? co nie, Olka? -zaszeptła Magłowa. I powiedziała głośno: - Ale żony nowego moja mama ani pani Dawidowicz nie wypatrzyły. Chyba wdowiec. Albo rozwodnik. Albo go puściła w trąbę.
- Wchodzili na szkolny dziedziniec. Przed nimi, jak zwykle objuczona siatami, szła Kwaśniewska. Zawsze w drodze do budy robiła zakupy. Po budzie biegła do przedszkola po swoje bachory. Kołnierzyk paletka, które nosiła w piątek, świętek czy niedzielę, miała postawiony, plecy mocno przygarbione: biedna, biedna Kwaśniewska.
- Draństwo. co nie, Olka? - zaszeptła znowu Magłowa.

Wpadli hałaśliwie do pracowni. Pierwsza lekcja z tym ważniakiem, magistrem Baldachimem, który był święcie przekonany i głośno podkreślał, iż ktoś taki jak on, z tytułem naukowym, marnuje się bezpowrotnie w tak prowincjonalnym mieście, jak Orzelsk. Jego żona, facetka paradująca zawsze w kapeluszu, nawet do kretonowej kiecki z emhade, uczyła także, lecz w podstawówce numer jeden. Podobno straszliwa jędza, Węcel miał z nią do czynienia. Baldachim w odróżnieniu od Baldachimowej nie nosił kapelusza, ale beret, i tylko zimą, natomiast zawsze, bez względu na porę roku, wymachiwał elegancko czarnym parasolem. Razem stanowili dobraną parę. Ona w kapelindrze, on z parasolem. Nie daj Bóg, aby ktokolwiek ośmielił się zająć miejsce w pierwszej ławce głównej nawy. Baldachim stawał nad modlącym się parafianinem, postukiwał czubkiem parasola w ławkę, tuż przed nosem intruza, a kapelinder Baldachimowej trząst się z oburzenia. Nieszczęsny parafianin, wzięty w dwa ognie parasola i

kapelindra, przerywał modły i wyносił się z miejsca profesorostwa. Kiedyś Maciek podpuścił swoich starych, dopiero co zjechali i nie byli zorientowani w lokalnych układach - usiedli w pierwszej ławce, a Baldachim z Baldachimową, widząc, że ich miejsca są zajęte, zaczęli zgodnie potrząsać kapelindrem i parasolem. Nagle z chrzęstem i zgrzytaniem parasol, nie wiadomo dlaczego, otworzył się i oto ku radości wiernych nad głową pana magistra rozpostarł się czarny baldachim. Stąd przezwisko.

Od okna odwrócił się ku nim jakiś obcy chłopak. Rudy. W okularach. I piegowaty.

- Pozwólcie: Łukasz Kozubski.

- Hrabia! - uzupełnił z pierwszej ławki Maciek. Brwi miał ściągnięte w ironiczną kreseczkę. Ten Kozubski musiał mu w czymś podpaść.

Magłowa pośpiesznym klusem obleciała chłopaka dokoła. Jej obrotowe oczy wyrażały najwyższy stopień osłupienia.

- Nie znam człowieka! Ludzie, ja nie znam człowieka! - krzyknęła. - I co za tym się kryje? Jak się nazywasz? Jak?

- Kozubski Łukasz - uśmiechnął się chłopak.

- Hrabia Kozubski! - wtrącił Maciek.

- Nie słyszałam! - autorytatywnie stwierdziła Magłowa. Wszedł Dudek.

- A to co za facet?

- Pozwól: Łukasz Kozubski - przedstawił się chłopak.

- Hrabia Kozubski!

Dudek obrzucił przybysza taksującym spojrzeniem. Skrzywił się: nowy nie przypadł mu do gustu.

- Ty, facet, ty chyba niczego nie uprawiasz, co?

Zostawiła Magłową, Dudka, dość wślepiania się: ryży, piegowaty i w okularach, pyszny chłopaczek po prostu. W ostatniej ławce siedziała już Malwina i oczywiście kuła się. Gonią ją po budzie do roboty, zasuwa we własnych szklarniach jak wyrobnica, a potem, nieszczęsna istota, każdą przerwę ma zmarnowaną na przyspieszone douczanie.

- Cześć, Malwina. Co to za jeden?

Malwina, obgryzając intensywnie długopis, mruknęła niechętnie: a bo ja wiem?, i dalej kuła fizę. ,

- Hrabia! - informował kolejnego wpadającego do pracowni Maciek.

- Słuchaj, Kozubski - nie ustępowała Magłowa - a skąd ty się nagle wzięłeś? Co za tym się kryje? Nic nam nikt nie mówił, że przyjdzie jakiś nowy.

- Prosto z Wersalu! - roześmiał się Maciek. - Tylko paznokci nie zdążył oczyścić.

- Wiecie! - Kaśka jak bomba wpadła do pracowni - spotkałam Kwaśniewską! Wprost spuchnięta od płaczu!

- Jakby ciebie pozbawiono z dnia na dzień mieszkania na prominenckie życzenie, też byś zapuchła! - zawołała Joluska. Udało się jej utworzyć przymiotnik od prominenta bez zająknięcia. - Prawda. Tadiusz?

- Prawda, dziubdziusiuniu! - krzyknęła Iwona i pękła ze śmiechu. Inni też poczuli się w obowiązku popękać.

- Straciłeś narzeczoną, Maciek - powiedziała Magłowa.

- Zawsze ją czniałem - odpowiedział elegancko Maciek.

- Świnia!

- A ja wam mówię, że to ostatnie świństwo z tą Kwaśniewską! - Kaśka postanowiła trzymać się tematu. - A ten ryż to kto?

- Hrabia Kozubski, nie słyszałaś?

- O Boże, prawdziwy hrabia? - Kaśka przybladła z wrażenia, popatrzyła na nowego - eee, podpucha - powiedziała z żalem.

- Kaśka! żebyś ty widziała - Magłowa skoczyła ku Kaśce - ten kredens za cztery paczki, no wiesz, który? stał w desie! No, co wybałuszasz gały, nie wiesz, który? mniejsza z tym! Ale ten kredens kupił właśnie nowy naczelnik! Moja mama z Dawidowicz widziały na własne oczy, jak taszczyli go z wozu meblowego.

- A skąd tam się wzięły? - zapytała głupio Kaśka. Nie, ta Kaśka to troglodytka kompletna! Więc znowu pękanie ze śmiechu.

- Jak to? nie wiesz, Kaśka? - zakpił Tadek - naczelnik zaprosił obie panie na herbatkę!

- Zwłaszcza że w środku nocy podłączyli mu gaz i wodę!

- I telefon!

- Wyobrażacie sobie prominenta bez telefonu? - Joluska najwyraźniej pokochała wyraz prominent, wymawiała go z lubością.

Dzwonek, więc rozbiegli się na swoje miejsca. Tylko Kozubski sterczał wciąż przy oknie. Nagle



pomyślała z niepokojem, czy przypadkiem ten ryży nie jest synem nowego naczelnika, ale zaraz odrzuciła tę myśl jako niedorzeczną: ojciec by przecież powiedział o tak podniosłym fakcie, że naczelnik ma syna, jej rówieśnika, który zaszczyca drugą licealną swoją obecnością. Jak w ogóle nazywa się ten nowy orzelski? Licho go wie, ojciec inaczej nie mówi jak właśnie: nowy albo: partyjniak, albo: głąb, albo: trep.

Baldachim wkroczył cały w uśmiechach. I co on znowu knuje? Ponury sadysta, jego promienne uśmiechy były zapowiedzią kartkówki lub generalnej odpytywanki. I niech by kto podskoczył z kodeksem ucznia. Ja mam swój kodeks, magistra, unosił się natychmiast Baldachim i rypał gole. Właściwie powinni byli go ochrzcić Magisterkiem.

- Mój chłopcze - radośnie zaskrzeczał Baldachim - a cóż ty tak? sam? pod oknem? Należało udać się do pana dyrektora, on by cię wprowadził...

- Jakoś trafiłem - odpowiedział chłopak.

- Słuchajcie! - z jeszcze większą radością zaskrzeczał Baldachim - to jest wasz nowy kolega. Syn naszego nowego naczelnika.. -I w ogłupiałej z wrażenia pracowni Baldachim zadreptał, popatrzył na nowego, chrząknął. - Bardzo cię przepraszam, chłopcze, ale zapomniałem - jak godność?

- Łukasz Kozubski - powiedział wyraźnie ich nowy kolega.

Był na tyle bezczelny, że zignorował wolne miejsce obok Dudka i obok Węcla, a na szczebiotliwe pytanie Baldachima: i z kim cię tu posadzić.', odpowiedział, że dziękuje, ale widzi koło szafy wolną ławkę i tam mu będzie bardzo dobrze. Wydawał się absolutnie spokojny, zajęty nudnym wykładem fizyka, lecz piegi na jego gębie zapłonęły czerwonymi cętkami.

- Zajmijcie się nowym kolegą-Baldachim rzucił im na pożegnanie superpromienny uśmiech. No i zostali sami, z tym nowym.

- A ja od razu pomyślałam sobie, że za tym się coś kryje! - krzyknęła Magłowa i podniecona wyskoczyła na środek pracowni.

- Z ciebie, Olka, to też niezły numeras. Ani pary z gęby, świnia, nie puściła - zaatakowała Krystyna.

- Właśnie: Olka! przecież musiałaś wiedzieć od swojego starego o tym nowym! - podchwyciła Iwona.

- Tylko nie mów, że nie wiedziałaś!

- Podlizna jesteś i tyle!

Obskoczyli teraz jej ławkę. Byli wściekli. Wrzeszczeli, wymachiwali łapami. Magłowa ze środka pracowni przybiegła z natychmiastową odsieczą. ^

- Wam się chyba w mózgach zagotowało, ludzie! Zostawcie Olkę w spokoju! Ona nie wiedziała nic

nawet o tym kredensie za cztery paczki!

- Słuchaj, Magłowa – powiedziała ze złością-niepotrzebuję adwokatów. A wy czego mi tu ujadacie nad uszami? Tacyście świetnie poinformowani, że gaz, woda, telefon, kredens, a szlachetne nazwisko nowego naczelnika jakoś nie wpadło wam w ucho? Więc co mnie opluwacie. Że co? Nawet Baldachim nie znał nazwiska, a mój ojciec nie nazywał go inaczej niż głąbem...

Poczuła gwałtowne szarpnięcie. Obróciła się wściekła, dysząca:

- Czego, do cholery?

- Mój Boże, Ola... - wyjąkała Malwina - przecież on tam... siedzi...

O, jasny gwint, faktycznie! siedzi! W tej złości nawet o nim nie pomyślała. Siedzi, zdjął te swoje bicykle i przeciera flanelką. Pedancik, psiakrew, z brudnymi paznokciami!

- No to co, że siedzi! - krzyknęła jeszcze bardziej rozwścieczona. -

Coś ty taka delikatna, Malwina? Mógł przecież od razu powiedzieć, kim jest!

I wszyscy uznali to za słuszne, zakrzyczeli: no pewno! jasne! racja! mógł!, a Dudek posunął ku niemu:

- Ale ty, facet, masz metody, no... no... Dobry w tym jesteś, facet...

- Metody kolabola! - krzyknął Węcel.

- Uważał zapewne, że my nazwisko Kozubski znaleźliśmy już z transparentów - zawołał Tadek.

Ale nowego jakby nic nie potrafiło wytrącić z równowagi. Żeby chociaż zazgrzytał zębami albo się spienił, albo łysnął laserem. A on nic. Głaz. Chuchnął w szkielek, przetarł, schował flanelkę do kieszeni, założył okulary. I milczał.

- Ty, facet, nawet nie raczysz porozmawiać z nami? - zaczął Dudek.

- Lepiej paznokcie doczyść.

- U nas, chociaż to dziura dechami zabita, mamy zwyczaj przychodzić do budy z czystą szyją i paznokciami bez żałoby.

- Ludzie, przecież tak nie można! - wyrwała się ta idiotka Malwina.

- Siadaj, Malwina, i nic nie gadaj! Ty, Kozubski! masz scyzoryk, wyczyść paznokietki.

Już złość opadła, zaskoczenie minęło, już świetnie jest, ach, jak przyjemnie, już się rzy wesoło, Węcel podsunął Kozubskiemu pod nos scyzoryk: służę uprzejmie.

- Dziękuję. Nie skorzystam - odezwał się wreszcie Kozubski. - Tak wczoraj starałem się, lakierując ten prominencki kredens za cztery paczki, że nie zwróciłem uwagi, iż lakieruję również paznokcie. A propos:

czy paczka w waszej tutejszej gwarze oznacza to samo co melon?

- Ty, facet-zaczął ponownie Dudek-w tutejszej gwarze, facet, paczka to nie melon. Nie udawaj głupszego, niż jesteś, facet.

Kozubski wzruszył obojętnie ramionami. Tak samo obojętnie wsunął podręcznik do torby. Ale zauważyła, że ręce mu lekko drżały.

- Przykro mi, że cię rozczarowałem - powiedział Kozubski. - Za to ty wyglądasz na takiego, na jakiego wyglądasz.

- Ty, facet... - Dudek postąpił krok.

A Magłowa nie wytrzymała. Wierciła się dotąd i wierciła, biegając jak kot z pęcherzem to do Kozubskiego, to do Dudka, to do Węcla. Biedna, wciąż nie mogła przeżyć tego, że ona, Magłowa, nie wiedziała, kto jest kto.

- Słuchaj no, Kozubski! - wypaliła - co za tym się kryje, że cię wczoraj moja mama z Dawidowicz nie wypatrzyły?

- Nic nadzwyczajnego, koleżanko... Co Za Tym Się Kryje - odparł wytwornie Kozubski. - Po prostu przyjechaliśmy z ojcem przed wozem meblowym. Mamy oczywiście prominencki wóz służbowy - mercedes, kość słoniowa. Gdyby twoja mama z ową panią Dawidowicz były uprzejme pofatygować się godzinkę wcześniej...

Magłowa otworzyła usta. I tak stała, wpatrując się w Kozubskiego, jakby zamierzała go połknąć.

- Ty masz cięty język, facet-odezwał się Dudek-bo to dobre: koleżanka Co Za Tym Się Kryje. Magłowa, odtąd tak będę cię nazywał.

Magłowa wreszcie zamknęła usta. Poczerwieniała. Laserem po Kozubskim. Ale nie odezwała się ani słowem, i to było wydarzenie niezwykle.

- Ludzie! wychodzić! wynosić się! przecież my tu teraz mamy lekcję-do pracowni fizycznej wlewała się kolejna zmiana.

Poczuła na sobie spojrzenie. To patrzył Kozubski. Oczy miał niebrzydkie, ciemnobrązowe, połyskujące zza szkielek czymś takim... I co się pacan wślepia?, pomyślała, chwyciła torbę, pociągnęła Malwinę: chodź, Malwina, zaraz dzwonek! Biegiem na angielski!

Liceum imienia Ludwika Waryńskiego, którego okopcone portrety wisały na każdym piętrze, mieściło

się w starym, zaadaptowanym na szkołę budynku. Kiedyś, podobno, były tu jakieś magazyny czy składy. Kiedyś jedyna średnia szkoła orzelska zajmowała zupełnie sympatyczne, jasne i przestronne pomieszczenia obecnej podstawówki numer dwa. Ale z powodu kolejnego wyżu demograficznego mądre władze orzelskie postanowiły podstawówkę numer jeden podzielić na dwie, a licealistom oddano adaptowane magazyny. Wyż jednak nie dotarł do Orzelska aż tak rozbudowany, więc w dwóch podstawówkach nie spełniony wyż hasał po zbyt luźnych klasach i nabijał guzy oraz wybijał szyby, natomiast licealistów zatrzymywały dwutlenkiem węgla piece w eks-magazynach. Nauczyciel geografii, zwany Piecologiem, zaczął od tamtej pory uprawiać trudną sztukę epistolarną z powodzeniem w pisaniu, lecz bez powodzenia w skutkach. Już mu nawet nie chodziło o to, że adaptowanie magazynów na liceum jest przedsięwzięciem społecznie i gospodarczo szkodliwym, lecz że te piece dymią i dymić nie przestają, i żaden kominiarz im nie ulży, gdyż podczas remontu dachu przewody kominowe służyły jako podręczne śmietniki do ekspresowego usuwania gruzu, papy i w ogóle wszystkiego, co się zmieściło w komin. Zamiast więc rokrocznie marnować tony węgla, który choć się pali. to nie grzeje, wbrew prawom fizyki, a za to pod postacią szczypiącego w nosy i oczy dymu snuje się smoliście po pracowniach i korytarzach, należałoby - według Piecologa - po prostu odgruzować kominy. Marzyciel! Cała jego twórczość w sprawie dymienia pieców była z cyklu sobie śpiewam a muzom. Piece dymiły, trzy woźne z obłudą w oku wrzucały w nie węgiel, a patron liceum zezował z portretów zażawionym i zadymionym okiem.

Adaptacja składów czy magazynów, czy tego czegoś, co się tutaj przed liceum mieściło, miała na względzie jedynie dobro kochanej młodzieży orzelskiej. Ale młodzieży w Orzelsku, wybierającej kierunek kształcenia tak mało konkretny jak liceum, nigdy nie było zbyt wiele. Orzelsk poza tym nie miał internatu, toteż młodzież z terenu gminy siłą rzeczy wybierała pobliskie Grobki, miasto trzydziestotysięczne, gdzie liceum posiadało własny internat. Pracownie w Waryńskim były jak rozległe hale. w których pod piecem usiąść nie można, gdyż człowiek się zamienia w wędzonkę, a pod oknem też nie, bo tam z kolei zamienia się w śniegowego bałwana. Żaden kwiatek w tej budzie nie doczekał wiosny: jeżeli stał na oknie -zamarzał, jeżeli wisiał na ścianie - ginął od czadu. Natomiast układ poszczególnych pracowni zapewniał młodzieży nieustanny ruch na przerwach, a ruch to przecież zdrowie, tężyzna fizyczna i stąd pracownie języka polskiego, rosyjskiego i angielskiego na trzecim piętrze, a matematyczna i fizyczna na parterze, pokój nauczycielski na pierwszym, a sekretariat dyra i jego zastępcy na drugim, szatnie w suterenie, i fajno jest. człowiek się gimnastykuje na okrągło, zalicza po parę razy dziennie wzniosłe szczyty stromych i wąskich schodów, wyżej się pnie, niżej schodzi - jakoś trzeba wyrównać brak sali gimnastycznej, która podobno w planach adaptacyjnych była tam, gdzie jest szatnia, ale szatni nie było wcale, toteż salę gimnastyczną zaadaptowano na szatnię, i jest to zapewne wyjątkowa szatnia, bo gdzie taka druga? z parkietem? z drabinkami przy ścianach?

Na tych cholernych schodach człowiek kiedyś skręci sobie kark, pomyślała, trzymając się poręczy. Ci od ściany trzymali się ściany. Ci między poręczą a ścianą byli na łasce tych trzymających się poręczy i tych trzymających się ściany. Wchodzić to jeszcze pół biedy. Ale jak w alpinizmie: schodzenie było prawdziwą sztuką, zwłaszcza że tutejsi dżentelmeni nie zważali na płeć piękną i słabą, sójka w bok, co tak leziesz, krowo, i po tobie, byle do przodu!

- Dobrze, że nie choruję na lęk wysokości - westchnęła wspinająca się obok Malwina. Malwina nigdy nie potrafiła zdobyć dogodnej pozycji wyjściowej przy poręczy. Zawsze się dała komuś odepchnąć,

szturchnąć, popchnąć. Taka pocziwa dziumbdzia, ciepłe kluchy. Lecz lubiła Malwinę, której oczy co i rusz zachodziły łzami. I jej starego również lubiła, chociaż ojciec inaczej się o nim nie wyrażał, jak: ćwok Pacuła. Bo owa niezwykła metamorfoza Pacułów, którzy z byle kogo przeistoczyli się w orzelskich milionerów, najprawdopodobniej drażniła ambicję ojca. Co gorsza, Pacułowicie, mimo konta w banku i swoich szklarni, zachowali dotychczasowy styl życia, nie wybudowali okazałej daczy, nie paradowali w nutriach i w ogóle, tak na oko, nie różnili się niczym szczególnym od otoczenia. Stać ich na mercedesa, mówić z pogardą ojciec, a jeździć zdezelowaną nyską. Dziadoki! Kutwy! Forsę zbijają na szklarniach, a gnieźdzą się w starej chałupie! Pomyśleć, że jeszcze kilka lat temu ci Pacułowicie nie mieli niczego! Poza biedą i sześciorgiem dzieci. Na tej działce, Olka, na której teraz pyszną się szklarnie, pała się krowina i ryły dwa świniaki. A Pacuła-ani robotnik, ani rolnik, ni to, ni sio. I proszę, jak mu woda sodowa uderzyła, przychodzi do Urzędu, składa podanie o kredyty: szklarnie będę zakładał. A zakładaj, zakładaj, nie moja forsa, tylko bankowa, do końca życia się nie wypłacisz, jak splajtujesz, Pacuła. Bo co ty wiesz o szklarniach, Pacuła? Nie tak dużo, panie kierowniku, ale trochę poczytałem, pouczyłem się. Pouczył się, słyszałaś. Ola? Do tego trzeba mieć studia, wiedzę, a on! pouczył się, poczytał! Tak, tak, cierpiała ta ambicja ojca, że taki ktoś jak Pacuła, co to nawet studiów nie liczył i może ma powszechniaka, a może nie, uprawia / pełnym powodzeniem wczesne pomidory, ogórki, a po jego gerbery przyjeżdżają aż z Elbląga. Żeby chociaż nie kutwił, żeby umiał wydawać szmal, żeby się tym szmalem popisywał przed innymi! A Pacuła nie. Więc obśmiać go, wyszydzić, ćwok, powiedzieć, powołać się na przykład Węcła, który ledwo się potrafi podpisać, ale gdy mu kurki nioski dały pierwszy dochód, natychmiast zaczął stawiać „kamienicę”, i sam do kurników nie wchodzi, od brudnej roboty ma ludzi, którym płaci, syrenę też zaraz zamienił na poloneza, o, taki Węcł, to już nie ćwok, takiemu można podać rękę, a Pacuła tyra od świtu do nocy sam, gorzej niż wyrobnik, i jeszcze tę nieszczęsną Malwinę goni, aż jej ręce puchną. Był czas, że Malwina przychodziła do budy z obandażowanymi rękami, które jednak w nikim nie wzbudzały szacunku, jedynie prowokowały docinki: dajesz się tak starym wykorzystywać, Malwina? Szmal robicie, a chodzicie w łapciach? Ty, Malwinko, masz już świetnie, powiedziała raz Iwona, nie musisz donaszać ubrań po Halinie. Twoje paletko z przeceny jest gustowne, bardzo ci w nim do twarzy. Halina to starsza siostra Malwiny, robi w tym roku maturę. Węcł rzucał niby od niechcenia: Malwina, mój stary ciągle poszukuje facetek do odczyszczania z łajna jajców, dobrze płaci, jak wszyscy wiedzą, pięćdziesiąt groszy od sztuki, może byś przyszła dorobić, bo twój stary pewno niedługo musi ratę w banku zapłacić. Oczy Malwiny zachodziły łzami, opuszczała głowę; ach, Węcł, i czemu ty tak, czemu?, mówiła cicho, bezbronne i boleśnie. Ciepłe kluchy, zamiast się odgryźć, laserem po nich. cholera, to popłakiwała sobie cichutko, idiotka. Kiedyś, jeszcze w zeszłym roku, wczesną wiosną przyniosła do kanapki pomidor. Wspaniały, czerwony, dojrzały. W budce Zientarowej kilogram pomidorów kosztował cztery parole, i kto by je kupił, chyba że Komornicki, Węcł albo Paszyńska. Malwina już miała zatopić zęby w aromatycznym mięszu, gdy spostrzegła zachłanne oczy obecnych w klasie. Spłonęła niczym pomidor. Usta jej zdrząły. Obracała głupio w rękę piękny i pożądany przez wszystkich owoc. Jakby ją nagle zaczął parzyć. I nie zjadła. Nie miała odwagi, odłożyła do torby i kanapkę, i pomidor. Więcej już nie przyniosła żadnej nowalijki. Lecz gdy wyciągała swoje śniadanie, wołano: ej, Malwina! jaka delikatna, a pomidoraska z torby nie wyciągniesz? Pomidorki to teraz w sraczyku zajadasz? Odwalcie się od niej!, krzyknęła raz, nie mogąc patrzeć na te łzy, co zaraz sznureczkiem kap, kap; a ty, idiotko, powiedz im, do diabła, że jak chcą zjeść twoje pomidory, to niech sobie kupią! albo ci przyjdą pomóc w szklarni, za darmochę by chcieli wycyganić! O Boże, Malwina, co ty taka ciamciaramcia? Chcesz? Usiądę z tobą. I jak cię kto zaczepi, ja w

twoim imieniu laserem go, a dobrze! Malwina siorbnęła nosem: och, Ola, kochana, dobra, najlepsza, dziękuję ci, ale oni to tylko tak, z głupoty, oni są dobrzy, Ola, to takie żarty. To czemu ci, kretynko, oczy od tych żartów się pocą? Bo to jakoś tak, Ola... przykro trochę.

Razem z ciamciaramcią pokonały wreszcie stromizną schodów, zdobyły szczyt i wpadły do pracowni. Zajęły swoje miejsca w ostatniej ławce.

- A ten nowy?-zainteresowała się Malwina. - Przecież on nie trafi... I w ogóle: jak tak można...

- Coś ty taka litościwa? - rozsierdziła się na Malwinę. - O, spójrz: trafił jednak ślepek. Czemu on ma takie podwójne jakby te swoje bicyle? To już nie okulary, to teleskopy.

Kozubski tymczasem z niezmaconym spokojem rozglądał się po obcej pracowni. Szukał miejsca. - On znowu patrzy na ciebie. Ola - zaszepiała Malwina. Nie tylko patrzył, ale jeszcze się uśmiechnął. Posłała mu pogardliwe

spojrzenie.

Pod szafą z pomocami stała oddzielna ławka. Właściwie nie wiadomo po co. Może woźna w trakcie sprzątania pracowni odsunęła? A że pomoce naukowe odgrywały rolę atrap i nikt szafy nie otwierał, więc i ta ławka stała tam od początku roku szkolnego. I Kozubski zajął w niej miejsce. Proszę, proszę, pomyślała, jaki ważny, nie zamierza się pospolitować z byle kim.

Patrzył znowu na nią. I znowu się uśmiechał. Miała ochotę pokazać mu język. Też adorator! Ryży, piegowaty i w teleskopach.

Kwaśniewska wbiegła na lekcję nerwowym krokiem. Miała grubo przypudrowane powieki, lecz spod tynku przebijał fiolet: efekt długiego płaczu. Draństwo, pomyślała, biedna Kwaśniewska.

- Mamy nowego! Syna naczelnika! - wyrwała się Magłowa. Kwaśniewska zatrzepotała dłońmi.

- Jak ty się do mnie zwracasz! - krzyknęła. - Nie potrafisz prostego zdania sklecić po angielsku?

- Eee... -jąkała się Magłowa.

- Siadaj! Dwója! -zakrzyczała Kwaśniewska. Jej trzepoczące dłonie pochwyciły dziennik, szarpnęły nim. dziennik też jakby zatrzepotał. Draństwo. Draństwo.

Nowy podniósł się w oślej ławce.

- To ja - odezwał się raczej idiotycznie.

- Widzę! - zachnęła się Kwaśniewska, a dłonie jej nagle znieruchomiały, ściskając kurczowo długopis. - Dlaczego tam siedzisz? Co to za demonstracja? Mało masz tu wolnych miejsc? Tarasujesz dojdzie do pomocy naukowych!

- On jest ten lepszy, pani profesor - powiedziała kąśliwie Krystyna. -

Nie zadaje się z takimi jak my.

- I z prawdziwego miasta, gdzie kwitnie życie kulturalne! - zawołała Iwona.

- Z budy dla prominentów! - podchwycił Węcel.

- Przestańcie pleść bzdury! - opamiętała się Kwaśniewska, ale Kaśka zdążyła jeszcze wypowiedzieć swoją kwestię, że wyższy poziom, pani profesor, więc Kwaśniewska walnęła dziennikiem o stolik:

- Cisza! Spokój! A ty co tam tak sterczysz? Podejdz do mnie!-opuchnięte powieki Kwaśniewskiej zamrugały w nerwowym tiku, była na krawędzi wytrzymałości psychicznej, draństwo. draństwo.

- Co ty sobie wyobrażasz?-głos Kwaśniewskiej załamywał się niebezpiecznie: chyba się nie rozplacze, do diabła? Draństwo. draństwo! - Ty i twój ojciec? Na przerwie przeglądałam twoje papiery! To naprawdę trzeba mieć tupet! W liceum, do którego uczęszczałeś, miałeś niemiecki, a nie angielski. A tu w naszym jest angielski! Czy twój ojciec uważa, że specjalnie dla ciebie zatrudnimy germanistę? W pełnym wymiarze godzin może?

Śmiech.

- Cisza!

- Jeżeli pani profesor pozwoli sobie wyjaśnić... - zaczął z bezczelną wprost uprzejmością Kozubski, a Kwaśniewską nieomal zatrzęśło:

- Nie ty mi będziesz wyjaśniał! Twój ojciec może łaskawie zechce pofatygować się do mnie? A może uważa, że to ja powinnam zapisać się u jego sekretarki?

Śmiech.

- Powiem mu o tym - spokojnie odpowiedział Kozubski. Kwaśniewska zbladła.

- Grozisz mi?

W pracowni zaległa teraz ponura cisza.

- This is a misunderstanding. Please, believe me that it isn't my arrogance, but I must explain you some things. My father and I don't reckon on any easy tariff. My father didn't want to take me here at all... but because of personal reasons about which I can't tell in this time and here... (To nieporozumienie. Proszę mi nie poczytywać tego za arogancję, ale pewne sprawy muszę pani wytłumaczyć. Nie liczymy z ojcem na żadne taryfy ulgowe. Ojciec w ogóle nie chciał mnie zabierać... ale ja... z powodów osobistych, o których tu nie czas ani miejsce mówić...)-zadziałotał tak płynnie i szybko, że wszystkich zatkało. Kwaśniewską również. -I learn English amateurishly at home and although I certainly don't equal the level of English knowledge in this class. I try... (Języka angielskiego uczyłem się amatorsko, w domu, a chociaż na pewno nie dorównuję poziomem, to dołożę wszelkich starań...)

- Ola, co on mówi? Ola? - zaszepiała gorączkowo Malwina. A Kozubski z wypiekami na twarzy dziamotał dalej:

Please. believe me that my father... It isn't a case you think... And I promise: I'll go away if my English appears unsatisfactory good. ( Proszę pani! Zechce mi pani uwierzyć, że mój ojciec... to nie jest tak, jak pani myśli... A jeżeli okaże się, że mój angielski nie odpowiada wymogom, odejdę stąd).

- Ola, co on gada? Ola? - znowu szepnęła Malwina.

A cholera go wie, co on tam nadziamotał! Coś o ojcu. father powtarzał gorączkowo kilka razy. Coś chyba jednak bardzo ważnego i z pewnością bezczelnego, ponieważ na twarz Kwaśniewskiej wy płynęły pąsowe rumieńce.

- And let me tell only one more sentence, please... maybe not... it will be better if my father talks to you. Personally, of course. (I jeżeli pozwoli mi pani na jeszcze jedno zdanie... albo nie... najlepiej to wszystko wytłumaczy mój ojciec. Osobiście).

Chyba skończył. Ludzi wcisnęło z wrażenia w ławki. Nie zrozumieli ani jednego zdania z tej oracji. Nikt tutaj, mimo wysiłków nieszczęsnej Kwaśniewskiej, nie potrafił sklecić więcej niż trzy zdania na raz, w dodatku w czasie prostym. Podczas ostatniej wizytacji przy końcu zeszłego roku wizytator z kuratorium wyszedł z lekcji złowrogo milczący.

- Pani profesor... - odezwał się tym razem po polsku Kozubski, głos jego brzmiał żarliwie - proszę mi wierzyć...

- Wróć na miejsce, Kozubski - odezwała się Kwaśniewska, potarła czoło, dotknęła szyi, jakby sprawdzając, czy i tam dotarły już wielkie, krwawe placki wypieków, a dotarły, rozlewały się obficie. - Sit down -poprawiła samą siebie. - The theme of our present lesson will be... (Tematem dzisiejszej lekcji będzie...) - Kwaśniewska znowu potarła czoło, zapatrzyła się w jakiś punkt na ścianie. - Naprawdę, wybaczone mi, bardzo mnie boli głowa, bardzo... Please, forgive me, but I have a big head a pain. I'm afraid, you must do everything alone, today. (Chyba będziecie musieli dziś radzić sobie sami). - I znowu zapatrzyła się w ścianę. - Ta moja głowa... - powiedziała. - This my head... Please read over again the text on the page fifty five. (Proszę przeczytać tekst ze strony pięćdziesiątej Piątej).

sięgnęła po swoją torebkę, otworzyła, pogmerała. pogmerała, od czoła po s/vjc pKmeła wypiekami. Draństwo, draństwo.

~ I las somebody a headache-pill? (Czy ktoś ma może proszek od bólu głowy?) \_ tym razem popatrzyła po klasie, nikt się nie poruszył, nikt nie

Zrozumiał, tylko Kozubski zerwał się, otworzył usta i... szybko je zamknął, klapnął.

- Muszę jakiś proszek... - zamamrotała Kwaśniewska. - Zaraz wracam. Cisza.



- Ty, facet! - zadudnił bas Dudka - coś ty jej nagadał, facet?
- To przecież ty. Tarzanie, uczysz się angielskiego i nie rozumiałeś? - odparł z całą bezczelnością Kozubski. Ale i jego upstrzone piegami policzki miały buraczany kolor.
- Ty, facet...
- Hrabia prominent!
- Och, ludzie! - prychnął Węcel - najlepiej nie zwracać na niego uwagi.
- Nie musi istnieć dla nas-zawołał Tadek.
- Ty, facet. Nie ma cię. wiesz? Kozubski milczał.
- Ty. facet. Nie raczysz odpowiedzieć?
- Skoro nie istnieję, jak mogę się do was odzywać?

Bukiety wiejskie, jak wiadomo.

Klon już gubił liście. Szeleściły pod nogami. Pokryły ławeczkę barwną paletą. Rozłożyły się suchym, złoto-purpurowym wachlarzem na grobie matki.

Jesień w tym roku była ciepła i cicha. Z lśniącymi nitkami babiego lata. Z poranną mgłą łączącą ziemię z niebem. Z kroplami ciągle jeszcze ciepłego słońca na zasychających sercach liści.

Położyła torbę na ławeczce. Nie sprzątała liści. Ani stąd. ani z mogiły. Jakże szczerze, jakże bogato ubiera klon swoich zmarłych.

W zeszłym roku, tej pierwszej jesieni bez matki, dbała, aby żaden liść nie zaśmiecił ani jednego centymetra tego małego spłachetka ziemi, gdzie ojciec koniecznie chce wystawić pomnik. Okazały, granitowo-lastrykowy. Łatwy do sprzątnięcia. Za duże pieniądze; przecież matka musi mieć świadectwo naszej pamięci, powiedział. Ładnie powiedział. Potrafi, gdy chce, mówić ładnie. Ale zaraz dodał: nie będziesz musiała wtedy tak latać codziennie na cmentarz, Olu. Wystarczy przyjść raz na miesiąc, obmieść. splotkać. Kupi się sztuczne kwiaty, są jak prawdziwe, a nie trzeba zmieniać wody w wazonach, i

bez kłopotu. Potem jeszcze dodał: a po co ty tak codziennie, Olu? Przesada. Kwiatom nic się nie stanie, jeśli wodę zmienisz co kilka dni.

Nawet go nie uderzyła oczami, które wciąż pozostawały suche, bez jednej łzy.

Kwiaty na grobach wyglądają ładnie. Nie te rzucone byle jak ani tym bardziej wetknięte w słoiki po marynowanych ogórkach, często jeszcze z resztkami niedokładnie zdartej etykiety firmowej.

Najpierw kupiła dwa siwaki. Idąc po szkole do matki, przynosiła jej białe margerytki. Ale ustawione symetrycznie po obu stronach krzyża sterczały sztywne, żałobne, a ich biel jakby od razu szarzała. Po co zmarłym zmarłe kwiaty? Sądziła, że gdy ustawi różowe gladiolusy, ich barwa rozjaśni smutek tej mogiły. Lecz efekt był identyczny, róż gladiolusów szarzał w cieniu krzyża. Wreszcie zdobyła się na odwagę: pościągała i wyrzuciła blaszano-plastikowe wieńce, z których już dawno odpadły czerwone główki kędzierzawych goździków. Trawa, która weszła natychmiast po tych porządkach na grobie matki, była soczyście zielona, biel stała się bielą, a róż różem, a fiolet floksów, ulubionych kwiatów matki, pachnącym fioletem.

Coś ty narobiła! Jak śmiałaś!, zdenerwował się nie na żarty ojciec, gdy zgodnie z ustalonym przez siebie harmonogramem odwiedzin, przyszedł po trzech tygodniach na cmentarz. Bo ojciec przychodził raz na trzy tygodnie, zawsze w niedzielę, po mszy. Wieniec był od moich instruktorów, a wiązanka od Jurczyka, co oni sobie o mnie pomyślą? Wydali tyle pieniędzy na porządne, na trwałe, mogące służyć latami: metal i plastik. A ponieważ patrzyła na niego w milczeniu, zacisnął usta: zielsko teraz, rachityczna trawka, jakże to tak? Czy to jakiś, do diabła, bezpieczeństwa grób?

A ponieważ ciągle milczała, zasapał i powiedział już znacznie łagodniejszym tonem, że trzeba koniecznie, trzeba szybko wystawić pomnik, trwałe świadectwo naszej pamięci.

A ponieważ jeszcze i teraz milczała, dodał, że wystarczy wówczas przyjść raz na miesiąc, bo sztuczne kwiaty nie wymagają takiej pielęgnacji jak żywe. obmyć je z kurzu co jakiś czas i po kłopotcie.

Ale tej zeszłej pierwszej jesieni bez matki sprzątała tu każdy liść. Jeszcze nie wiedziała nic o tych bukietach, które ...wiązane były wżyz i stromo. W barwach podobne do ołtarza, kształt serca miały lub wachlarza, albo palety...

Gdzieś w końcu listopada, tego pierwszego listopada bez matki, pomyślała, że najwyższy czas urządzić w domu generalne porządki. To ponad pół roku, jak odeszła matka, a w szafach, kredensie, regałach - i owszem, przejeżdżanych szmatką do kurzu, i owszem, przecieranych do połysku luxonem - wewnątrz, bo nie widać, dopóki się drzwiczek nie otworzy, dziada z babą brakowało. Matka, gdyby zobaczyła taki bałagan w swoich szafkach, chybaaby się załamała.

Cokolwiek robiła, chciała robić tak, jak to kiedyś robiła matka. Dokładnie tak samo. Ale w jaki sposób odtworzyć czynności matki, powtórzyć jej gesty, czyż kiedykolwiek zwracała uwagę na domowego robola, do którego mówiło się tylko: wynieś! podaj! zabierz! upierz! zrób!

Kupię ci , Oluniu, odkurzacz, proponował litościwie ojciec. Tak się męczysz, kochanie, czyszcząc dywan kiszoną kapustą. Nie potrzebuję! Matce nie kupięś, to i ja się obejść bez twojego łaskawego odkurzacza. Matka mogła na kolanach? więc i ja mogę. Jakoś ostatnio zrobiłaś się przytupia! Nie chcesz, to nie!, powiedział ze złością ojciec.

Lecz nie sprzątanie, bo w końcu można się nauczyć, że włochate i

szczeciniaste na końcu szczotki służy do zmiatania, a ściereczkę od

kurzu należy przepłukać, tylko to cholerne gotowanie było sztuką podobną do cyrkowych występów woltyżerki na linie. Książka kucharska

nie ułatwiała problemu, wprost przeciwnie: „Kurczęta 8- 10-tygodniowe sprawić, opłukać...” Do diabła, a jak przetłumaczyć z polskiego

na nasze owo „sprawić”? Skąd, psiakrew, można wiedzieć, w jakim

wieku są te mrożone kurczęta, a może to nie kurczęta, ale koguty?

„Skrzydółka wykręcić, założyć na grzbiet, włożyć w nie kawałki wątróbki i żołądka...” Wykręcić i jeszcze założyć, dobre sobie! Przecież

te skrzydełka nie rosną na brzuchu, lecz właśnie na grzbiecie, to jak założyć? Wściekła się ta książka! Litości! Wykręcić można, ale własny

mózg, a skrzydełka? I jeszcze: włożyć w nie kawałki wątróbki i żołądka...” Ciekawostka, jak to zrobić? Przyszyć? Przykleić? A dalej już

zupełna paranoja: „Nóżki kurczaka założyć w kieszonkę...”! Gdzie

niby ma być ta kieszonka i z czego? Kieszonkę to ja mam, ale przy fartuchu. Ratunku! Diabelne nóżki, a bez nóżek nie można, muszą być w

kieszonce? A potem jeszcze i te nóżki w kieszonkach, i te wykręcone

z grzbietu na grzbiet skrzydełka „obtoczyć w panierce” ! Zanim nauczyła się sprawiać, wykręcać, wkładać w kieszonkę i panierować, omal

nie osiwiła. A ojciec, kiedy zamiast smażonego kurczaka w panierce, stawiała na stół zwęglone resztki, kiwał smętnie głową, powtarzał: ja cię, Olunia, nie chcę zniechęcać, ale Kozłowską w każdej chwili...

Nie zdając sobie sprawy, że zaciska usta tak jak ojciec, mruzczała: jeszcze tylko tydzień, tato. Zobaczysz. Przewodząca kucharka Aleksandra Marciniak poda ci wołowinę pycha, pycha. Cholera, gdzie tam, jaka pycha. Podeszwa. Kalosz. Pierwszy rosół miał kolor podejrzanie czerwony. O, barszczyk!, ucieszył się ojciec. A przecież w książce kucharskiej jak wół było napisane: pęczek włoszczyzny. Czy burak nie jest włoszczyzną? Zwariować można.

Listopadowe porządki postanowiła rozpocząć od wysprzątania półki z książkami, którą ojciec zwał dumnie biblioteką. Stały za szkłem od dawna nie używane akademickie podręczniki ojca, jakieś skrypty, kilka starych kalendarzy rolniczych, parę fachowych tytułów w rodzaju: „Nowoczesne metody uprawy roślin” - i cała biblioteka! Nikt w tym domu nie czytał nigdy żadnych książek, a po te z półki ojciec również nie sięgał. bo po co? skoro to instruktorzy roztrząsają z rolnikami problem nowoczesnych metod uprawy roślin, a ojciec jest od kierowania instruktorami? Ojciec prenumerował jeden dziennik, głównie ze względu na program telewizyjny; wracał z pracy, obiad jest?, obiad był, zjadał obiad, pycha, pycha, drzemał pochrapując, po drzemce włączał pudło i tak z przerwą na kolację: pycha, pycha, aż do piosenki na dobranoc. Czasem poszło się do kina. Chodź, mamó, z nami, podobno grają ładny film. Nie chce mi się. Oluniu, nie lubię kina. Chodź, mamó. obejrzyj film w telewizji. Nie chcę mi się, Olunia, nie lubię telewizji. I matka brała druty, zamykała się w kuchni. Słuchając radia, dziergała swetry, kamizele, blezery, czapki, skarpety. Ojciec przywoził wełnę od jakiegoś hodowcy owiec. Od stópdo głowy chodzili ubrani w wydziergane przez matkę na drutach robótki. Nie przeszkadza wam moje radyjko?, pytała matka. Ty, mamó, jesteś jak ślepy kret, powtórzyła kiedyś za ojcem. Matka uśmiechnęła się: a skąd wiesz, Oluniu, że kret jest ślepy? Tatuś powiedział! Aaa, jeżeli tatuś powiedział, to tak musi być, uśmiechnęła się znowu matka.

Co ty wymyśliłaś?, zapytał ojciec, patrząc jak wywala książki z półki. Sprzątanie, odparła. Szkła już miała umyte, wytarte, stały oparte o ścianę. Wnętrze półki pachniało luxonem. Jeszcze tylko te książki odkurzyć. Zgrabnie ci to idzie, pochwalił ojciec, zupełnie jak matce. Matka też sprzątała tak, że nie było widać sprzątania. A wiesz, że i twoja wołowinka była dziś pycha? Cmoknął z zadowoleniem, lecz zaraz westchnął smętnie: gdzie ja się teraz biedny położę? Taki jestem zmęczony, tak mi głowa pęka... Idź do mojego pokoju, powiedziała, tam już wysprzątałam zakamarki, możesz chrapać do woli.

Obraził się. Ja nigdy nie chrapię! Dobra, dobra, nie chrapiasz, skądże, jedynie głęboko oddychasz. Obraził się naprawdę. Aż trzasnął drzwiami. A po kilkunastu minutach zza ściany dobiegło chrapanie ojca świadczące, że mimo pękającej od bólu głowy odpoczywa w błogim spokoju. Co to za książka?

Mocno podniszczona, w żółtej okładce. Julian Tuwim. Ach, prawda, był taki poeta. Stoi na stacji lokomotywa, ciężka, ogromna i pot z niej spływa... Aha, i to jego śpiewa Demarczyk: A może byśmy tak, najmilszy, wpadli na dzień do Tomaszowa?... Kropelka słońca u warg.

...A ty mi nic nie odpowiadasz i jesz zielone winogrona...

Ale skąd między Knipami ojca Tuwim? Matko święta, skąd?

„Marii Jarząbek za wzorowe zachowanie i dobre wyniki w nauce”. Kilka podpisów, nieczytelnych. Owalna pieczęć. Państwowy Dom Dziecka w Zalesiu. I data: 22 VI 1960 r.

Maria Jarząbek. To matka. Maria Marciniak z domu Jarząbek. Pamięta doskonale, nie zapomni nigdy: siedzi na podłodze, obok stoją oparte o ścianę, już czyste szkła, wiaderko z wodą, szmatka i butelka z

luxonem na wyciągnięcie ręki, wokół odkurzone podręczniki, kalendarze, a ona odczytuje po raz dziesiąty, dwudziesty bardzo suchymi oczami bez jednej łzy: „Marii Jarząbek za wzorowe zachowanie i dobre wyniki w nauce”. Podpisy nieczytelne. Czytelny w owalnej pieczętce napis: Państwowy Dom Dziecka w Zalesiu. Data też jest czytelna: 22 VI 1960 r. Państwowy Dom Dziecka. Każda litera odcisnięta dokładnie, ostro. Odczytuje po raz nie wiadomo który te ostre litery na owalu pieczęci i widzi równie ostro, aż za ostro, aż do bólu, swoją matkę, która właśnie pochyla się ku drzwiczkom kuchni węglowej i poblask palącego się ognia pada na jej twarz, jeszcze nie tak otyłą, jeszcze usta matki nie są sinawe, ale uśmiech matki jest już przepraszający; i właśnie matka uśmiecha się tym swoim przepraszającym uśmiechem. I siebie także widzi, ostro, wyraźnie: stoi obok matki, na wersalce upchanej między ścianą a tapczanem rodziców leży nowiuteńki tornister, a na stoliku wepchniętym między kuchnię węglową a skrzynię z opałem nie ma miejsca na zeszyt i elementarz, ponieważ matka położyła tam stolnicę z przygotowanymi do pieczenia kruchymi ciasteczkami. Pani w szkole zadała pisanie literki a i literki m; zabierz natychmiast, mammo, stolnicę! Ale matka wsuwa blachę z ciastkami do piekarnika, odpowiada: za chwilę, Oluniu, bądź cierpliwa. Jakże tu być cierpliwą, skoro ma się zadane napisanie literki a i literki m? Dlaczego - krzyczy do matki, twoja babcia nie ma takiego dużego domu jak babcia Józefa?! I widzi aż za ostro, aż do bólu: matka zatrzaskuje drzwiczki, pochyla się jeszcze niżej i jest cała schowana w mrok, tylko na spiętych w węzeł włosach ostatni błysk ognia, złoty. Odpowiedź matki jest tak cicha.

że ledwo ją słychać: bo ja nie mam żadnej babci, Oluniu. Zjesz ciasteczko? Jest pyszne i kruche, takie, jakie lubisz, Oluniu.

A babcia Józefa miała wielki dom z wielkim ogrodem. Jeździła do babci Józefy razem z ojcem raz na rok, na Józefę. To była męcząca i długa podróż, z dwukrotną przesiadką, ponieważ babcia Józefa mieszkała bardzo daleko od Orzelska. W dużym ogrodzie panował smutek: już nie zima, a jeszcze nie wiosna. Drzewa stały szare. Wszystko było wszędzie szare. Cały świat, widziany i z okna pociągu, i z okna w domu babci Józefy. A babcia Józefa ubierała się na czarno. Chodziła w szeleszczącej, czarnej sukni. Nie pozwalała bawić się ani w ogrodzie, ani w dużych, ciemnych pokojach. Pozwalała jedynie siedzieć przy oknie i nadstuchiwać, jak skrzypią gałęzie drzew w ogrodzie. Ani jednej zabawki nie było w tym ogromnym domu, w którym mieszkała tylko babcia Józefa. Na ścianach w największym pokoju wisiły powiększone fotografie i święte obrazy. Pan w mundurze, o krzaczastych, srogo na-marszczonych brwiach, spoglądał srogim wzrokiem - to dziadek, mówił tato. Na wszystkich porozwieszanych między świętymi obrazami fotografiach był dziadek. I na wszystkich miał takie srogie spojrzenie, jakby chciał zawołać: Aleksandro, jesteś niegrzeczna. Nie lubiła dziadka. Nie lubiła też babci Józefy. Ręce babci Józefy były oplecione różańcem jak węzłem, czarna suknia przypominała habit zakonnicy, a przecież babcia Józefa nie była zakonnica. Podsuwała na powitanie do ucałowania rękę i potyskujący srebrem krzyżyk różańca. Aleksandra urosła od zeszłego roku, mówiła. Tak, rośnie jak na drożdżach, odpowiadał tato i również całował rękę i krzyżyk. Aleksandro! weź krzeselko, przysuń do okna i wyglądaj grzecznie. Siedź prosto, Aleksandro, i nie przeszkadzaj nam! Zaraz przygotuję śniadanie. Podróż mieliście męczącą, Jerzy? Nie bardzo, mammo, taką jak zwykle, odpowiadał tato. Babcia Józefa nakrywała stół haftowaną serwetą, bardzo ładną, ale też dziwnie chrzęszczącą. Wszystko tu u babci Józefy jakby chrzęściło, nawet ona sama. Naczynia były w granatowo-złote paseczki. Uważaj, Aleksandro, przy jedzeniu, żebyś mi tu niczego nie stłukła. To jest ćmielowska porcelana. Módlmy się. Więc należało wstać, odmówić modlitwę: Dziękujemy

Ci, Panie za twe hojne dary... Czy codziennie odmawiasz paciorek, Aleksandro? Tak, babciu. Mam nadzieję, Jerzy, że Aleksandra będzie uczęszczać na lekcje religii? Oczywiście, mam nadzieję, mam nadzieję, Jerzy, że jej matka nie wyrazi sprzeciwu? Proszę cię, mam nadzieję, nie przy dziecku... Przepraszam cię, Jerzy, znowu się zapomniałam. Aleksandro, powiedz

zaraz głośno „Ojciec nasz...” Tak, babciu: Ojciec nasz, któryś jest w niebie... Bardzo dobrze. Aleksandro, bardzo dobrze. Widzę, że twoja matka... Mam nadzieję, Jerzy, oczywiście, już nic nie mówię. masz tu w nagrodę, Aleksandro, święty obrazek. Tylko schowaj go dobrze, żeby ci twoja... Mam nadzieję, ja naprawdę bardzo proszę! Któregoś roku, wracając z imienin babci Józefy, zapytała: dlaczego babcia nigdy nas nie odwiedza? Ojciec odpowiedział: ponieważ mieszka za daleko. Zapytała: to dlaczego my się do niej nie przeprowadzimy? Jest sama w takim dużym domu. O tym, odpowiedział ojciec, zaciskając usta, porozmawiamy kiedyś, kiedy będziesz w stanie to zrozumieć.

Nie pytała więcej. Bardzo nie lubiła jeździć do babci Józefy.

Ale i ojciec więcej jej tam już nie zabrał. Jakby obawiał się dalszych pytań. Babka Józefa żyła jeszcze kilka lat, a po pogrzebie, na który ojciec pojechał również sam, za dom z ogrodem i meble, i tę śmielowską porcelaną kupił używanego malucha, kolorowy telewizor i urządził nowe, blokowe mieszkanie.

O babci Józefie nigdy się w ich domu nie rozmawiało. Jakby nie istniała.

W kuchni jest jasno. Wszystko na biało. Kredens, stolik, dwa taborety, ściany, firaneczka w oknie.

Ten kredens kuchenny w ich starym mieszkaniu nie mieścił się i stał po prostu na klatce schodowej. Matka trzymała w nim różne rupiecie: wiadra, brytfanki do ciasta, miski, michy, szczotki, proszki do szorowania; w dwunastometrowej klitce nie było na to wszystko miejsca, chyba że przy suficie. Po przeprowadzce matka wiele dni pieczołowicie skrobała, szorowała kredens, zalepiała gipsem dziurki po kornikach, aż wreszcie odmalowała go białą olejną farbą. Stolik również. I dwa taborety.

Więc tak, Olunia: tu twój pokój, a tu mój. To znaczy: nasz. Mój i matki. Do kuchni wystarczą na razie stare graty. Za to w łazience, słyszysz, matka? położymy z punktu glazurę! Jaką chcesz mieć glazurę, Olunia?

Błękitną? Różową? Tylko w błękitnym kolorze, tato. U Maćka, w jego łazience są kafelki

błękitne. Ach!

Ale będziesz miała teraz wygodę, matka. Woda w kranie, gaz. Luksus. Tu postawimy, Oluniu, regał, na całą ścianę. Teraz są modne takie regały, prawda, Oluniu? Tu stolik z kolorowym pudłem. Tu tapczan. Tu stół.

trzeba mieć normalny stół, nareszcie zaczniemy jeść jak ludzie. Stół zamówiłem u prywaciarza w Grobkach, mahoń, takie same krzesła, sześć, wyściełane. Tu fotel. Będzie mi wygodnie oglądać, co leci w pudle. Tu drugi, dla ciebie. A te płytki pecewu są po prostu ohydne. I takie porysowane. Matka! matka, chodź no tutaj na chwileczkę, zerknij fachowym okiem, czy potrafisz te płytki doprowadzić do porządku? Może kiedyś uda mi się szarpnąć na parkiet. Tu, w przedpokoju, Olunia, postawimy ławę: będzie wygodnie zdejmować buty. Tu musi się zmieścić szafa na ubrania. Zasłony, Oluniu, kupimy gotowe, już oglądałem, pojedziemy, sprawdzisz, czy twój ojciec ma dobry gust. Widzę do tych mebli zasłony w kolorze jasnobeżowym. Niech wszystko zostanie delikatnie stonowane. Cieszę się, Olunia, że ci się podoba! A meble do swojego pokoju wybierzesz sama.

W kuchni stary kredens jak nowy. Jeszcze farba dobrze nie zaschła. Matka przygląda się swojemu dziełu. No i jak, Olunia, ładnie tu u mnie?

Julian Tuwim. „Kwiaty polskie”. „Marii Jarząbek za wzorowe...” Owalna pieczęć: Państwowy Dom Dziecka w Zalesiu.

Jedyna rzecz, która naprawdę należała do jej matki.

Bukiety wiejskie, jak wiadomo, wiązane były wzwyż i stromo. W barwach podobne do ołtarza, kształt serca miały lub wachlarza, albo palety. Z niej to, kwietnej, kolory brał bohomas świetny...

U warg kropelka słońca.

...A ty mi nic nie odpowiadasz i jesz zielone winogrona... Ależ ta baba ryczy! Jak ty możesz jej słuchać, matka? Pochylona nad rozłożoną książką w mocno zniszczonej oprawie, połykała łzy.

Bukiety wiejskie, jak wiadomo, wiązane były wzwyż i stromo. W barwach podobne do ołtarza... Co ty tam mamrociesz, mamó? Nic, Olu.

Nic.

Matka stała przy otwartej szafce, na której opierał się zlew. Wiadro ze śmieciami wypełniały połamane bukiety.

Co z tym drugim daniem?, krzyknął z pokoju ojciec.

Zaraz, zaraz, szepnęła matka. Ostatni bukiet, zdjęty przed chwilą ze ściany, obracała w grubych paluchach.

Co jest?, krzyknął ojciec. Gniewnie. Ze złością. Doczekam się na drugie?

Już, już, zaszeptła matka, położyła ten bukiet ostrożnie, z jakąś bolesną wprost tkliwością, na sam wierzch wiadra. Te poprzednie wciskała gwałtownie, brutalnie, łamiąc czerwonożółte serca jesiennych liści klonu, krusząc złotawe korony nieśmiertelników-, rozgniatając grona jarzębin.

O. Ola!, wołał ojciec, wychylając się z rzęcha. Roześmiany: Ola. chcesz? przejedziemy się za miasto. Wrzucaj torbę. Wskakuj. Co za dzień, co za dzień!

Pewno, że chciała. Lubiła jeździć z ojcem. Ostatnio miał mało czasu, wracał późno do domu: sprawozdania kwartalne, sporo wyjazdów w teren; człowiek tyra i tyra. nawet nie może zakosztować piękna przyrody, mówił ojciec.

Chociaż przez dziesięć minut zaciągnąć się ożywym powietrzem sosnowego lasu. Popatrzeć na ten świat, taki teraz piękny, co za dzień, Ola. co za dzień. Popatrz, ile barw, powtarzał, mijając domy Orzelska.

Koło willi Komornickich zacisnął usta: tym się wiedzie, cholera. Wczoraj na szosie Komornicka wzięła mnie swoim datsunem. Ale jak mnie wzięła, o, dobry Boże, mieć taki wóz, to dopiero szczęście. Ten mój przeklęty rzęch, psiakrew, na złom, wiecznie coś się w nim psuje. Nogi pod brodą, uraczyli naród samochodem dla mas, przekłete trepy.

Słońce grzało mocno, ojcu wrócił humor: co za dzień. Olu. co za dzień!

Zatrzymał samochód na skraju brzozowego zagajnika, za którym głęboką zielenią mienił się wysoki las. Zerwał parę trawek, ułamał gałązkę; ach, powiedział, być malarzem, utrwałać to piękno, światło, powietrze. Pokruszył jakiś liść. To co, Ola, wracamy? Jeść się chce.

Wpadli do domu ożywieni. Cisnęli na ławę, a może obok ławy, swoje rzeczy. Rozrucili buty. Obiadek jest?, zawołali równocześnie, roześmiali się też równocześnie; ochlapali, przepychając się przy umywalce, nie tylko umywalkę, ale i ścianę z błękitnych kafelków, co prawda nie takich samych jak u Maćka, ale też niezłych. Matka w kuchni trzaskała pośpiesznie garnkami, pachniało czymś pysznym; ach, Ola, powiedział ojciec, wycierając ręce, mam przecucie, że dziś nasza matka przyszykowała dla nas najpyszniejsze danie ze wszystkich pysznych: lśniące pyzy i suróweczkę z czerwonej kapusty. Pociągnął nosem: o, i czuję wyraźnie zapach barszczyku, może nawet i pasztecik będzie do barszczyku, co. Ola? Ale dzień, ale dzień!

I ramię w ramię wpadli do pokoju. A tam stół, jakżeby inaczej?, czekał nakryty i lśniły sztucce, wszystko jak należy, a jednak? Co to takiego?- zawołał ojciec. A co to takiego?, powtórzyła za ojcem.

Matka wsuwała się do pokoju z nieśmiałym, jak zwykle, a przecież jakimś innym niż zwykle uśmiechem.

Pośrodku stołu w dzbanku wielki bukiet. Gałąź klonu z purpurą i złotem liści, przetkana koralową jarzębiną. Obok regału, na podłodze, w butelce po mleku, też gałąź klonu, powtórzona odbiciem w wybluszczanych płytkach podłogi. Na telewizorze trzeci bukiet - same liście, przeplecione zeschniętymi trawkami i bladeżółtymi nieśmiertelnikami. A na ścianie czwarty, zwiisał zaczepiony o gwoździć, osypywał się gorejącą czerwienią, drżał w mocnym słońcu, migotał pulsujący, żywy.

Wbiłaś gwoździć? Zniszczyłaś nową ścianę?, usta ojca zaciskały się gniewnie. Co to za śmieci w ogóle?

Uśmiech na posiniątych wargach matki drżał, ginął. Zakotyssała się, pośpiesznie, kaczym chodem dopadła



stołu, regału i pudła. Zaszleściło. Posypało się.

Widzisz, jak ty śmiesz? Kompletna wariatka, nazbierała zeschniętych liści i myśli, że to piękne! W kuchni stuknęło wiadro. Tato...

Ta twoja matka to ma pomysły!

Tato. Ten na ścianie jednak... I chciała powiedzieć, że ten na ścianie jest piękny, lecz ojciec przerwał: co - ten na ścianie? co? Jeżeli powiesz, że ci się podoba, to zwątpię w twój dobry gust, Ola.

Nie. Nie podoba mi się. Skądże.

Matka już wróciła, już przysunęła krzesło, wgramoliła się na nie, tłusta beka, i cały zachwyty dla tego osypującego się po bieli ściany czerwieni i złotem bukietu przeszedł, minął; żeby tak dom zaśmiecać, odezwała się.

Może byś jednak podała nam w końcu ten obiad!

Już podaję, odpowiedziała matka. Wynosiła swój jesienny potok czy kaskadę ostrożnie, jakby to było coś żywego, czującego, coś, czemu można sprawić ból.

Będę musiał gipsować ścianę!, odezwał się z irytacją ojciec. Co za pomysły!

Matka podała barszczyk. Były i paszteciki, rozpyływały się w ustach. pycha, pycha.

Co ta matka tak się guzdra z tym drugim daniem? Idź, Ola, pogoń. Matka stała przy otwartej szafce. Trzymała swój ostatni bukiet. Co tam mamrociesz, mamó? Nic, Olu, nic.

Bukiety wiejskie, jak wiadomo, wiązane były wzwyż i stromo. W barwach podobne do ołtarza, kształt serca miały lub wachlarza, albo palety. Z niej to, kwietnej, koloru brat bohomas świetny...

Kuchnia jest jasna. Kredens biały, odmalowany przez matkę. Dwa taborety, odmalowane przez matkę. Stolik, który w ich dwunastometrowej klitce stał wciśnięty między kuchnię węglową a skrzynię na opał, przykrywa biała cerata w srebrzysty wzorek. Cerata przetarła się już na rogach, wzorki zatraciły kontury, ale jak wymienić tę ceratę na nową, skoro ją kupowała i rozkładała tutaj matka?

Taka zajmująca ta lektura?, dziwi się ojciec. Nie rozpoznaje podniszczonej, żółtawej okładki. Patrzy na nią zupełnie obojętnie.

Zaryzykować? Julian Tuwim, „Kwiaty polskie”, mówi, przyglądając się twarzy ojca, śledząc jego wargi, oczy. Może te wargi jednak zadrzą, może te oczy jednak się spłoszą?

Ale nie. Usta, oczy ojca pozostają zupełnie obojętne. Usta mówią: Tuwim? Tuwim? a! to ten od wierszyków dla dzieci? Macie w lekturze wiersze dla dzieci? Licealiści? A po co?

I usta ojca zaciskają się; no pewno, mówi, przecież nie będą was uczyć prawdziwej historii literatury,

choćby na Ossendowskim. To był dopiero prawdziwy pisarz, Olu, jak on plastycznie przedstawił rewolucję, mówię ci!

W obawie, aby ojciec po raz któryś tam nie zaczął streszczać tej jedynej chyba powieści, jaką przeczytał, poza, oczywiście, „Trylogią” Sienkiewicza, którą również streszczał dziesiątki razy - odzywa się pośpiesznie: przeskadasz mi, tato. Idź, poszukaj się przed pudłem. Jeść mi się chce, Olunia. Może by tak kanapczkę? Idź, idź, tato. Za pół godziny kolacja.

Z niczym się więc ojcu nie kojarzy ta żółtawa, mocno zniszczona okładka. O rodzinie matki nigdy się w tym domu nie wspominało. Nie mówiło się także i o babci Józefie. Ani o dziadku w oficerskim mundurze. Po śmierci babki Józefy ojciec przywiózł kilkanaście drobiazgów, te fotografie dziadka, te święte obrazy, album ze zdjęciami rodzinnymi. Obrazy i fotografie spakował, wsadził na pawlacz. To dla ciebie, Olunia, powiedział, babcia zapisała ci to w testamencie. Kiedy dorośniesz i założysz swój własny dom, powiesz na ścianie obrazy i fotografie. Będziesz kontynuować rodzinną tradycję. Nie każdy może się poszczycić dziadkiem - przedwojennym oficerem.

Album oglądali często. Popatrz, Olunia, ten bobas na atlasowej nar eie - to ja, twój tata. Komiczny brzdąc, prawda? A tu, Ola. twoja babcia Piękna kobieta. A tu, spójrz, znowu ja. Widzisz ten czarniawy puszc nad górną wargą - zaczynały mi się sypać wąsy. Dlatego jestem tu na tym zdjęciu taki dumny: miałem dopiero piętnaście lat, a już musiałem się golić. jak prawdziwy mężczyzna.

Matki zdjęć ani ich wspólnych, matki i ojca. nigdzie nie było. Nawet ślubu.

Nigdy nie wołał: chodź, matka, popatrz-ten bobas to ja! Po obejrzeniu zdjęć chował album do swojej osobistej szuflady, zamykanej na klucz. Klucz przekręcał, wyjmował, nosił go stale przy sobie. A ja nigdy nie zapytałam: dlaczego, tato. w albumie nie ma żadnych zdjęć mamy Album jest jak pamięć, przechowuje wspomnienia o czasie minionym Dlaczego nie zaistniała w nim matka? Jakby jej w ogóle nie było. Jakby od zawsze była tylko i wyłącznie grubą słońcą, naszym robotem.

Matki też nie pytałam. Tylko wtedy: ważna pierwszoklasistka, wściekła za zajęty przez ciastka stolik, wykrzyczałam swoje pełne pretensji dlaczego twoja babcia, mamu, nie ma tak dużego domu jak babcia Józefa?!

Błysk ognia na włosach, pochylenie głowy, odpowiedź jakże prosta: bo ja nie mam żadnej babci, Olu.

Rodowód mojej matki zaczyna się od tej owalnej pieczęci: Państwowy Dom Dziecka w Zalesiu.

Zaciska dłonie na żółtawej, mocno zniszczonej okładce. Skąd ta książka między podręcznikami ojca? Zaplątała się tam przez przypadek? Ale przypadek nie pasował do obrazu pedantycznej, odkładającej wszystko na swoje miejsce matki.

Może to właśnie było schowanko na „Kwiaty polskie” Juliana Tuwima? Najbardziej bezpieczne z bezpiecznych? Wprost na oczach ojca? Arogancka pewność, że jego ręka nie sięgnie po żadną „Nowoczesną hodowlę trzody chlewnej” czy „Zasady mechanizacji rolnictwa”? Najciemniej jest pod latarnią, prawda? Dogodne miejsce. W każdym momencie, niech się tylko zamkną za nimi drzwi, niech

zatupią po schodach, mąż i córka, a już można odsunąć szkło, wziąć książkę, czytać: Bukiety wiejskie, jak wiadomo...

Przewraca gorączkowo strony. Jedna za drugą, jedna za drugą, może ul gdzieś jeszcze ślad po kropelce słonej...? Jakie te strony pożółkłe, gromniczne.

„Grande Valse Brillante”: Czy pamiętasz, jak z tobą tańczyłem walca, panno, madonno, legendo tych lat?... Czy ta kropeczka tutaj szarawa, o, tutaj, nad „Grandę Valse Brillante” to ślad po kropelce słonej?

Czy dlatego tak lubiła słuchać Demarczyk?

Jak ta baba wyje! Tobie się naprawdę podoba jej wycie, matka?

Żyje jak kret, ślepa, ślepa, między garami a robótką na drutach.

Jesteś jak ślepy kret, mamó.

A skąd wiesz, Olu, że kret jest ślepy?

Zaciska coraz mocniej, aż do bólu, dłonie na pożółkłych gromnicznie stronicach. Kret żyje głęboko pod ziemią, drąży tunele, trzeba je odkopać, odsłonić, znaleźć wszystkie jego ścieżki i ścieżynki, wysledzić każdy

pozostawiony trop. Co z tą kolacją, Olunia?, woła z pokoju ojciec, przekrzykując ryczące pudło.

Niech więc tej jesieni liście, które mają kształt serca albo palety, zasypią grób matki. Niech ją okryją barwnym wachlarzem. Niech ma, choć

tutaj, swoje bukiety.

Właśnie opada, trzepocze, zatrzymuje się na ramieniu krzyża. I płonie purpurą, złotem. Tyle dziś słońca, mamó, jesień w tym roku jest po prostu zachwycająca, szczodra, dobra. Co za dzień, mamó, co za dzień! Kompotu nie podałaś!, zawołał ojciec. Matka wniosła kompot.

Co się z tobą dziś dzieje, matka? Popatrz, Ola, na naszą matkę: czy ty, matka, masz zamiar płakać z powodu byle śmieci?

Matka postawiła szklanę z kompotem przed talerzem ojca. Tobie, Olu, też kompicik?, zapytała. Obfite słońce wpadało przez szerokie okno balkonowe, ozłacając ścianę z beczelnie wbitym gwoździkiem, stół, pyzy. surówkę z czerwonej kapusty, pszenne włosy matki upięte w gruby węzeł, i nawet tę szklanę z kompotem truskawkowym.

Popatrz, Ola, matka naprawdę płacze. Coś podobnego, obruszył się ojciec, upił łyżeczek prześwieconego słońcem kompotu, powiedział taskawie: no i czego ty, czego? Chcesz mieć kwiaty? Proszę bardzo! Kup

sobie jakieś porządne, w doniczkach! Nawet palmę możesz sobie kupić.

Matka się już opanowała. Na twarzy przepraszający uśmiech. Mam jeszcze szarlotkę, podać?, zapytała.

Ojciec aż się zakrztusił. A co to za święto, matka., powiedział, cmoknął obtłuszczonymi wargami: i barszczyk z pasztecikiem na pierwsze, pyzy z surówką na drugie, i jeszcze deserek? Też pytanie! Pewno że podać, prawda, Olunia? Ta nasza dobra, kochana matka, ona nam potrafi dogodzić, prawda, Olunia? O, tak, tato. Potrafi.

Do jutra, mamó.

Liście pod stopami szeleszczą. Stopy nie zostawiają w nich żadnych śladów. Ale ślady po matce, która odeszła przeszło półtora roku temu, są takie ostre, takie wyraźne. Aż do bólu.

Ostatni dzień babiego lata

Ojciec już wrócił. Leżał na tapczanie.

- Przepraszam - powiedziała - obiad będzie za pół godziny.

- Znowu tam łąziłaś?

- To moja sprawa, dokąd chodzę po budzie.

- Minęło ponad półtora roku od śmierci matki, a ty...

Dokładnie za pół godziny - przerwała, wyszła z pokoju. Ojciec coś tam pokrzykiwał. Niech pokrzykuje. Przysmażając grzybki, pomyślała z zadowoleniem, że naprawdę wykazuje się sporą wprawą w przygotowywaniu posiłków. Niebywały sukces jak na kogoś, kto przez większość swojego dotychczasowego życia nie wiedział, czy burak zalicza się do włoszczyzny.

Poszatkowała por, jabłko i kiszony ogórek. Do zapiekanki z grzybami matka podawała zawsze taką właśnie surówkę.

Wyjęła ze spizarki słoik z kompotem truskawkowym. Truskawki były w tym roku tanie, obrodziły,

ugotowała aż dwadzieścia weków. Matka szykowała ich zawsze znacznie więcej, ojciec przepadał za kompotem z truskawek.

Poszła do pokoju, nakryła stół. Ojciec wciąż leżał na tapczanie. Zaciskał usta.

- To przecież nie jest normalne, żeby tyle czasu przesiadywać...

- Obiad gotowy. Ręce umyłeś? Siadał do stołu odęty.

- Znowu zapiekanka? Dopiero robiłaś...

- Ale makaronową i z jabłkami. Co się czepiasz? Niedobra? Nie smakuje?

- Ujdzie.

- \yCz surówkę. Ktoś zadzwonił.

~ Otworzę - powiedziała. - Jedz.

W wytłuszczonym smarami kombinezonie stał Piotrek Kołodziejczyk z jakimś pakunkiem w ręku.

- Cześć, Olka. Stary jest?

- Wejdz. Zawołam.

- Po co? Trzymaj, mój przysyła. To do waszego rzęcha. Ale mój stary kazał powiedzieć twojemu, że teraz trzeba płacić - Piotrek wyszczerzył zębiska. - Jak się poszło w odstawkę, nic za darmo.

- Kto tam?! - zawołał z pokoju ojciec.

- Ale nie piekarnia, nie pali się - Piotrek dalej szczerzył zęby. - Mój stary powiedział, że przy okazji. Należy się za ledwie marny patol. Cześć, stara.

- Cześć.

Wróciła do pokoju, trzasnęła tym pakunkiem o stół.

- Uważaj! - ojciec napełniał ponownie talerz kopsiastą porcją zapiekanki. - Piotrek przyniósł? To świetnie. Dzwoniłem dziś do Kołodziejczyka, bo ten cholerny zapłon znowu kicha, i popatrz, popatrz. Olunia, z dostawą do domu. porządny gość, ma się to poważanie u ludzi. Dlaczego nie jesz?

- Nie zapytałeś: ile?

- Co: ile?

- Należy się za ten zapłon czy kichanie.

- Och, Olka! - zniecierpliwiał się ojciec, popił kompotu. - Głupstwo. Ja jemu, on mnie. Rozumiesz? Uprzejmość.

- Jak tamten schabik czy kulka cielęca, prawda?

- Jaki znowu schabik?

- Tamten od Maniochy. Kulka też pewno była od Maniochy. Zapomniałeś?

- Och, Olka! żebym ja miał pamiętać o wszystkich drobiazgach, to dostałbym kompletnego świra.

Milczała. Pacnęła widelcem w grzybek.

- Co z tobą? Dlaczego nie jesz? Ta zapiekanka pycha. Milczała.

- Źle się czujesz? - zaniepokoił się ojciec.

- Czuję się świetnie. Ach, jak przyjemnie!

- No nie, Olka, ja sobie wypraszam!

Odsunęła talerz. Zapiekanka była gorzka. Może grzybki gorzkie?

- Trzeba płacić, tato.

- Co takiego?

- Jak się poszło w odstawkę, nic więcej za darmo. Ani mięsko, ani części do rżęcha. Patyk się należy.

Ojciec unosił się ponad stołem, posapujący, groźny. \_ To nie ja, tato. To Piotrek przekazał ci w taki sposób wyrazy uszanowania od swojego ojca. Uzpełniłam je tylko o mięsko, tato. Ojciec wprost się dusił. Zabrała swój talerz, wyszła. Zgarniając zapiekankę do śmieci, pomyślała, że dobrze zna własnego ojca, potrafi przewidzieć dalszy ciąg afery. Zaraz jej ojciec pozbiera się, wymyśli jakieś ładne mniej więcej przekonujące kłamstwo, takie drobne, na miarę tego mięska czy tej części do rżęcha. Za krótko był peo. Jeszcze nie zdążył się nauczyć ani solidnie kłamać, ani solidnie kraść. Biedny! Tak pragnie być ogólnie szanowany, a zwłaszcza przez własną córkę.

- Olunia, t\ zawsze wszystko na opak. Ja ci zaraz wytłumaczę po kolei. Ty, zdaje się, wyobrażasz sobie, że ja, twój rodzony ojciec...

- Pozmywam, gdy wrócę. tato. Teraz muszę lecieć do koleżanki.

- Słuchaj, Olunia... Ten Kołodziejczyk, stary oszust...

- Przed chwilą mówiłeś, że porządny gość. Więc jak? zdecyduj się: porządny czy oszust?

- Gówniara!

Wyminęła tego swojego ojca, krzyżącego: gówniara! i co ty sobie wyobrażasz, gówniario?, narzuciła

na ramiona kurtkę, wbiła się w buty. Zamykając drzwi, usłyszała jeszcze wściekłe: ja muszę się za ciebie zabrać, gówniaro! To jest chamstwo, gówniaro! Trzasnęła ojcu drzwiami przed nosem.

Za magazynami geesu skręciła na przełaj poprzez puste o tej porze targowisko, otoczone z trzech stron blokami Osiedla Pod Gruszą. Chyba nikt w Orzelsku nie wiedział, skąd się wzięła ta nazwa. Nigdy tutaj dotąd nie przychodziła, żadna z koleżanek tu nie mieszkała. Osiedle Pod Gruszą zaczęto budować za Jurczyka, trzy lata temu. Pomyślała, że nabudowali tych bloków od groma, i dlaczego stale brakuje mieszkań? Inna rzecz, że stary Orzelsk. ten rdzenny, zabudowany z reguły drewniakami, obrastał pleśnią i grzybem, a ludzi nie ubywało. I wszystko się dokoła tak rozrasta. Odległe o dwadzieścia kilometrów Grobki podwoiły liczbę mieszkańców, całkiem teraz spore miasto: trzy kina. własny peweks. cepelia ' desa, a fabryka dywanów rozbudowała się ze zwykłych warsztatów spółdzielczych tak, że do Orzelska wysyła trzy autobusy pracownicze. Mnóstwo ludzi stąd dojeżdża codziennie do Grobek. W nowych dzielnicach Grobek można zabłądzić, a pamięta, że nie tak znowu dawno wszędzie tam rosło zboże i muczały krowy. Tu gdzie Osiedle pod Gruszą, też rosło zboże.

Cholera, pomyślała, i jak ja znajdę Kozubskiego? Trzeba pytać.

Ale nie musiała pytać. Przed nią, we własnej osobie, zapychał Kozubski. Niósł wodę, kolebiącą się w czerwonym, plastikowym wiaderku. Po co mu woda?, pomyślała.

- Halo, Kozubski!

Kozubski obejrzał się, przystanął.

- Rura u was pękła?

- Halo - odpowiedział, zupełnie nie zdziwiony jej obecnością. - Straszna awaria, pół mieszkania zalało. Dobrze, że prąd działa.

- O! to przykre - powiedziała. - Hydraulika wezwaliście?

- Wezwaliśmy. Zakręcił dopływ wody i znowu nie ma w całym bloku -Kozubski uśmiechnął się, tak jakoś dziwnie, popatrzył też dziwnie. -To co? Idziemy do mnie, prawda?

Ale bezczelny, pomyślała. I jaki pewny siebie.

- A skąd wiesz, że ja akurat do ciebie? Zamachał wiaderkiem, woda zachlupotała.

- A nie do mnie?-zapytał. I to pytanie Kozubskiego brzmiało ironicznie. Zmieszała się. Po co ona tu właściwie przylazła. Co chciała udowodnić? I komu? Sobie? Macając kredens za cztery paczki? Że inni, ci partyjni, są znacznie gorsi od ojca? nie zadowolają się schabikiem? częścią do rżęcha za marnego patola?

że stać ich na kupowanie kredensów za czterysta tysięcy? rozjeżdżają się mercami w kolorze kości słoniowej?

- No, chodź-powiedział ostro Kozubski. Nie wypadło to grzecznie. Bezczelny, pewny siebie cham, pomyślała. Zaciśnięła usta. Ale posłusznie szła obok niego.

Minęli trzy lub cztery bloki. Zmierzchało. W październikowe popołudnia wieczór zapada gwałtownie, pośpiesznie zaciąga niebo ciemnymi chmurami. Lecz wciąż było bardzo ciepło. Co za dzień, co za dzień!

- To tamten blok - wskazał Kozubski. - Ten ostatni w szeregu. Teraz musisz już uważać. Zaczyna się księżycowy pejzaż, a dywanu tu jeszcze mimo nalegań mojego ojca nie zdążyli rozwinąć. Transparenty powitalne zaś zdjęto.

Przystanąła.

- No i na kogo ty się zgrywasz, Kozubski?

- Ja? Po prostu uprzedzam kolejne, barwne opowieści o moim ojcu -powiedział ze spokojem. - Uważasz, że nie mam prawa? nawet do obrony? Wam wolno, a mnie nie? Czy cię chociaż obrażam, jak wy mnie? przecież nie opluwam twojego ojca, ja go nie znam, nie widziałem dotąd na oczy, opowiadam jedynie o swoim. Nie jesteś ciekawa, Olu? Dobrze zapamiętałem twoje imię: Ola. Ładne, dobre, łagodne, budzące zaufanie

imię-

Chciała zawrócić. Przytrzymał ją za ramię.

- Tchórzysz?

- Też coś! - prychnęła. Wyszarpnęła się spod jego ręki. Kozubski zakotłosał wiaderkiem. Zrozumiała, że ta woda to nie z powodu awarii. Oczywiście, ordynarna plotka, ani im wody nie podłączono jeszcze, ani gazu. co za plotka! I tak dać się nabrać? Przecież poza Lewandoszczakiem nie mieszka w Orzelsku żaden inny monter, przecież ojciec, jeszcze kiedy był peo, klął na czym świat stoi, opowiadając o socjalistycznych porządkach, w których możliwe jest zbudowanie bloków w pół roku, a podłączenie ich do sieci miejskiej okazuje się przeszkodą nie do pokonania, bo monterzy z Grobek są nieosiągalni, mają inny harmonogram robót i Orzelsk ze swoimi blokami im nie po drodze. Więc plotka. Lecz kredens nie może być plotką. Zniknął z desy, a stał w niej parę miesięcy. Akurat teraz by zniknął? odkąd naczelnikostwo objął ojciec Kozubskiego! Aż taki dziwny zbieg okoliczności? Broni ojca, cóż, ma prawo. Każdy na jego miejscu postąpiłby tak samo. Ja też, pomyślała. Mogę swojemu ojcu powiedzieć wszystko, co o nim myślę, lecz komuś obcemu - wara. Nawet, jeśli to prawda, też wara.

Popatrzyła na Kozubskiego. Szedł obok, doskonale opanowany, niósł wiaderko z wodą. Omijał wądoły, zatrzymywał się, powtarzał: teraz uważaj, trzeba obejść, nie potknij się, proszę, znowu dziura. Układny. Wyciągał rękę: pozwól, pomogę, mówił. Może i w porządku chłopak, pomyślała. Ale co z tego? skoro ma takiego ojca? który jeździ sobie mercem?



Potknęła się. Nie o kamień, lecz z nagłego olśnienia: świnia! bezczelna świnia! tak nas podpuścić! Uprzymniła sobie, że kto jak kto, ale jej rodzony ojciec pierwszy poinformowałby z jadowitą satysfakcją: a wiesz, Olunia, czym jeździ ten głąb? Mercem, Olunia, mercem, i może ktoś powie, że kupił go za swoją partyjną pensyjkę? Czy Maglowa przepuściłaby okazję do maglowania o mercu naczelnika? A inni? Tymczasem dotąd nikt ani jednym słowem nie wspomniał merca. Cisza, milczenie.

- Uważaj - powiedział Kozubski.

Ojciec komentował tylko tę benzynę, specjalne przydziały dla partyjnego prominenta na jazdy w tę i z powrotem, z Elbląga do Orzelska. Równe osiemdziesiąt kilometrów w jedną stronę. Razem sto sześćdziesiąt To policz. Olunia, ile oni mają dla swoich! A ty, robolu, kupuj na lewo przepłacaj, cholera jedna.

I odechciało się jej wędrować za Kozubskim, chociaż już zbliżali się do jego bloku. Wiedziała: ta stara plotkara. Smułkowa. matka Maglowej razem z tą drugą, Dawidowicz, z pewnością coś tam pokręciły, wypatrzyły jakiś inny kredens, a może zwykłą szafę.

- Dziura, nie wpadnij!

- Widzę-odparła. Zaciskając usta, pomyślała, że jednak istnieje jedno absolutnie pewne draństwo. Jedno jedyne, ale jest. Owo mieszkanie, które powinna była otrzymać Kwaśniewska.

Kozubski pchnął drzwi klatki schodowej, usunął się:

- Proszę.

Ach. jaki ugrzecznony. Drań.

Oczywiście, ani śladu kredensu z desy.

Meble jak meble, nic nadzwyczajnego. Jeszcze nie porozstawiane. Kilka skrzyń, pak. ogólny bałagan. Dwupokojowe mieszkanie, należące się z przydziału Kwaśniewskiej, miało większy metraż od ich blokowego, rozkład ładniejszy. I kibel oddzielny.

- Klapnij sobie tu - pokazał fotel - a ja zagotuję grzałką wodę na herbatę. Okropny nieporządek. Przepraszam. Nie zdążyliśmy z ojcem ani się rozpakować na dobre, ani poustawić mebli.

Wrócił za moment.

- Zaraz będzie herbata. Nastawić magnet? Mam parę niezłych kawałków. Obaj z ojcem lubimy muzykę. Ojcu sporo podoba się z młodzieżowej listy - przejechał palcem po kasetach. - Nie wiem tylko, co lubisz... pewno disco? A ja tego mam niewiele. Muzyczka dobra do dyskotek.

- Dlaczego sądzisz, że ja muszę akurat przepadać za disco? Tak: jesteś pewien, że jeśli ktoś z Orzelska, to lubi tylko łatwe numery? A może ja na przykład słucham bluesa? I uwielbiam B. B. Kinga?

- Naprawdę? - ucieszył się. - To wspaniale! Mam Kinga.

- I, oczywiście. Jarre'a też masz?

\_ Też go lubisz? - ucieszył się jeszcze bardziej. - Cudowny, prawda? ,jest ten Jean Michel Jarre!

A czemu by nie? - odpowiedziała z wyzwaniem i pomyślała, że ten Kozubski to jednak nie aż taki bystrzak, chociaż dziamocze po angielsku jak Anglik. Zwyczajny, zarozumiały buc. Maciek na przykład Jarre'a nie trawił, lecz miał go w swojej kolekcji, gdyż Jarre jest modny, uznany wypada go słuchać. Kozubski też pozuje na bywalca. King, Jarre, disco głupia muzyczka, a w Orzelsku same naiwniaki, co to się na niczym nie znają- Mówiąc szczerze, nagrania z Jarre'em Maciek się pozbył; masz, Olka, powiedział, tobie się podoba ten smędział, muzyczka w sam raz dla entvnientalnych panienek. Wtedy przydał się magnet od ojca, puszczała często ..Koncert w Chinach" i słuchając myślała o matce, że pewno by się ej podobał, bo taki jest piękny. A matka przecież kochała piękno. W tym swoim własnym, intymnym świecie, tak skrzętnie skrywanym przed najbliższymi, rozwieszała bukiety wiejskie, tańczyła walca i była zupełnie kimś innym niż w rzeczywistości. Kim ty byłaś naprawdę, mamo?

- Co tobie, Olu? Tak posmutniałaś? - zapytał Kozubski.

- Mnie? Nic! - powiedziała ze złością. - Natomiast ty zamierzałeś poczęstować mnie herbatą!

- Właśnie przyszedłem zapytać, czy mogę ci zaparzyć zwykłą plujkę? bo czajnik jeszcze nie rozpakowany...

Był po prostu nudny z tą swoją układnością. Nie raczyła odpowiedzieć. Gdy w kuchni hałasował szklankami, spostrzegła przy tapczanie, na niskim stoliczku, fotografię w ramkach. Twarz młodej jeszcze i ładnej kobiety patrzyła lekko wypukłymi jak u Kozubskiego oczami.

- To twoja matka? Postawił tacę ze szklankami.

- Tak.

- Nie chciała się przeprowadzić do takiej dziury jak nasz Orzelsk.

Milczał.

- Podobna do ciebie.

ile ci osłodzić? - zapytał wreszcie stłumionym głosem. Zrozumiała, | że nie chce rozmawiać z nią o swojej matce. Biedak, nie wie jeszcze, że nie istnieje taka sprawa lub tajemnica, którą by można w Orzelsku ukryć, schować przed wszędobylskimi oczami, uszami i jęzorami; prędzej czy później i tak zatrząsie się tu od plot, dlaczego pani naczelnikowa nie raczyła zjechać ze swoim mężusiem i synusiem. gorzką, bardzo

uprzejmy.

Zauważyła wilgotny smutek w wypukłych, połyskujących zza szkła oczach. Coś z tą jego matką naprawdę, nie tak, pomyślała. I powiedziała zjadliwie, z satysfakcją, której się zaraz zawstydzila:

- Odeszła w siną dal?

- Można to i tak ująć-odpowiedział. Zdjął okulary. Wyciągnął swoją komiczną flanelkę do przecierania szkła. - Umarła.

Herbata sparzyła usta. A głos dzwonów z koncertu Jeana Michela Jeara brzmiał przejmująco boleśnie.

- Przepraszam...

- A wiesz-opanował się Kozubski-że jesteś piątą osobą, która przychodzi z przyjacielską, szczerą, bez ukrytych zamiarów wizytą?

Założył okulary i jego wypukłe oczy, oszpecone podwójnymi soczewkami, uśmiechnęły się szczególnie szyderczo.

- Najpierw wpadły dwie koleżanki. Ta z oczkami jak świderki, wielce sympatyczna i dociekliwa koleżanka Co Za Tym Się Kryje. Z taką dnujH kruchą i wiotką blondyneczką, Iwonką, zdaje się. Poczęstowałem je herbatą. Koleżanka Co Za Tym Się Kryje ogromnie przejęła się równocześnie Mną awarią i gazem, i wody. Osobiście sprawdziła, po kolei, i kurek od gazu i krany. Była bardzo zdumiona, że najpierw w środku nocy podłączyli, a potem w blasku dnia odłączyli. Zanim wyszły, następne pukanko...

Wrażenie wywołane wiadomością, że i on nie ma matki, minęło. Spojrzała na Kozubskiego z nienawiścią: tak bardzo ją zdołał w tak krótkim czasie upokorzyć.

- Dziękuję ci za herbatę. Była wspaniała. Ty również jesteś wspaniałą. Wspaniale ujadasz po angielsku, wspaniale jesteś inteligentny, ze wspaniałą przenikliwością odkryłeś moje wścibskie zamiary. Masz rację Kozubski, rzeczywiście przyszedłem do ciebie w celach identycznych jak koleżanka Co Za Tym Się Kryje. Nie jestem oryginalną indywidualnością. Ale chociaż nie kupiliście kredensu za cztery paczki ani twój stary nie jeździ mercedesem, to ja się na ciebie nie nabiorę. Ani na twojego ojca. Co wiem. to wiem. Jak na przykład to, że na tę chałupę, w której jeszcze nie zdążyliście się porozstawiać, przydział miała Kwaśniewska. Ta sama którą dziś na lekcji usiłowałeś olśnić swoją pokazową, płynną angielszczyzną.

Pięgi mu zapłonęły. Ach, jak przyjemnie chłopakowi dosunęła. Teraz mogła już stąd wyjść.

Wstała. i Kozubski od razu się podniósł.

- Nie fatyguj się dla prymitywu orzelskiego. Sama trafię do drzwi. My tutaj zwykle prostactwo, Kozubski, nie czytujemy nawet „Przekroju”, nie znamy się na dobrym wychowaniu. Siorbiemy herbatę, a mięso zjadamy o tak: paluchami.

W domu było ciemno. Światła pogaszone. Z pokoju ojca dobiegało znajome chrapanko.

Ten ojciec! chrapie i chrapie! A co będzie robił nocą? Też chrapał, cholera! Ale na kolację nie trzeba go ściągać z wyra, pomyślała, wchodząc do kuchni, ma w brzuchu budzik.

Naczynia pozmywane, suszarka opróżniona. Zapisać na kominie! Czy to z powodu tej wpadki z Kołodziejczykiem aż tak się postarałeś, tato?

Obudzić go, zatargać, potrząsnąć. Wygarnąć mu wszystko, wszystko.

A, niech chrapie, pomyślała z niechęcią. Trzeba się brać za lekcje, podgonić englisha.

Walnęła englishem o biurko. Do diabła, bezczelny typ, i co on dziś nadziamotał Kwaśniewskiej? Jasny gwint!, powiedziała na głos, od dziś, niedoczekanie twoje, kuję się tego englisha. Nie mam zamiaru więcej rozdziawiać w zdumieniu gęby. Ja ci pokażę, Kozubski, zobaczysz.

Za ścianą terkot telefonu.

Ustyszała skrzypienie tapczanu, to ojciec ściągał swoje zwłoki, ziewał; a kogo tam... cholera, mruczał. Ściany są bardzo akustyczne, jakby z

dykty.

Halo? Tu Marciniak. Słucham?, głos ojca zaspany, rozleniwiony nagle zaskrzypiał nerwowo: co ty pleciesz, Banaszak? A po co on do Kwaśniewskiej?

Kwaśniewska? Zaczęła słuchać uważnie.

Poczekaj, Banaszak. Po kolei, nie tak szybko, bo się gubię. Najpierw

- czy to pewne?

Pauza, niedługa. Nerwowy głos ojca: ale kto go widział, Banaszak,

kto?

Pauza, niedługa. Głos ojca coraz bardziej nerwowy: aaa, jeżeli sam

Głowacki...

Pauza, króciutka. W głosie ojca irytacja: wszystko jedno, czy był u niej długo, czy krótko, ważne jest to, po co ten nowy do niej poszedł?

Pauza, tym razem długa. Głos ojca jakby raźniejszy: a widzisz, Banaszak, ewidentna bzdura! Słusznie mówisz. Uważam podobnie. Sam domagał się dla siebie mieszkania!

Pauza, krótka. Prawie radosny głos ojca: no tak, tak! Banaszak, jasne, Powtarzał od tygodni, że zużył

na dojazdy cały kwartalny przydział. Mieliśmy mu zabezpieczyć mieszkanie. To zabezpieczyliśmy, może nie? W końcu zdawał sobie sprawę, że mieszkanie to nie sałatka, którą można wyhodować w przydomowym ogródku w dwa tygodnie!

Pauza, niedługa. Śmiech ojca: no i bardzo dobrze, Banaszak. Tak trzymać, w razie jakby co.

Pauza, bardzo długa. Głos ojca znowu nerwowo: chyba jednak masz rację, Banaszak. Coś się za tym musi kryć. I zgadzam się z tobą, że ktoś musiał sypnąć. Ale kto, Banaszak, co za drań? Paszyński? Nie, Banaszak. nie Paszyński, pod nim się grunt pali, to nowy napuścił kontrolę n gees, na Paszyńskiego.

Pauza, krótka: rzeczywiście, tak też mogło być. Paszyński chciał mu się zasłużyć, to do Paszyńskiego podobne. Ostrzegałeś? No tak, ostrzegałeś i co z tego? W jaki sposób ominąć Paszyńskiego, skoro siedzi w komisji przydziałów jako czynnik społeczny?

Pauza. Długa, długa, wreszcie: chromolisz, Banaszak. I co nam zrobi. Już się przecież tam wprowadził. Przydział dostał imienny. Może nam nadmuchać. Wyprowadzi się. czy jak? Już teraz niczego nie może. Banaszak. Ewentualnie powścieka się, wygłosi małe przemówienie i tyle jego. A smród pozostanie. W końcu o to chodziło, żeby napuścić wokół nowego trochę smrodu, prawda, Banaszak?

Pauza: tak, Banaszak. Dobrze, że mnie uprzedziłeś. Tak, Banaszak, jestem sam w domu. Inaczej nie rozmawiałbym tak z tobą. Córka poleciała do jakiejś koleżanki. To cześć, Banaszak.

Szybko zgasiła światło. Na palcach, wstrzymując oddech, przebiegła podłogę. Żeby tapczan nie zatrzeszczał! Nie zatrzeszczał, na szczęście. Naciągnęła koc aż po czoło.

Kroki ojca w przedpokoju, przystanął, zawrócił. Musiał zauważyć kurtkę i buty. Uchylił drzwi.

- Ola?

Zadyszała głęboko niby w przepastnym śnie.

- Śpisz?

Zachrapała z poświstywaniami. Aby tylko nie przesadzić.

- Ola? Wstań. Ola, obudź się, czas na kolację.

Udawała, że się budzi. Ziewnęła. Przeciągnęła się. Ach, jak bardzo była zaspana.

\_ Dawno wróciłaś? Bo nie słyszałem... - głos ojca brzmiał niby normalnie, a jednak...

- A bo ja wiem, czy dawno? - znowu ziewnęła. - Chrapałeś na całą chałupę, więc i mnie jakoś zmogło. Spałam jak kamień.

- Zapowiadają na jutro opady. Zmiana ciśnienia, Oluniu. No. wstawaj, wstawaj, leniuchu.

\_ Szkoda - powiedziała - że będzie padać. Takie dziś było piękne

słońce.

- Co za dzień, co za dzień - uśmiechnął się ojciec - kolory, światło, przestrzeń. No cóż, to już chyba naprawdę ostatni taki dzień tej jesieni.

Koniec babiego lata.

- Tak, tato, koniec naszego babiego lata. I poszła do kuchni szykować ojcu kolację.

Pamięć

Ojciec miał rację, zmiana pogody nastąpiła, od tygodnia dął kąśliwie wiatr, zaczął zimnym deszczem. Sposępniało, poszarzało, klon gubił ostatnie liście; gniły w deszczu, kruszyły się na wietrze. A na cmentarzu ruch, generalne porządki przed zbliżającymi się Zaduszkami. Wpadała teraz do matki na krótko, nie tyle z powodu zimna, deszczu i wiatru, ile ze względu na tych kręcących się z wiaderkami i szczotkami ludzi. Lubiła być z matką sama.

Kozubski uparcie trzymał się na uboczu, wynajdywał wolne ławki, pewno oczekiwał na specjalne zaproszenie, ważniak. Nie wtrącał się do rozmów, odpowiadał tylko zapytany, udawał, że go nie ma. Następnego dnia po swoim inauguracyjnym występie w nowej budzie trafił jakoś do pracowni języka polskiego na trzecim piętrze. Było jeszcze kilka minut do dzwonka, większość ludzi na miejscach, Malwina jak zwykle zawzięcie kuła, Dudek ściągał też jak zwykle, Tadek wdzięczył się do Joluski, Joluska mówiła co chwila: prawda, Tadziu?, słodka idiotka, Matula obskakiwał Komornickiego, swojego pana - a tu włazi Kozubski: dzień dobry mówi, ludzie patrzą jak na głupiego, który się urwał ze sznura, bo kto tu komu mówi dzień dobry? Kozubski siada, grzebie, grzebie w torbie, wygrzebuje gazetę, zasłania się nią, czyta! Pacan! Bomba o ojcu Kozubskiego, który wczoraj w wiadomych tylko sobie celach złożył wizytę Kwaśniewskiej, jeszcze nie zdążyła wybuchnąć. Wygląda na to, że nikt z obecnych o niczym dotąd nie wie, nawet Magłowa, która mimo deszczu i zimna czekała pod budką Zientarowej, nachalna kretyńska, odczepić się od niej nie można, pluniesz na nią, a ona się oblizuje, uśmiecha i dalej się czepia: tyle chociaż uprzejma, że nie nachodzi w domu, no, niechby spróbowała każda lepsza od Magłowej, nawet Iwona, która dowala się do Paszyńskiej, bo jeszcze nie wie, biedaczka, że ojciec Paszyńskiej na wylocie, że nowy napuścił kontrolę na gees, w każdym razie podczas wczorajszej rozmowy telefonicznej coś takiego padło, a może ta rozmowa była wytworem złego snu? może naprawdę wczoraj przysnęła nad englishem? Napuścić trochę smrodu, o to chodziło mojemu ojcu. Ach, Boże, ten tam w oślej ławce urządza pokazową prasówkę, ojca ma szlachetnego aż do niestrawności: proszę, złożył wizytę pokrzywdzonej; a ty, panie nowy naczelniku, chodzi tylko o to, aby wokół pana napuścić smrodu, o, dobry Boże; a ty, nadęty pacanku, okularniku, rudzielcu czytasz spokojnie gazetę, bo nie wiesz, nic nie

wiesz o tym smrodzie, jaki szykowali dla twojego ojca mój ojciec wraz z kompanami. I nie wiesz też, pacanku, że tej gazety, którą ty czytasz, szanujący się człowiek do ręki nie weźmie. Przewodni organ partyjniaków - „Trybuna Ludu”, więc ludzie w pracowni patrzą ogłupiali, a rzęsy Maćka stulają się w zjadliwą kreseczkę: autentyczny hrabia, panowie! Matula, podejdz do pana hrabiego, zapytaj uprzejmie: co tam, panie hrabio, w polityce?

Matula podchodzi, powtarza słowo w słowo pytanie Maćka, Kozubski nawet nie drgnie, czyta, czyta, Joluska zaczyna się chichrać, jest, do diabła, nawet i teraz ładna, chociaż się tak po kretyńsku chichra, Tadek wpatruje się w swoją odzyskaną Joluskę okiem bałwana: pewno tatuś mu, Jolusko, zadał!, odzywa się bardzo głośno, śmiech, widok jest naprawdę niepowtarzalny - facet z gazetą, trybunką ludu! Dudek przerywa ściąganie, zbliża się do Kozubskiego: ty, facet! mówię do ciebie, facet!, płachta gazety wędruje w dół, ryży łeb wysuwa się, błyskają bicykle; słucham cię?, pyta Kozubski, mówięś coś do mnie? A ja cię, facet, nie słucham wcale a wcale!, uprzejmość Kozubskiego najwyraźniej wprawia Dudka w mściwe podniecenie. Zostaw go, Duduś!, woła Krystyna, przecież każdy się modli, jak go w domu nauczono! Śmiech, śmiech. Dudek ani myśli się wycofać, bicykle Kozubskiego połyskują prowokująco: a ty, facet, ta!, codziennie? odmawiasz: proletariusze wszystkich krajów łączcie się! Śmiech, śmiech. Skoro nie nauczono go innych pacierzy, to po jakimuś musi się modlić, prawda, ludzie?, i woła Tadek, Joluska chichocząc opada na ławkę niczym zraniona łabędzica. Ty! facet!, woła Dudek, powiedz nam, a przed odmawianiem trybunki to ty się też żegnasz? Śmiech przechodzi w ryk, rzęzenie, a głupia Magłowa wyskakuje niczym Filip z konopi: ludzie!, woła, ale chyba w niedzielę Kozubskich nie było w kościele? - i teraz już nie ryk, lecz piski rżących ze śmiechu; Magłowa! aleś strzeliła z grubej rury! co za idiotka! Tżymajcie mnie, ludzie, bo nie wytrzymam!, piszczy Kaśka. Ty, facet! a Jak ty się żegnasz przed odmawianiem trybunki? Jak Polak prawą czy jak ruski lewą? Ryk, ryk, piski, salwy, rzęzenie, nie słyszeli dzwonka, a tu wpada Piecolog; na miejsca, krzyczy Piecolog, cisza! siadać! rozejść się! Nie wiadomo, kiedy on przylazł, ten Piecolog, i co słyszał, ale w końcu to nieważne, co słyszał. Piecolog jest fujara, lecz swój człowiek, który gałę stawia jedynie z musu, a głowę ma wciąż zajęta układaniem nowych petycji do władz w sprawie dymiących pieców i zagruzowanych kominów bezproduktywnego spalania węgla, bezsensownej pracy woźnych, corocznych remontów, szkodliwości dwutlenku węgla i czegoś tam jeszcze, piece już rozpoczęły swoją trująco-dymną działalność, zima za pasem długa, długa, więc piece w całej budzie będą dymić długo, długo, szanowne ciało pedagogiczne chuchać w grabiejące paluszki, zaś nieszczęsna zadymiona przyszłość narodu, młodzież orzelska, zacznie przemycać do pracowni gustowne czapeczki, szaliczki i inne środki zaradcze przeciwko zamarzaniu, surowo wzbronione przez dyrektację specjalnym edyktem. co mu się nagle stało, temu Piecologowi? Czemu tak posiniał z irytacji Nikt nigdy nie przestrzegał ciszy na jego lekcjach ani nie żywił do Piecologa głębszych uczuć, wiadomo: dobrotliwy głupek, którego wraz z rozpoczęciem sezonu grzewczego można co drugą lekcję podpuścić na opowieść o kominach tudzież piecach. Tak barwnie o tym opowiadał, tak przeżywał, jakby to były piece i kominy w jego własnym mieszkaniu, nie obcej, państwowej budzie, jakby to jego osobisty węgiel się marnował, a nie państwowy, jakby to za jego, anie za państwowe pieniądze rok w rok odmalowywano zakopcone ściany; istna komedia, co za zgrywus z tego Piecologa! A jakie rewelacyjne wnioski wysnuwał: że to skandal, że należy walczyć, że nie wolno obojętnie przechodzić wobec najmniejszych nawet przejawów

tępej bezduszności, aroganckiej głupoty, szczodrej niegospodarności. Gadaj sobie i na zdrowie, Piecolog! Jeszcze się taki nie urodził, kto by ten bajzel uprzętnął, odmienił, ale pogadać, czemu nie? zawsze można, lżej wówczas człowiekowi na wątrobie, a i lekcji ubywa, i pośmiać się można, i dla śmiechu przyklasnąć, że tak! tak, brawo, panie profesorze, wal dalej, Piecolog! A on uśmiechał się z zażenowaniem; pragnę i was uczulić, mówił rzewnie, śpiewnie, idiotycznie, biedny głupek, orzelska fujara; bo przecież i wy niedługo skończycie liceum, pójdziecie w świat, w swoje dorosłe życie, będziecie zajmować różne stanowiska, więc pamiętajcie, kochani moi, że to, jak się nam żyje, w dużej mierze zależy od nas samych, a więc i od was w niedalekiej przyszłości... Takiego ma wariackiego świra ten Piecolog, takie hobby nieszkodliwe w gruncie rzeczy, każdy ma przecież jakieś hobby, jeden rybki, drugi pipki, a ten chciałby kraj ulepszyć poprzez odgruzowanie zatłoczonych kominów. No i co? I figa! Remont generalny dachu był tu podobno trzy lata temu, a kominy nadal zagruzowane, piece nadal dymią swojsko, Waryński się zacadza, leje słoty: czym po to jęczał w twierdzy szlisselburskiej? Ech, Waryński, patronie ty nasz nieszczęsny, i po co ci był ten twój „Proletariat”? A ty, Piecologu, po jaką cholere marnujesz znaczki i papier, skoro i tak wszystko jest picem? Czemu teraz się wściekasz i grzmisz? O co ci chodzi, Piecologu? Co cię tak dotknęło? ubodło?, że my nie na swoich miejscach? Kozubski z płachtą gazety malowniczo odrzuconą na ławkę, czując się widocznie winnym całego zamieszania i ataku gniewu Piecologa, sterczy w ławce z uprzejmie pochylonym tułowiem i właśnie próbuje usprawiedliwić klasę: bardzo przepraszamy, panie profesorze, nie zauważyliśmy pana wejścia. I jakim prawem on się odzywa w imieniu wszystkich? Kto go upoważnił? Piecolog patrzy na Kozubskiego, patrzy, czy dostrzega krwawość jego piegów? czy słyszy lekkie drżenie jego głosu? Siadaj, chłopcze, mówi Piecolog. Proszę, jaki łaskawy, lepiej być dobrze z synalkiem naczelnika, prawda, szanowny panie profesorze? Cóż za łaskawość, doprawdy, miód w głosie, miód w spojrzeniu, ma się jednak swój rozum, Piecologu, cwany jest mimo świra. Siadaj, chłopcze, powtarza Piecolog, a wy, zwraca się do klasy, powinniście się wstydzić! I patrzy po wszystkich, więc dlaczego nagle wydaje mi się, że patrzy wprost na mnie? i tylko na mnie? i mówi tylko do mnie? Poruszam się niespokojnie, przysuwam do Malwiny, która siedzi, ostatnia idiotka, z rozdziawioną gębą i płonącymi policzkami, dopiero co szeptała boleśnie a przejmująco: Ola, jak oni tak mogą, Ola! powiedz coś!; a co to ja jestem, u diabła, adwokat Kozubskiego czy jak? Ten przekłety Piecolog ciągle patrzy i patrzy, i mówi znowu, jakbym tylko ja jedna była tutaj obecna: właściwie to nie jest wasza wina. Bo tu już nie chodzi o zwykły brak tolerancji, chodzi o coś znacznie poważniejszego. Chodzi o to, że wy niczego nie rozumiecie. Jak papugi powtarzacie nie własne, lecz cudze zdania, rzucacie zasłyszanyimi słowami, które nie są wasze, bo wy ich jeszcze nie macie, jeszcze nie możecie mieć, jeszcze ich nie wypracowaliście dla siebie. Każdy człowiek powinien znaleźć swoje własne słowa, aby z nich formułować poglądy i opinie. A wy, papugi, jak gąbki przesiąkliście tym, co cudze -manipulowani każdego dnia, w domu, na ulicy, w sklepie, i nawet tu, w szkole. Mówi się o konflikcie pokoleń! O tym, że wy buntujecie się-lecz w jaki sposób możecie się buntować, skoro nie macie własnych słów? skoro korzystacie z cudzych? Co to za konflikt, co to za bunt, powiedzcie, jeżeli w dodatku stoicie sobie na boczku, w niczym nie uczestnicząc, niczym się nie zajmując, i tylko z tego swojego wygodnego boczku mając wszystko wszystkim za złe? Nawet czytanie gazety. Zależy jakiej, panie profesorze!, krzyczy Dudek. Piecolog teraz patrzy na pewno na niego. Słuchaj Kaczmarek, odzywa się Piecolog po pauzie, ty, jeżeli cokolwiek czytasz to chyba jedynie przegląd ciężarowców. Ktoś pod oknem, chyba Wencel uznaje to za dobry dowcip i parska śmiechem. Piecolog macha ręką; ach Węcel, mówi, macha znowu ręką, ach, wy!, powtarza, podchodzi do mapy: na ostatnich zajęciach zakończyliśmy temat o przemyśle,



rozpoczynamy nowy cykl o rolnictwie świata. Macha po raz trzeci ręką i ciągnie znużonym głosem: rolnictwo należy do najstarszych dziedzin gospodarczej działalności człowieka... Ach, ale on głędzi, ten Piecolog. Co za nuda.

Tydzień bogaty w zdarzenia, nie tylko w deszcz i wiatr. Wczoraj Magłowa, chociaż wysmagana wiatrem, obmyta deszczem, sfiolutowiałym czubkiem spiczastego nochała, jak zwykle ofiarnie oczekiwała pod budką Zientarowej z pękiem ostatnich informacji o wyczynach nowego naczelnika: a wiesz, Olka, zaczęła; wiem wszystko! Odwal się, Magłowa! ucięła brutalnie, bo rzeczywiście, wiedziała wszystko, telefonowali i Dudek, i Krystyna, a rozmowy telefoniczne wzbogaciły mo panie w kolejce po proszek do prania, bo akurat dowiedzieli, i w drugiej ryz, bo akurat rzucili, a ryz ma podobno zdrożeć. Zawiedzionej Magłowej opadła szczęka; no wiesz, powiedziała, szkoda, że wiesz wszystko.. może jednak nie wszystko wiesz, bo na przykład o Holubowej... Odwal się, dobra? Wiem i o Holubowej.

Ryz wykupują, cholera jasna, workami. Proszek też workami. Zwariować można, po co komu dwadzieścia kilogramów ryżu? Przeobraża się w Chińczyka, czy jak? Ryż odtąd zamierza wyłącznie żreć? Moda na risotto ogólnonarodowa? A tym wykupywanym na zapas proszkiem do prania można by oprąć całe Grobki, trzydzieści tysięcy obywateli, i jeszcze t<sup>^</sup> piątkę z Orzelska dołożyć, i pewno by zostało na kolejne pranko. Pchają -się, wciskają człowiekowi łokieć w oko i kłóć: bo dlaczego, moja pani, Dawidowicz dostała aż dziesięć ixi, a ja tylko osiem?, i miałą tymi jęzorami, z tyłu, z przodu, z boku, gdzie mogą i o czym tylko się da. A teraz mają kolejny temat, podniosły: nowy naczelnik osobiście złożył wizytę Kwaśniewskiej, jeszcze się nie rozpakował, a już złożył, i tak się rozczulił nad jej ciężkim losem, że od razu obiecał pomoc, i słyszała pani? nie? ach, jak można o czymś podobnym nie słyszeć do tej pory! przecież ten nowy zrezygnował z mieszkania Kwaśniewskiej, wynajął dla siebie od holubowej, tej emerytki z Osiedla pod Gruszą, której córka jest ekspedientką w sklepie obuwniczym. Holubowa chyba w czepku urodzona, zafasowała za pół roku z góry, przeniosła się razem z gratami do córki. A jaki z niego cwaniak, z tego nowego, wezwał świadków, przy świadkach wpłacał, co on sobie wyobraża, że tu sami złodzieje? Tak ludziom nie ufać, tak ich obrażać. Co za cholerny grajdół, nie do wytrzymania.

A ojciec ani pary. Usta zaciśnięte, wściekły od rana. Aż chciałoby się zapytać: i co? tato? smród się nie udał?

Kozubski, drań, też milczy, nie przechwała się swoim wspaniałym płodzicielem. A Kwaśniewska w Kozubskiego wpatrzona jak w święty obraz. Już się przeprowadziła z bachorami. Kozubscy wynajęli całe mieszkanie, nie gorsze od poprzedniego. Według informacji Dudka zapłacili równe czterdzieści tysięcy złotych; nieźle się ta Holubowa ceni, skorzystała z okazji. Według informacji Krystyny - zaledwie piętnaście patoli; to zwykłe wykorzystanie służbowego stanowiska: tak okantować biedną emerytkę. Ale według informacji Magłowej - ani piętnaście, ani czterdzieści, lecz równo trzydzieści pięć; i przy świadkach, żeby potem nikt nie bluznął, że za darmo. Czegoś ich już, tych nowych, nasz Orzelsk nauczył. Ale jacy oni są wspaniali i jacy uczciwi do niemożliwości. Nie chcą korzystać z żadnych przywilejów, zwracają mieszkanie pokrzywdzonej, wolą bulić pieniądze i wynajmować. Krystyna, wydymając usta, powiedziała, że i tak nie z własnej, lecz z państwowej kieszeni ta forsa, bo przecież naczelnikowi mieszkanie należy się z urzędu. Na co Magłowa, mrużąc oczka, odparła: ty, Krystyna, zdecyduj się wreszcie, bo raz twierdzisz, że okantowali biedną emerytkę, a drugi raz, że kantują państwo.

Na to Dudek, uśmiechając się krzywo, powiedział, że i jedno, i drugie. A Malwina, proszę jaka nagle odważna i nie ciamciaramcia, krzyknęła: maglujecie jęzorami jak najgorsze przekupy na targu, i to jest w ogóle świństwo, bo przecież widać jak na dłoni, że Kozubscy są po prostu uczciwymi ludźmi. Wtedy Węcel zawołał, że według jego ojca wszyscy są jednakowo\* w>7 i poczekamy, zobaczymy, jaka będzie taryfa u nowego naczelnika. Pewno podwyższy ją, bo on nie stąd, a z samego województwa. Panie, panowie, odezwał się Maciek, o czym my tu w ogóle mówimy? Na to wszedł do pracowni Kozubski i wszyscy zamilkli.

Wspaniały, pokazowy Kozubski! Ze swoim wspaniałym, pokazowym tatulkim! A jakie ma koligacje! Maciek na dużej przerwie polecił Matuli: Matula, powiedz hrabiemu, że zapraszam go do siebie na drinka. Nie wątpię, że wie, co to jest drink i jak się go spija. I w czym. Wszyscy przeszli u mnie przeszkolenie w zakresie dobrego wychowania, tylko jeden, chociaż hrabia, jeszcze u mnie nie był.

Ci, którzy zbierali się do wyjścia z pracowni, aby uprawiać wędrówki ludów i zdobywać szczyt trzeciego piętra, zatrzymali się. Ci, którzy gorączkowo odpisywali englisha, unieśli łepetyny. Forma zaproszenia była prowokująco arogancka, Kozubski oczywiście odmówi, ale co powie i jak? Zapowiadała się lepsza draka.

Nie czekając aż Matula powtórzy słowa pana, Kozubski odparł: dziękuję, nie skorzystam.

Zapytaj go, Matula, dlaczego odrzuca moje uprzejme zaproszenie?

Ponieważ nie mam ochoty ani na twoje drinki, ani na twoje towarzystwo, z całkowitym spokojem powiedział Kozubski.

Dobrze przyrządzam, zapytaj Kaczmarka, on mi spijał po trzy na jednym spotkaniu, Maciek zrezygnował z pośrednictwa Matuli, zwrócił się wprost do Kozubskiego. Dudek porwał torbę i wypadł z pracowni, rzucając Maćkowi spojrzenie pełne nienawiści. Maciek roześmiał się: honorowy ten nasz Tarzan, prawda, Tadek? Tadek poczerwieniał, wybąkał: ode mnie się odwał, Komornicki, dobrze? Już od dawna nie mam z tobą nic wspólnego! Maciek roześmiał się jeszcze głośniejsze; ale kiedyś miałeś, i nie tylko ty, prawda, Matula? A ty, hrabio, nie bądź taki hardy. Nie takich to łamałem. Przyjdź, kiedy cię ładnie zapraszam. Warto mnie odwiedzać, Jestem gościnny. Częstouję, czym mam, a mam sporo. I dom mam ładny Dużo wart jest ten mój dom. Obejrzałbyś go sobie, hrabio. Przyda ci się bo gdy twój rodzic zasłuży się jeszcze kilkoma podobnie szlachetnymi uczynkami, kto wie? kto wie, hrabio, może wdzięczne społeczeństwo miasta Orzelsk ogłosi w „Teleekspresie”: prosimy o datki dla naszego wspaniałego naczelnika, numer konta sto dziesięć łamane przez dwadzieścia, wpłaty od zaraz, w każdej walucie.

Matula zarechotał, wielce ucieszony. Inni też. Nawet Tadek uważał za stosowne roześmiać się. Joluska również chichotała z wdziękiem.

Muszę dodać, hrabio, że nasz dom projektował nie byle chłystek, lecz sam architekt wojewódzki. A to dobry architekt. Wygrał niedawno jakiś konkurs we Włoszech.

Kozubski z kamiennym, zbyt kamiennym spokojem, składał książki Nie we Włoszech, a we Francji, sprostował.

O, hrabio! widzę, żeś oblatany co się zowie! Wyczytałeś o tym Słomczewskim w trybunce?

Słomaczewski, nie Słomczewski, powiedział z tym samym kamiennym spokojem Kozubski, wyszedł z ławki, zbliżył się do wyjścia. I nie w trybunce. A jeżeli kogoś się naprawdę ceni, Komornicki, to się nie powinno przekreślać jego nazwiska. Podobne zaś plany jak waszej willi znam nieźle.

Widzicie, panowie, jaki oblatany!, Maciek uśmiechnął się kąśliwie. Można wiedzieć, hrabio, gdzie widziałeś te plany? Bo to interesujące, gdzie mogłeś widzieć, prawda, panowie?

Pewno w wychodku!, krzyknął Węcel.

Przykro mi, Węcel, że cię rozczaruję, powiedział Kozubski, lecz na rajzbrecie. U Słomaczewskiego. Bo to mój wuj.

Tym razem wybuch gromkiego śmiechu nie dotyczył Kozubskiego. A śmiech był taki, że szyby się nieomal zatrzęsły, piece dostały cugu i na moment przestały dymić. Tak uziemić Komornickiego! O, ludzie! To jest dopiero to! Za wszystkie koreczki anchois, za kanapki z żółtego sera, z którymi nie wiadomo co począć, czy je ugryźć, czy je połknąć od razu, za te cholerne widelczyki do tortu, za to całe zadęcie; Joluska aż się rozpiała, Tadek dusił się od łez, nawet Węcel uśmiechał się głupawo. Rżeli i kwiczeli.

Maciek pobladł. Bezwładna ręka zadyndała nerwowo.

Matula!, krzyknął rozkazująco, co tak sterczysz? Bierz się za moją torbę, za co ci płacę brudasza na miesiąc?

Wiesz?, odezwała się Malwina, wszystkich lubię, nawet Węcła. a tego nieszczęsnego Maćka nie mogę strawić.

Kuła się englisha. Musiała, koniecznie musiała chociaż troszeczkę dorównać Kozubskiemu, chociaż nie wychodzić na taką ostatnią jełopkę, co to ani be, ani me. Bezczelna Kwaśniewska znalazła wreszcie partnera do dziamotów, Zasuważą między sobą na okrągło jak dwa Angliki. Widzicie, powiedziała Kwaśniewska, że można się nauczyć biegle języka? Łukasz uczył się sam w domu, korzystał jedynie z nagrań, i jakie osiągnął wyniki? Kwaśniewska teraz jak skowronek radosna. Odmłodziła, rozjaśniła się, ręce jej nie latają jak poderżnięte kurczaki, powieką nie mruga\* na ludzi nie wrzeszczy o byle co, uśmiecha się milutko.

A Kozubski poza tym swoim englishem i polskim, no i może historią, całkiem przeciętnutki. Piecolog zagiął go regularnie na bilansie energetycznym świata, rąbnął gola. Z matematyki jeszcze jak cię mogę, ale z fizyki kompletna beznadzieja. Baldachim magłował Kozubskiego równe czterdzieści pięć minut, od dzwonka do dzwonka. I za co ci w tamtej, podobno ekskluzywnej szkole stawiano dostateczny?, radował się po każdym dukaniu Kozubskiego Baldachim. U mnie poziom jest nieporównywalnie wyższy, coraz bardziej zadzierał swój magisterski nos. u mnie, Kozubski, jeżeli się nie podciągniesz, na semestr będziesz

miął niedostateczny. Doradzam ci korepetycje z fizyki, Kozubski. Inaczej nie wybrniesz.

Rzeli, zachwyceni tą druzgocącą wpadką. Malwina szepnęła, że to świństwo. Dlaczego? przecież jest głąb? - zapytała nie rozumiejąc. Głąb jak większość z nas, podjęła ten temat już na przerwie Malwina. Kto tu umie fizykę? Poza tobą, Ola, rzecz jasna, ty jesteś niewątpliwym okazem w tym zakresie. No i jeszcze Magłowa, ona też jest niezła. To o co ci chodzi Malwina? O metodę!, odparła Malwina. Nadal nie kojarzyła: jaką metodę, do jasnej anielki? Zdobywania dla siebie korepetycji, Olu, zapomniałaś, że Baldachim namiętnie kocha podciągać słabszych? A cotygodniowe komplety dla głąbów? Myślisz, Ola, że się na nich czegoś nauczyłam? Godzina podzielona między dziesięcioro łebków. Z ciebie również dobra matematyczka, Olu, więc oblicz, ile minut nauki przypada na jedną osobę. Malwina się rozeźliła: niby po stówie za godzinę! To ile ja płacę za sześć minut bezpośredniego kontaktu ze swoim korepetytorem, Ola? Właśnie tę stówę, Ola! Cztery stówki na miesiąc za dwadzieścia cztery minuty tego kontaktu! A on ma od dziesięciu łbów za godzinę patola! Czy to źle? mało? W ten sposób sobie dorabiać do pensji! Od Kozubskiego nie ośmieli się wziąć, powiedziała Malwinie, lecz Malwina odparła z ironią: przecież on to nazywa społecznym douczaniem, Olka, naprawdę, mówisz, jakbyś żyła obok, a nie w tej samej klasie, i o niczym nie wiedziała, bo ty jesteś z tej przekłętej fizyki dobra, bo ciebie to nie dotyczy! Powinnaś wiedzieć, że nasza opłata: stówka za godzinę douczania-jest opłatą dobrowolną, nieprzymusową, no i symboliczną, rzecz jasna. Co to dziś stówka? Mniej niż splunąć, prawda? Każdy da stówkę raz na tydzień, żeby mieć święty spokój oraz pewność, że obejdzie się bez drak przed semestrem i przed końcem roku.

Zamiast myśleć o Kozubskim, Malwinie i kompletach dla głąbów, może bym się wzięła do solidnej pracy?, pomyślała, ganiąc siebie samą za swoje rozbiegane myśli. Nie było jej jednak dane uczyć się englisha. Wszedł ojciec.

- Ola - powiedział - dzwonił Maciek. Wysłał po ciebie matkę.

\_ Należało powiedzieć, że mnie nie ma w domu! Albo zawołać do telefonu! - oburzyła się.

- Skąd mogłem wiedzieć? Sądziłem, że się z nim przyjaźnisz. Ostatnio. Olunia, tak bardzo się zmieniłaś. Nie zwierzasz mi się zupełnie. Nic teraz o tobie nie wiem - rozżalił się niespodziewanie ojciec.

- Przepraszam, tato, innym razem o tym porozmawiamy. Teraz muszę zejść na dół. Nie wypada, aby pani Komornicka na mnie czekała.

Ojciec miał tak nieszczęśliwą minę, że poczuła litość. Biedny ojciec, nic mu się nie udaje, nie zatwierdzili go, przysłali swojego głąba, przy którym chociaż smrodu napuścić, ale i ten smród nie wyszedł, i rano są w sklepach świeże bułeczki, a nowy naczelnik jest niezmordowany, uwija się jak w ukropie, to tu, to tam, nie przestrzega godzin urzędowania, ogląda, penetruje, wizytuje. Nawet pijaczki zniknęły spod „Jutrzenki” i zamiast chwiejnie podpierać ściany okolicznych domów, kimać na ławkach na skwerze, zamiatają teraz orzelskie ulice, żeby ani jeden papierek; biedne pijaczki oraz inne obiboki pod przymusem pracy biegają z miotłami, wywijają pędzlami, malują krawężniki i zebry, czyszczą Orzelsk do połysku, nawet kosze na śmieci pojawiły się na ulicach, i trzeba przyznać, że Orzelsk wprost lśni, mógłby chyba teraz w telewizyjnym „Turnieju miast” pod względem czystości zająć pierwsze miejsce. A kolejkowy narodek wprost kipi oburzeniem: że zaganianie porządnych ludzi do pracy jest zwykłym

bezprawiem, a co takiego naczelnika obchodzi, kto za co lub z kogo żyje? I oto nagle okazało się, że kolejki są za Jurczykiem. Jurczyk to był dopiero porządny naczelnik. I swój, stąd. A że brał łapówki? A co? Miał nie brać? Wszyscy biorą, to on gorszy? Nowy też zacznie brać, podobno tam, w Elblągu, ma własną willę i dwa samochody. Ten mały fiat, którym jeździ tutaj, to tak dla niepoznaki, zamydlenia ludziom oczu. A jakim prawem na przykład kazał przenieść targowisko z Osiedla aż za miasto? Chyba na złość ludziom, żeby im życie utrudnić, leć teraz, człowieku, po mendel jajek dwa kilometry. Komórki ze świnią mają być zlikwidowane. Żeby nie zanieczyszczać centrum. Jurczykowi te komórki nie przeszkadzały, nowemu wadzą, opony mu w maluchu poprzecinać albo co? Niech wie, że go tu nie chcą.

- Wrócę szybko, tato-tylko tyle mogła zaoferować swojemu ojcu. nic więcej, pogłaskać go po policzku już nie.

Cytrynowy datsun czekał na parkingu. Yardleyowska pomadka na ustach Komornickiej lśniła nieskazitelnie, lecz te usta były czymś poruszone, nawet wstrząśnięte, kąciki miały opuszczone żałośnie, prosząco.

- Ola - powiedziała szybko Komornicka - ja cię bardzo proszę, bardzo! bardzo! ty mu pomóż. Z nim dzieje się coś wyjątkowo złego, boję się o niego. Już przecież raz sobie... - kąciki ust zadrżały. - Ola! Dlaczego wszyscy go opuściliście? Dlaczego nie próbujecie mu pomóc? Dlaczego nie przychodzicie?

No cóż: powiedzieć o kopaniu w tyłek za dwadzieścia dolców ani aportach Matuli czy Tadka, ani o całowaniu na czas Joluski nie można. Można by jedynie zapytać: a czemu pani daje mu aż tyle forsy? Za co pani chce mu zapłacić? Co zagłuszyć tą forszą? Dlaczego mu pani aż tak ulega? Dlaczego na jego polecenie wsiada w samochód, aby przywieźć koleżankę? Ale na każde z tych pytań istnieje prosta, identyczna odpowiedź. Synku, synku! jak długo będziesz mi pamiętać? Synku, wybac, wybac. Lecz Maciek nie chciał wybaczyć. Ani zapomnieć. Ani nawet poddać operacji. Kiedyś powiedział: nie chcę mieć zdrowej ręki, nigdy, muszę mieć zawsze kalekę. Żeby patrzyli na nią każdego dnia, ciągle. Żeby nie zapomnieli o tym, na co mnie skazali, co ze mną zrobili. Pomóc Maćkowi? A jaki on jest naprawdę? Aż tak zły? Czy aż tak nieszczęśliwy? Naprawdę, pomyślała, to jest przede wszystkim odpychający.

- Ty go też nie lubisz, Olu? - zapytała cicho Komornicka. - Ja wiem - on jest trudny, skomplikowany, ale to naprawdę dobry chłopak, Olu.

Przecież nie może powiedzieć Komornickiej, że od śmierci swojej matki przychodziła na czwartkowe spotkania powodowana jedynie litością dla tej kalekiej, nieszczęśliwej ręki Maćka.

- Milczysz? Olu? Powiedz coś.

- Czy możemy już jechać, proszę pani?

Komornicka przygryzła wargę, wrzuciła gwałtownie bieg, datsun zaskowyczał oponami, pruł przez Orzelsk rajdowo, brał zakręty odbijając się od krawężników. Profil Komornickiej zastygł nieruchomy, tylko prawa ręka w luksusowej, dopasowanej kolorem do obić wnętrza rękawiczce, znęcała się nad

dźwignią biegów.

- Odwiozę cię także-matka Maćka odezwała się dopiero w garażu, do którego wjechała z takim impetem, że omal nie wyrznęła przednim zderzakiem w ścianę.

OBCYM BEZ PUKANIA WSTĘP SUROWO WZBRONIONY! Maciek siedział w swoim osobistym fotelu. Kaleką rękę miał jak zwykle ułożoną na kolanie. Prawa natomiast wyciągnęła się w oskarżycielskim ruchu:

- Raczyłaś jednak ruszyć tyłkiem, Olka.

O, nie!to nie jest jej świat. Może jest niezwykle drogi, niebywale wspaniały, nieskończenie luksusowy, ale na pewno to nie jest jej świat.

- Za ile mam ci aportować? Za brudasa? Czy za fajkę? kaleka ręka spadła z kolan. Zadyndała w nerwowym dygocie.

- Przepraszam, Ola. Przysunęła fotel, usiadła.

Chcesz drinka?

- Nie wygłupiaj się, Maciek, z drinkami, dobra?

- Kiedyś chciałaś.

- Kiedyś to czas przeszły.

- Właśnie. Wypiętaś się na mnie. Wszyscy wypięliście się na mnie. Tylko ten Matula, którym rzygam...

- O to ci przecież chodziło, Maciek, żeby Matulę zohydzić we własnych i cudzych oczach.

- Odpłacam mu tylko tym samym. Kiedyś on mnie ujeżdżał, teraz ja jego.

- A nam? Za co się nam odpłacałeś? Co zamierzałeś udowodnić?

- To samo co Matuli. Że też jesteście nic niewarci. Że za byle ochłap skoczycie sobie do gardeł. A co? mało razy kłóciliście się? o fajki? o kawałek tortu? Niczego wam nie udowodniłem? Pamiętasz nasze ostatnie spotkanie? na którym nasz siłacz, marzący o tym, aby być najsilniejszym człowiekiem chociaż w Orzelsku. zamiast dać mi w pysk, wystawił swój

tyłek do nakopania?

- Skoro masz taką dobrą pamięć, Maciek, powinienes pamiętać, że kiedyś on właśnie bronił cię przed Matulą i naszymi drwinami.

- Bo może już wtedy był taki cwany i liczył na spadziochę moich starych. Głupi siłacz! Gdyby miał choć trochę godności, nie wystawiałby tyłka.

- Wszystkich już nienawidzisz? Maciek roześmiał się ponuro.

- A co? Kto tu jest do kochania? Kocha się jedynie szmal. Szmal to jest to. Pamiętasz, Olka, na tym ostatnim spotkaniu, po którym wypięliście się na mnie, zadałem wam pewne pytanie. Tylko ty jedna mi nie odpowiedziałaś.

- I uważasz, że teraz ci odpowiem? Niepotrzebnie fatygowałeś swoją matkę. Streszczaj się, Maciek. Nie mam czasu, wkuwam angielski.

-Zmrużył oczy w szczelinę. Poblądł.

- Kozubski ci imponuje, Olka? Wam wszystkim teraz imponuje ten niedomyty brudas. Ach, chętnie by uderzyła Komornickiego. Wstała. /

- Jest tak samo domyty jak i ty. No i rzeczywiście - jest od ciebie nieporównywalnie lepszy w angielskim. Chociaż zamiast folderów z rekinami czytuje „Trybunę Ludu”. Przypuszczam nawet – ciągnęła, patrząc już bez najmniejszego współczucia na tego opętanego nienawiścią do wszystkich i wszystkiego chłopaka - że pierwszy od ciebie w sposób naturalny, a nie wyuczony z tych folderów właśnie, umiał postugiwać się widelczykiem do tortu i wiedział, jak się je koreczki z anchois spięte wykałaczką. Tak, Maciek. On cię przewyższa nie tylko w angielskim.

- Kochasz się w nim, kochasz! - piskliwie, cienko zakrzyczał Maciek. - Codziennie na was patrzę, przyglądam się, obserwuję, widzę, jak się w siebie nawzajem wślepacie. Na mnie nigdy w ten sposób nie patrzyłaś, Olka! A przecież ja ciebie nie obrażałem, ciebie oszczędzałem, jeżeli było coś nie tak, to tylko dlatego, że pragnąłem wzbudzić w tobie zazdrość, i stąd ta kretynka, Joluska, i sam nie wiem, dlaczego...? Ciebie jedną, Ola, ciebie...

Ach, dobry Boże, co on, ten Maciek? O czym? Ach, nie, wszystko, tyl ko nie to, nie o tym! Bo co mogłabym mu ofiarować w zamian za wyznanie? Znowu litość? Tylko litość, nic więcej... Chłopak powtarzający: cie bie jedną, ciebie... - jest obcy, daleki i wzbudza, poza litością, niechęć.

- Posłuchaj, Maciek - zaczęła, przetykając ślinę - zawsze cię traktowałam jak kumpla i jeśli chcesz, to możemy się nadal przyjaźnić...

Lśnienie łez na stulonych rzęsach Maćka zgasło.

- Kozubskiemu też tak odpowiedziałabyś, Olka?

- To moja sprawa.

- Kochać się w kimś takim jak Kozubski! Ryży okularnik, nędzota i pokraka. A może sądzisz, Olka, że ten twój Kozubski jest w czymś lepszy! od Matuli? Założę się z tobą o każdą sumę, że wystarczy twojemu Kozubskiemu pomachać zwykłym brudasem przed nosem, a on jak Matula będzie mi nosił moją torbę.

Ach, naprawdę, chętnie by uderzyła tego Komornickiego.

- Czy i mnie zaproponujesz brudasza za noszenie swojej torby? -zapytała. I nie oglądając się już na Maćka, wyszła z pokoju. Wpadła prosto na! Komornicką, która nie zdążyła odskoczyć od drzwi.

- Jak śmiałaś potraktować mojego syna w ten sposób! – powiedziała Komornicka ostrym, lecz konspiracyjnie ściszone głośm. - On na ciebie tak czekał! On ciebie wyróżnił spośród innych, a ty? czym mu odpłaciłaś? \ mnie? Byłam dla ciebie zawsze uprzejma i wyrozumiała. Leczyliśmy z mężem twojemu ojcu już od dawna zęby za darmo, a ty?...

Zbiegając luksusowymi schodami do luksusowego holu, słyszała jeszcze za sobą świszczące: a ty?...

Nyska zahamowała przy krawężniku. Pacuła uchylił drzwiczki:

- O!a! \ dokąd tak pędzisz? Siadaj, podrzucę.

Może i mi potem, w stosownej chwili, wymówi, że podwiózł za darmo-chę? Uderzała oczami.

- Dziękuję. Nie mam drobnych.

Ale Pacuła nie zrozumiał. Roześmiał się, krzyknął: w!aż, dziewczyno, bo ci wiatrzyśko głowę urwie. Ale dziś duje, a ty bez czapki, bez szalika,

Na letniaka! \

Wsiadła. Nyska zagruchotała, jakby miała zamiar zaraz się rozlecieć. Pacu!om przylszklarniach potrzebny jest wóz dostawczy, ale naprawdę mogliby kupić coś przyzwoitego.

- Duże straszliwie, nawieje na Zadzuski śniegu-usi!ował podtrzymać rozmowę Pacu!a. Był w ordynarnym waciaku, cuchnął klubowymi.

- Dokąd pan skręca?! - zawo!ała.

- A śpieszy ci się? - znowu się roześmiał, wesolek kretyński. - Nie wpad!abyś przy okazji do Malwiny? Potem cię odwioz! do domu. Malwina się ucieszy, ona cię bardzo lubi.

No i proszę, pomyślała, wciskając się w ką! nyski, jacy to wszyscy skorzy do wożenia mnie tam i z powrotem! I jak mnie wszyscy lubi! wściec się można.

- To Malwina ma dziś wychodne? - zapytała uszczypliwie.



- Ależ skąd! Siedzi w szklarni od powrotu ze szkoły - Pacuła tym razem pojął w lot. I wcale się nie obraził, a powinien. - Teraz przed Zaduszkami wszyscy się troimy. To dla nas dobry okres, dużo się zarabia.

- Na szczęście Malwinie stwardniały już ręce i nie musi ich bandażować-odezwała się. Wcale nie chciała jechać do głupiej Malwiny. Dyszała wściekłością.

Ciebie. Olu, też ludzie chwalą. ~ Co pan przez to rozumie?

- Że od śmierci matki jesteś taka dzielna. Prowadzisz dom, biegasz po sklepach, wystajesz w kolejkach, a przy tym uczysz się całkiem nieźle, niezaniebujesz szkoły. /

- To chyba co innego! - wybuchnęła. /

- Dlaczego? Twój ojciec jest mądry, przecież mógł wynająć kogoś do pracy domowej, zapłacić, a nie zrobić tego. I

- I to miałyby być mądrość? /

- Oczywiście. W ten sposób uczysz cię szacunku do pracy – powiedział Pacuła, wpatrując się w balansującego przed nyską malucha. –Chyba pijany, psiakrew. Takim by odbierać prawo jazdy... Ja również/ Olu, wyznaję podobną zasadę jak twój ojciec. Dlatego Malwina pracuje u mnie

Innymi słowy: pracuje u siebie i dla siebie. /

Idiota, pomyślała, z takim nie warto dyskutować. /

- A wiesz, Ola, w przyszłym roku zaczynamy wreszcie budować dom. Malwina pewno się chwaliła przed tobą? /

- Dom? /

Pacuła roześmiał się, przyśpieszył, udało mu się szczęśliwie wyprzedzić zataczającego się malucha.

- Cała Malwina. Ona nie lubi się przechwalać. Chcieliśmy kupić Malwinie kożuch na zimę, w końcu stać nas na to. A Malwina powiada: nic nie chcę. Nie chcesz kożucha, Malwina? Przecież w twojej klasie tylko Paszyńska ma kożuch. No i dlatego nie chcę, nie muszę się wyróżniać. - Dziabnęła mnie w policzek: jak zdam maturę, to mi kupicie. Głupia, co.

- Głupia - potwierdziła z pełnym przekonaniem.

- O! nasza staruszka - roześmiał się Pacuła; czy on zawsze się tak śmieje bez powodu jak ostatni kretyn? - Już niedługo postoisz, wierna chałupko.

- Pewno wywalicie przynajmniej dwupiętrową - odezwała się zjadliwie.

- A po co nam dwupiętrowa? - roześmiał się jeszcze głośniejszym Pacuła. - My niemłodzi, a nasza czwórka najstarszych już studiuje. I co by tu w Orzelsku robił mój Kazik? jeśli on chce budować okręty?

Albo Zośka socjolog? Halina też wybiera się w tym roku zdawać na jakąś statystykę czy czort wie co, ja się tam na tym nie znam, nie kształcony jestem, ledwo powszechniaka kiedyś liznąłem, tyle że się czyta dużo, bo człowiek taki jest, ciekawy świata, prawda, Olu? To po co nam taki dom? Malwina tylko tu zostanie... -zatrzymując nyskę na ciasnym podwórku, westchnął ze smutkiem i troską: - nie chce uczyć się dalej. Mówi, że ma zdolności akurat tyle, żeby pracować przy rozsadach. No, podaj rękę, dziewczyno, i na ziemię! Dłoń Pacuły była brunatna, twarda i nie pachniała palmolivem.

- Aleś ty, dziewczyno, zziębnięta! Cała się trzęsiesz. Szybko do domu, zaraz cię napoimy gorącą herbatą z malinami. Malwina! Malwina! chodź szybko, Ola Marciniak do ciebie przysła!

Popijały herbatkę, opychały się ciasteczkami i chichrały nieprzytomnie. A miały z czego.

Na stoliku pod oknem rozłożony english. Co ty. Malwina? przecież jutro nie ma\ na rozkładzie englisha? Malwina, spłoszona, szybko zaczęła usuwać ślady swojej nagłej pilności, raptem roześmiała się: a wiesz, Ola, wczoraj przyparowała do mnie wieczorem Magłowa. Pożycz mi, mówi, słownik angielski, bo mój się gdzieś zapodział. To ja do niej: co się za tym kryje. Magłowa? Po co ci słownik? I nie kłam, bo swojego nigdy nie miałaś. A Magłowa poczerwieniała i mówi: proszę cię, Malwina, ani słówka nikomu, przysięgnij, przysięgnij, że nie powiesz, ale ja tak nienawidzę tego Kozubskiego, że na złość jemu muszę się powkuwać englisha, bo krew mnie zalewa, kiedy on i Kwaśniewska gadają między sobą, a ja nie rozumiem ani słówka, nic, czarna mogiła, to postanowiłam się ryć jak głupia, dzień w dzień, noc w noc, kapujesz, Malwina? Czy to ja głupsza jestem od Kozubskiego? Przecież nie i angielski też szybko wkuję, no! i jak już wkuję, to zasunę taką mowę do Kozubskiego po angielsku, że aż zbaranieje. Świnia! Przewał mnie koleżanką Co Za Tym Się Kryje, nigdy mu tego nie daruję! Malwina opowiadała, pękając ze śmiechu. Zachichotała więc i ona i przyznała się. że chociaż nie wie tak do końca, czy nienawidzi Kozubskiego czy też nie, kuje się również od tygodnia niczym stara oślica. Zrobiło im się okropnie wesoło, że się tak nagle wkuwają englisha, na pohybel Kozubskiemu, a ku uciesze Kwaśniewskiej, i chichocząc zaczęły się zastanawiać, kto jeszcze z klasy może się tak wkuwać.

- Ola! dam sobie głowę uciąć, że Dudek też! Dziś w szatni rozbierałam się obok Dudka, a on, z jakimś takim obłudem w oczach mamrotał do siebie: good morning, the windows, how are you the boys? (Dzień dobry, okna, jak się macie, chłopcy?)

~ O. Boże, Malwina, przestań! bo nie wytrzymam! Co on plótt, ten Kaczmarek? - pokładała się ze śmiechu.

- Daję ci słowo honoru, że właśnie tak: good morning, the windows...

- zanosila się chichotem Malwina. - I Komornicki pewno też ćwiczy windowsy.

- Nie, Maciek nie - powiedziała i nagle odechciało się jej tego śmiechu. Dyndająca nerwowo ręka Maćka stanęła przed oczami, w uszach piskliwy krzyk: kochasz go, kochasz, a ja ciebie, ciebie jedną.

- Ola, co ci...? - zaniepokoiła się Malwina i też spoważniała.

- Nic.

- Przecież widzę... - powiedziała cicho Malwina.

- Naprawdę: nic takiego. Chyba już sobie pójdę. Ale właśnie wszedł ojciec Malwiny.

- No jak, Olu, rozgrzałaś się?

- Dziękuję, proszę pana. Herbata z malinami była naprawdę pyszna i rozgrzewająca.

- To, dziewczyny, zbierajcie się, jedziemy. Malwinka, pożycz Oli jakąś czapę albo beret, ona jest z gołą głową.

- Dziękuję, nie potrzeba, już idę do domu.

- Obiecałem cię odwiedzić. I odwiozę. Chcielibyśmy jednak przedtem z Malwinką wstąpić na cmentarz. Nie przejedziesz się na cmentarz, Olu?

- Ach, wszystko mi jedno! - zawołała z rozdrażnieniem. - Może być na cmentarz.

- Zrobiłam ci przykrość, Olu? - dopytywała Malwina, kiedy się ubierały. Boże, co za słodka ciamciamcia, czy ona w ogóle potrafiłaby kie dykolwiek i komukolwiek wyrządzić przykrość?

- Odwal się, Malwina, nie mam humoru i tyle.

Było już zupełnie ciemno, a powiedziała ojcu, że zaraz wróci. Malwina upychała do nyski doniczki z chryzantemami. Jadą handlować, pomyślała wrogo. Patrzyła z nagłą nienawiścią na ustawione ciasno w nysce chryzantemy, doniczka przy doniczce. Ładne, drogie, w tym roku taniej nie kupisz niż za trzy stówy. Cholera, mogliby odpalić trochę taniej po znajomości.

- Jedziemy!-zarządził Pacuła. Milczała całą drogę. Malwina na próżno zaglądała jej w oczy. Odpowiadała ponurym spojrzeniem.

- Ola...

Udała, że nie słyszy. Przed cmentarzem ruch, pojutrze Zaduszki. O, nahandlują te Pacuły kupę forsy, cholera. Dranie.

Nyska jednak nie przystanęła przed cmentarną bramą, wjechała w główną aleję-

\_ Pomożesz nam, Ola? - zapytała nieśmiało Malwina. \_ Nie jestem przekupą.

W oczach Malwiny natychmiast pokazały się łśniące łezki. Trzeba mieć niekiepski zapas wody, żeby co i rusz łać ślozy. Pacuła, który wystawiał chryzantemy z nyski, zawołał: Malwinka!

- No, leć do ojca-powiedziała ze złością-nabierz w płuca powietrza, żebyś mogła głośno wrzeszczeć: ludzie! ludzie! tanio sprzedają! ładne, ludzie, zdrowe, ludzie, okazja, ludzie!

- I czemu ty tak, Ola? I za co? -szepnęła Malwina, odwróciła się, podbiegła do ojca.

Mam was gdzieś!, mruknęła, idąc tak dobrze znajomą ścieżką do klonu. Na wielu grobach paliły się znicze i jaśniało od nich żółtawą poświatą. Tylko ten kąt, gdzie matka pod klonem, ciemny, czarny, jakby ciągle jeszcze opuszczony i zapomniany. Pomyślała z wściekłością, że tym Pacułem zupełnie odbiło, jeśli chcą handlować wprost na cmentarzu, między grobami. Dranie! Pewno, żeby wybudować dom, trzeba ciuć grosz do grosza, tysiąc do tysiąca, milion do miliona! Dranie! Szacunek dla pracy, cha, cha, cha. Czy dla szmalu? Ale w zeszłym roku nie poniżyli się aż tak, żeby nyską wjeżdżać na cmentarz i rozkładać stragan.

Grób matki -czarny kopczyk. Ojciec wydzielił brudasa i na kwiaty, i na znicze. Co można kupić za brudasa? Drań! Musi wystarczyć, oznajmił, miałem zbyt wiele wydatków związanych z samochodem. Drań. Drań. - Tutaj, ojcie, również-usłyszała głos Malwiny. A ci czego tu szukają?, pomyślała, kuląc się na ławeczce. Niedaleko matki, tuż pod cmentarnym murem czerniały groby niczyje, oczekujące na uiszczenie ponownej opłaty lub na zniwelowanie. Tam, bez krzyża, urągliwie pochowano kiedyś samobójcę nazwiskiem Jodeł lub Jodła, a może jeszcze inaczej. Bóg raczy wiedzieć, jak się nazywał ten nieszczęśliwiec, bo i tabliczki proszącej o westchnienie za duszę nie miał. Magłowa trajkotała, że nawet nie był pijany, gdy targnął się na życie, wiedział, co robi, popełniając ten grzech absolutnie śmiertelny - więc ksiądz nie wyraził zgody na pochówek. I tak sobie tu leży, pod cmentarnym murem, bez krzyża, bez nazwiska, bez modlitwy. Gdyby był pijany, wybaczone by mu, zasłużyłby na wieczny odpoczynek. - I tutaj, ojcie.

Zobaczyła ich ciemne sylwetki i jaśniejące w mroku chryzantemy. Stawiali je wzdłuż muru cmentarnego. I na tym grobie trzeźwego grzesznika.

i na tych innych, już od dawna zapomnianych przez żyjących. Przypomniała sobie, że w zeszłym roku te wszystkie groby pod cmentarnym murem były ubrane w kwiaty, w pełgające płomyki zniczy. /

Rzuciła się ku ledwo widocznym w ciemności postaciom. /

- Panie Pacuła! Przepraszam! Przepraszam! / Pacuła ją objął niezgrabnie, przycisnął mocno.

- Co tobie? dziewczyno? ty płaczesz?

- Pan nawet nie wie, co ja myślałam o panu! /

- Ależ, dziewczyno, przestań płakać. Cokolwiek myślałaś, to teraz nieważne, prawda? Więc przeszło, minęło i nie trzeba do tego^vracać. nie! - powiedział zupełnie zdezorientowany, bo i Malwina siorbnęła nosem. - A tobie co, córko? Gorzej? Dopiero co ocierałaś łzy, co za dziewczyna, łzy ma na zawołanie.

- Przepraszam cię, Malwina - powiedziała i do niej.

- Ach, Ola - Malwina ubrudzoną od doniczek ręką roztarła ziemię na nosie - głupstwo. Nie przejmuj się. Ja wiem, że ty tylko tak...

Ta Malwina! Była, jest i pozostanie głupia. Najlepsza. Niemożliwie dobra. Po prostu tylko ktoś tak niebywale głupi jak Malwina może być tak dobry.

- No, dziewczyny! dość mazania się. Do roboty, dziewczyny! Jeszcze musimy ustawić znicze. - Pacuła rozluźnił uścisk, uśmiechnął się niezbyt wesoło. - Pomożesz nam teraz, Olu? Kiedy już wiesz, o co chodzi?

- Tak - odpowiedziała, przełykając łzy.

- Choć raz do roku niechaj tu zapłoną między kwiatami - westchnął Pacuła. - Tak, tak, dziewczyno. Przez te wszystkie lata, odkąd tu mieszkam, każdego roku odwiedzam cmentarz, i nawet wtedy, kiedy nie miałem szklarni, to przynosiłem chociaż skromny kwiatek i jedną świeczkę stawiałem na zapomnianych grobach, niechaj raz do roku oświetlą i ogrzeją, wystawiając świadectwo ludzkiej pamięci...

Pomyślała, że ten „ćwok", Pacuła, używa identycznego określenia jak jej ojciec, „świadectwo ludzkiej pamięci" mówi ten „ćwok", a brzmi to tym razem prosto, swojsko, zarazem boleśnie przejmująco.

- Tak, tak, dziewczyno: paląc te znicze, kładąc kwiaty, wierzę głęboko, że tam, daleko, w innym kraju, w którym zostawiłem swoich zmarłych, jacyś dobrzy ludzie też nie pożałują świeczki czy kwiatka, nie pozwolą moim bliskim umrzeć po raz drugi, przez zapomnienie.

Łzy, łzy. Ukryć je, schować. - Chodźmy, ojciec - odezwała się cicho Malwina. - Ludzie są wszędzie jednakowi, więc dobrych wszędzie można spotkać. Prawda, Olu?

Ach, ta beznadziejnie dobra Malwina. Czy taka się urodziła? Czy tej wiary w dobrych ludzi, którzy są wszędzie, uczy ją dzień po dniu ten ćwok", Pacuła? Komu jest łatwiej żyć?, pomyślała, ocierając nieposłuszne oczy. Pocziwej Malwinie z tą jej wiarą czy mnie z moimi urazami,

z nienawiścią do innych? A kiedy wracali z ostatnią partią chryzantem i zniczy, zapytała Malwinę:

- O kim mówił twój ojciec? Kogo gdzieś zostawił?

- O swoich rodzicach, Olu. Zostali tam...

- Tam? to znaczy: gdzie?

- Mój ojciec repatriował się w pięćdziesiątym szóstym.

- Aha-odpowiedziała.

- No i co? dziewczyny, ładnie tu teraz, prawda?

Na mogiłach pod cmentarnym murem - i na tej wyklętej, bez krzyża -migotały światełkami zapalone

znicze.

- Idźcie do nyski, zmarzyście - powiedział Pacuła.

- A pan? - zapytała.

- A ja tu jeszcze chwilę z nimi zostanę - odpowiedział po prostu.

## Smuga światła

Bibliotekarka z Miejskiej Biblioteki dla Dorosłych, pani Leokadia Kapusta przejechała wzrokiem po karcie czytelniczej matki.

- To na dziś, jeśli ciągle się trzymamy kolejności wypożyczeń, wypada ponownie Leśmian i drugi tom trylogii Simonowa - „Żywi i martwi”; Dać?

- Tak. Proszę.

- Leśmiana również?

- I Leśmiana.

- Ty go już, Olu, umiesz chyba na pamięć.

Musiała się uśmiechnąć do pani Kapusty, bibliotekarki orzelskiej.

- Jeszcze niezupełnie całego na pamięć.

- I co? Naprawdę podoba ci się, Olu, Leśmian?

- Na początku - odpowiedziała zgodnie z prawdą - nie podobał mi się i nie rozumiałam go. Ale im częściej do niego wracam, tym chyba lepiej wiem, o co mu chodzi. I myślę, że zaczynam rozumieć... - Chciała dodać, nie tyle Leśmiana, co matkę, ale uśmiechnęła się tylko. - Musiał być ogromnie nieszczęśliwy, samotny wśród ludzi, dotknięty ich obojętnością, naznaczony przeczuciem śmierci.

- No, no, Ola, wyrobiłaś się - pani Kapusta, bibliotekarka orzelska czasami bywała złośliwa. - Kiedy przyszedł tutaj do mnie po raz pierwszy) wydawało mi się, że nie masz pojęcia, z której strony otwiera się

książkę.

- Bo i tak było, proszę pani. Wszystko się zgadza. Z polaka ledwo wyciągałam trójczynę na szynach. Żeby ojciec nie miał dojścia jako kierownik służby rolnej, wątpię, czy Waryński spozierałby na mnie z portretu\* - Wzięła podane książki, schowała do siatki między pieczywo a dwa kilo mąki. - Mogę poczytać tygodniki?

- Co tydzień pytasz o to samo. Zupełnie jakbym słyszała twoją matkę. Ona również za każdym razem pytała: mogę, pani Loniu?

- Dziękuję.

I odeszła ku stolikowi, nad którym widniał napis, ułożony z białych liter na zielonym tle: KĄCIK CZYTELNICZY. A pani Leokadia Kapusta popatrzyła na nią podejrzliwie, czasami bowiem bibliotekarka orzelska nie dowierzała uprzejmości młodzieży licealnej. Pani Leokadia Kapusta była ogromnie przewrażliwiona z powodu swojego nazwiska i wydawało się jej bardzo często, że uprzejmość jest wstępem do wątpliwej jakości żartów. Magłowa opowiadała kiedyś, krztusząc się od śmiechu, historię z nazwiskiem pani Kapusty. Czy wiecie, jak się nazywała Kapusta z domu? Sa-ła-ta! Moja mama chodziła z nią razem do powszechniaka... Co ty powiesz, Magłowa, aż do powszechniaka? Świnie! Świnie! Więc tak: a po powszechniaku, jak to po powszechniaku... Twoja stara poszła sprzątać gees, a Sałata na kurs bibliotekarski! Świnie, świnie z was i tyle! Bo wcale nie: mama nie poszła sprzątać geesu! tylko do zasadniczej... Ojej, Magłowa, naprawdę? A my myśleliśmy, że poszła na uniwersytet! Naprawdę, ale wy jesteście zwykłe podlizny; a po zasadniczej pracowała w przedszkolu... Jako pomoc kuchenna czy do szorowania nocników? Naprawdę z wami ciężko rozmawiać! A Sałata zdała do liceum, ale nie tu, bo w Orzelsku jeszcze nie było liceum, tylko w Grobkach, tam się ochajtnęła i z mężem wróciła do Orzelska, zaczęła pracować w bibliotece. I moja mama spotyka ją na ulicy: dzień dobry, Loniu, słyszałam, że wyszłaś za męża; a Sałata jej odpowiada: i owszem, wyszłam; no i widzisz, Loniu, a tak kiedyś w szkole stała płakałaś, że się z ciebie nabijają i przezywają od rzodkiewek i innych nowalijek; to teraz jak się nazywasz po mężu? Ka-pu-sta! Cha, cha, cha! Z Sałaty stała się Kapustą! Dobrze, co? I jak tu się nie uwyc?

Ulubiony dowcip telefoniczny Maćka: czy to pani Kapusta? Czy byłaby pani uprzejma przysłać dwie główki do szatkowania? I jak tu się nie uwyc?

Gdyby nie miłość pani Kapusty de domo Sałata do książek, Miejska Biblioteka dla Dorosłych byłaby najbardziej ponurym przybytkiem kultury w całym województwie, a może i nawet w kraju. Poprzednik Jurczyka, autor rewelacyjnej metody oszczędzania dzięki adaptacjom różnego na różne, na bibliotekę polecił zaadaptować miejską pralnię w suterenie. Można pojąć wiele inicjatyw tego zwierzchnika orzelskiego. Można jakoś zrozumieć zamianę magazynów na liceum. Remiza przemieniona w kino też niech sobie będzie, bo wiadomo: lud domaga się kultury wizualnej. Jakby pozbierać każdego wieczoru wszystkich pijaczków podpierających ściany w okolicy restauracji „Jutrzenka” i gdyby jeszcze zebrać tych, co kimają na ławkach orzelskiego skweru, i spędzić bractwo do nowego kina w starej remizie, to wraz z tymi, którzy przysliby dobrowolnie, zapełniłoby się-ho, ho-z ćwierć sali nawet. Więc kino w ramach

igrzysk-niech tam! Lecz kto uzasadni adaptowanie pralni na bibliotekę? Jest taki? Nie widzę! Nie słyszę! Nie znam! A przecież biblioteka w pralni jest faktem. Istnieje. I funkcjonuje od lat piętnastu. Wchodzi się do niej, jak na pralnię przystało, schodkami w dół, w głąb lochów piwnicznych, do dawnej sutereny. Po każdym odnawianiu biblioteki na ścianach wyłazą natychmiast malownicze fioletowozielone abstrakcje w stylu Picassa, więc i dekorator zbyteczny, wilgoć i grzyb są dekoratorami. Latem panuje tu cudownie sympatyczny chłodek, po pięciu minutach człowiek szczęka zębami, trzęsie się jak galareta i czym prędzej wyłazi z tej nory na świat tak pełen blasków słońca i jasności dnia, że aż się to wydaje dziwne. Gdyby pani Kapusta należała do rodziny krzyżowych, latem zwiędłaby z zimna w bibliotecznych kazamatach, natomiast w srogie mrozy rozpuściłaby się od ukropu, gdyż wszystkie ściany zdobią grube zawijasy rur centralnego ogrzewania. Na szczęście pani Kapusta nie jest kapustą, lecz człowiekiem, a człowiek podobno dużo może wytrzymać. W dodatku pani Kapusta kocha swoją pracę, ponieważ jest to praca wśród książek, a pani Kapusta przede wszystkim kocha książki. Toteż po każdym remoncie zasłania abstrakcyjne dekoracje słomianymi matami, które przybiera pękami sztucznych kwiatów, zwały rur okręca karbowaną kolorową bibułą, a dwa zakratowane okienka przyozdabia figlarnymi zasłonkami haftowanymi w malwy i maki. I tak tu nie mam światła dziennego, jestem skazana na elektryczne, użala się pani Kapusta, więc co mi po tych okienkach? Niech chociaż buty nie człapią nade mną, niech ich nie oglądam, bo to smutny widok. Tu każdą książkę ze swojego wielotysięcznego już księgozbioru pani Kapusta wypieszcza, niczym uczeń swój pierwszy zeszyt; nie korzysta z żadnych przydziałowych, brunatnych lub szarych, papierów do okładania, lecz kupuje za własne pieniądze wzorzyste, kolorowe albo glansowane jak do wycinanek i ubiera swoje książki w barwy i błyski. Książki to nie są kartofle, mawia często pani Kapusta, żeby się z nimi obchodzić tak bezceremonialnie i ładować jak w worki w beznadziejnie smutne papierzyska. Książka to jest myśl, przygoda, przeżycie, refleksja, marzenie, jakże! to tak skazać ją na uniform pakowego papieru? Więc na bibliotecznych! regałach aż się skrzy od kolorów, a każdą książkę pani Kapusta oznaczała własnym ekslibrisem, który oczywiście jest kolorowy: z zielonego tła wyziera żółty ptaszek. Dlaczego akurat ptaszek? To już tajemnica pani Kapusty. Ale ptaszek jest naprawdę ładny. Wesoły.

Wiele osób uważa, że pani Kapusta, bibliotekarka orzelska, ma po prostu nieszkodliwego świra. Pan Kapusta, opowiadała wszystkowiedząca Magłowa, ciągle kłóci się z żoną, bo pani Kapusta co zarobi w bibliotece, to wydaje na bibliotekę; i moja mama powiedziała, że co zajdzie do Kapustów, to Kapusta mówi, że on dłużej ze swoją Kapustą nie wytrzyma.

Kącik czytelniczy składa się z jednego stoliczka, na którym wachlarzem ułożone są tygodniki i inne czasopisma, oraz jednego taboretu. Na drugi taboret brak miejsca.

Tu co środa siadała matka.

W każdą środę matka, sprzątnąwszy po obiedzie, stawała w drzwiach i mówiła: to ja wychodzę. Czasem któreś z nich odezwało się: tylko kup nam coś dobrego. Najlepiej kilo! - to był dowcip ojca. Przyzwyczaili się, że raz na tydzień, w środę, ich domowy robot wychodzi z domu na dłużej, urządza generalne zakupy: kartofle, buraki, marchew i takie tam inne, czy któreś z nich zresztą zaglądało do siat



robola? Solidny robol wracał o czasie, zawsze zdążył podać kolację.

Znaleziona między podręcznikami ojca książka matki, w żółtawej, mocno zniszczonej okładce, z owalną pieczęcią Państwowego Domu Dziecka w Zalesiu, sprawiała ból. Dotkliwy. Mocny. Przejmujący. Wertowała stronicę wypełnioną tym bólem. Szukała pośród nich jakiegoś śladu po matce. Uczyla się na pamięć strof i wydawało się jej, że matka jest w nich, że przywołuje w ten sposób matkę do siebie, że z nią rozmawia. Dopiero teraz, kiedy jej nie ma. Nic przecież nie wiedziała o swojej matce. No, może niezupełnie nic. bo: Bukiety wiejskie, jak wiadomo...; bo: a skąd wiesz, że kret jest ślepy, Oluniu?; bo: podobne w barwach do palety albo wachlarza stały na stole, na pudle, obok regału, zwisały kaskadą z białej ściany; bo: Tak - bardzo - bardzo - kocham - cię - tak - bardzo-potrzebuję - cię! - Gdy - patrzę - w twoje - oczy - zaczyna się - dzień!...; bo: oczy szeroko otwarte, z lśnieniem zachodzącego słońca, a ramiona rozłożone do ostatniego, śmiertelnego lotu; bo: nie mam żadnej babci, Oluniu, chcesz ciasteczko? Nazbierało się niemało wiedzy o matce, łącznie z owalną pieczęcią Państwowego Domu Dziecka... Dużo, dużo, a przecież jednocześnie tak niewiele! Więc powtarzając:... Z niej to, kwietnej, kolory brał bohomas świetny, Rafael Rawy i Studzianny... patrzyła na tę zamkniętą szufladę w biurku ojca; tam się włamać, zobaczyć, co on w niej trzyma poza rodzinnym albumem Marciniaków, co chowa, co zamyka czego tak strzeże? Ale nie! nie w ten poniżający sposób, trzeba sięgnąć w głąb siebie i w sobie drążyć czas, który odszedł wraz z matką i zamknął się ostatecznie pod rozłożystym, bujnym klonem.

Uporczywa myśl: jeżeli matka miała jedno schowanko, to może takich schowanek jest w domu więcej?

Wiele odkryć powstało dzięki przypadkowi. Podobno Newton odkrył prawo ciężenia tylko dlatego, że siedział pod jabłką i spadające jabłko walnęło go w czoło. I wówczas zawołał: eureka! Nie, to jakiś inny zawołał: eureka! Ten, co się zanurzył w balii czy w wannie. Trzeba zdać się na przypadek. Trzeba ciągle pamiętać uśmiech matki, z którym powiedziała: a skąd wiesz, Oluniu, że kret jest ślepy?

Przed Bożym Narodzeniem postanowiła odszorować kuchenny kredens od środka. Tym razem naprawdę porządnie. I te papiery, którymi były wyłożone półki, wreszcie zmienić. Już dawno poszarzały. Już dawno powinna je wywalić, położyć nowe, ale jakoś żał, bo tymi papierami jeszcze matka wykladała kredensowe półki.

Prostokąt tekturki brązowawy, niewielki, wsunięty pod papier na pierwszej półce kredensu. Czerwonym flamastrem napisano: Maria Marciniak, Orzelsk, ulica Leśników 15 m.20. Stempel: Miejska Biblioteka dla Dorosłych w Orzelsku.

Co to?, zapytała panią Kapustę.

To? Ach, mój dobry Boże, Olu! przecież to karta biblioteczna twojej matki. To ładnie, Olu, że mi ją odnosisz, chociaż- z drugiej strony-i bez znaczenia: matkę skreśliłam już dawno ze swojej ewidencji. Ach, Olu czy wiesz, że była tu u mnie w przeddzień swojej śmierci? Tak się źle czuła, biedna, że nawet nie

wzięła żadnej książki, tylko odniosła pożyczone w ubiegłym tygodniu. Wie pani, pani Loniu, czuję się tak jakoś nieszczególnie, a i pracy mam sporo w domu, mąż przywiózł mi znowu wełnę, i Ola marzy wprost o takim zakiecie robionym na za dużą marynarę, więc chcę jej jak najszybciej, niech ma, podobno to bardzo modne, rozumie pani, a dziewczynki w jej wieku lubią być modnie ubrane, pamiętam sama, jak bardzo zazdrościłam innym koleżankom, które przychodziły do szkoły i rozpinały swoje granatowe, obowiązkowe fartuchy, żeby było widać, jakie noszą swetry, jakie spódnice... a ja zawsze w tym fartuchu, zapiętym szczelnie aż pod samą szyję. No tak, teraz inne czasy, prawda, pani Loniu? Młodzież nie musi chodzić do szkoły w jednakowych fartuchach. Więc w następną środę, jak zwykle, przyjdę i wezmę coś do czytania.

Nie przyszła w następną środę. Tego zakietu robionego na za dużą marynarę także nie skończyła. Zostały plecy i dwa rękawy. I kłębek wełny. Druty wetknięte w ten kłębek.

Jak to się teraz wszystko przypomina. Jakby przed oczami cofał się film. Co, matka, tak dziś wcześniej? przecież środa?, wyraził swoje zdumienie ojciec, kiedy matka wróciła z miasta. Przepraszający uśmiech na zupełnie sinych wargach. Zawsze przepraszający. Od kiedy przepraszający? Kupiłaś chociaż coś dobrego? Nawet irysków nie? Ale ty jesteś, matka, niedobra. W domu ani cukiereczka, ani kawałka ciasta.

Byli wpatrzeni w pudło, jak zwykle, jak każdego popołudnia, a matka weszła, zupełnie nie jak zwykle, do pokoju; powinna przecież siedzieć w kuchni, szykować im coś dobrego, a ona nie, weszła, zadyszała. Co mi tak matka sapiesz do ucha, cha, cha, cha, parsknął ojciec. Olunia, odezwała się matka, dziś jakoś nie mam siły przeprać ci tego sweterka, o który prosiłaś. Ależ, mam! obiecałaś! I w czym ja pójdę do budy? Olunia, masz tyle sweterków... Mam sam szmelc, nie sweterki! Żaden z nich, poza tym jednym, nie nadaje się do noszenia! Upierz! Dobrze, Olunia, upiorę. Zacisnąć zęby. Nie krzyżeć. Nie krzyżeć.

Rano sweterek był. Pewno matka musiała dosuszać go żelazkiem. Pewno musiała wstać przez ten sweterek jeszcze przed świtem. Ale był. A jakże. Uprany, wyprasowany, rozłożony na krześle. I matka jeszcze była. Jeszcze zdążyła wypastować płytki pecewu, żeby każda była jak zielone lustreczko. Jeszcze zdążyła ugotować obiad.

Obiad jest?

Jeszcze był. Jeszcze im zamierzała ten obiad podać, lecz nie zdążyła: potknęła się o nie istniejący próg w drzwiach. Rozłożyła ramiona do swojego ostatniego lotu.

Zacisnąć zęby. Nie krzyżeć.

Więc w każdą środę. Tutaj. Kolejne schowanko. W tej bibliotece. U Pani Kapusty. To był dla mojej matki skrawek łądu wolnego od podaj, Przynieś, zabierz, zrób. Tu nie musiała zasłaniać myśli przepaszającym uśmiechem. Wyspa szczęśliwa. Oaza. I życzliwość obcego człowieka, bibliotekarki orzelskiej. Zamiast mojej. Drapiesz, mam, weź ręce. Fe!

jak wszędzie cuchnie pastą. Dlaczego się nie odchudzisz, mam? Naprawdę, jesteś taka gruba, że aż wstyd pokazać się z tobą na ulicy. Zacisnąć zęby, nie krzyżeć.

Przepraszam cię. Ola. Nie powinnam mówić o twojej mamie. To dla ciebie temat zbyt bolesny.

Cieszę się, że pani potrafi opowiadać o mojej matce. Bardzo dziękuję pani za to.

Więc w każdą środę tu? Przychodziła, stawała przed biurkiem pani Kapusty. Rozmawiały. Wypożyczała książki. Wkładała je do siaty między chleb a mąkę. Miała pewność, że nikt z jej najbliższych, ani mąż, ani córka, dla której tak pragnęła zrobić na drutach supermodną marynarę, nie zajrzą do siaty, nie ruszą tyłków sprzed pudła, aby jej pomóc, najwyżej mąż zawoła: kupiłaś nam coś dobrego, matka?

Czy mogłabym, proszę pani, zapisać się do biblioteki?

To jest biblioteka dla dorosłych, Olu.

Niedługo skończę szesnaście lat. Ja bardzo panią proszę. Ja muszę. Pani Kapusta przygląda się uważnie.

Dlaczego, Olu Marciniak, aż tak bardzo zależy ci, aby należeć do biblioteki, z której wypożyczała książki twoja matka?

Czyżby ona czytała w myślach, ta bibliotekarka orzelska? W takim razie odpowiedź jest niepotrzebna.

Masz tu kartę, wypełnij ją, Olu Marciniak. Na szczęście dla ciebie, nikt mi tu na wiek moich czytelników nie patrzy, a przynajmniej poprawię swoją nędzną statystykę: o jedną osobę. Mam nadzieję, Olu, że będziesz] jak twoja matka, szanowała moje książki.

Tak, proszę pani, będę wszystko jak moja matka, mówi do pani Kapusty i myśli, że choć już niczego nie naprawi, tyle przynajmniej musi uczynić: sięgnąć w głąb siebie samej, przeżyć każdy miniony dzień od nowa] przekopać czas - musi wędrować szlakami matki. Te szlaki wyznaczają książki, które matka czytała; poznać je wszystkie, co do jednej; znaczy wędrować razem z matką. Tak, mam, miałaś rację, krety wcale nie są ślepe.

To co ci wypożyczyć na dobry początek, Olu? Znajdzie się u mnie dla ciebie odpowiednia lektura. Może coś z serii podróźniczej? Bardzo ciekawa seria, Olu.

Czy mogłabym, proszę pani, wypożyczać to, co wypożyczała moja matka? Po kolei. Dokładnie tak samo. Od tej pierwszej do tej ostatniej książki.

pani Kapusta nieruchomieje z ręką na kolorowo obłożonym tomie. A potem przygląda się długo, bardzo długo.

To niemożliwe, Olu Marciniak. Przykro mi. Twoja matka przychodziła tu do mnie jakby od zawsze. Rozumiesz? Widzisz te rury? To twoja matka poradziła mi wspaniale, aby je przyozdobić kolorowymi bibułkami. Prawda, że tak jest o wiele lepiej? Razem odbijałyśmy mój ekslibris z ptaszkiem. Znam ciebie, Olu, bardzo dobrze, wiem, co lubisz, a czego nie. razem z twoją matką przeżywałam twoje dziecięce choroby, twoje sukcesy i niepowodzenia w szkole, zawsze miałyśmy sobie tyle do opowiedzenia, ja i twoja matka. Od piętnastu lat co środa razem. Więc czy zdajesz sobie sprawę, Olu, ile przeczytała przez te lata twoja matka? Co tydzień, zawsze w środę, wypożyczała dwie książki. A ja nie

mam tu archiwum ze starymi kartami moich czytelników.

Mnie tak bardzo zależy, proszę pani! Może pani pamięta, co mama czytała?

Pani Kapusta, bibliotekarka orzelska ze świrem, która każdą książkę okłada w kolorowy papier kupowany za własne pieniądze, milczy długo i znowu przygląda się bardzo uważnie.

Powinnam jeszcze mieć kartę twojej matki z bieżącego roku.

Pani Kapusta pochyla się nad jakąś szufladą, szpera, szpera; Maria Marciniak, jest, mówi i znowu patrzy badawczo, długo; ale, Olu, twoja matka miała wyraźnie sprecyzowane zainteresowania, nie czytała byle czego i byle jak, ona czytała jakby z pewnym kluczem. To cię nie może zainteresować, jesteś za młoda. Naprawdę, polecam ci na początek serię podróźniczą. Słyszałaś o Wolniewiczzu na przykład? Pisz nad wyraz zajmująco, a gdzie on nie był, czego nie widział, Olu!

Nie, proszę pani, dziękuję za tego Wolniewicza. Chciałabym według klucza mojej matki. Klucz. Tak. To jest właściwe słowo. A może nawet nie klucz, lecz szyfr?

Jeżeli tak bardzo chcesz, Olu..., odzywa się pani Kapusta, bibliotekarka orzelska ze świrem, opuszcza wzrok; ale uprzedzam: nie będzie to łatwe dla ciebie.

Wiem, odpowiada jej tylko tym jednym słowem.

To jest bardzo, bardzo trudne.

O wiele łatwiej nauczyć się gotowania klarownego rosółu, zakładania nóżek kurczaka „w kieszonkę”, niż nauczyć się sztuki czytania książek.

Tu nie wystarczy umieć czytać. Składać litery w słowa, słowa w zdania. Tu trzeba to, co się czyta, przeżyć. A jak przeżyć, skoro przez piętnaście lat swojego życia nie przeżywało się niczego naprawdę? Jeśli tylko: pycha mięsko, pycha! Ładny, ładny film w telewizji!

Dwie pierwsze książki: „Poezje wybrane” Bolesława Leśmiana i kronika ka z Pawiaka Reginy Domańskiej. Jak przez to przebrnąć?

Ucieszyła się, widząc wiersze. Ale te były zupełnie inne niż „Kwiaty polskie”. Powtarzając półgłosem: Bukiety wiejskie, jak wiadomo, wiązane były wzwyz i stromo... od razu widziała tamte bukiety matki, a powtarzając: Czy pamiętasz, jak z tobą tańczyłem walca, panno, madonno, legendo tych lat?... słyszała natychmiast melodię przeboju „Kultu”: Tak bardzo - bardzo - kocham - cię... - Ja- czekam - trzeci - dzień - patrzę -na drzwi!... - i to się razem łączyło, zespalało. Tuwim wydawał się i bliski, i łatwy, a tu nagle jakiś Leśmian z dziwacznym słowotwórstwem, łzawy, kliwy, i ciągle o jakichś trupach, nie do strawienia. A te grube Knipy w rodzaju kroniki z Pawiaka jeszcze koszmarniejsze, jakieś dokumenty, spisy nazwisk, można oszaleć! I tak na zmianę: Leśmian albo książki o wojnie - pamiętniki, kroniki, wszystko o wojnie.

Maria Marciniak z domu Jarząbek, urodzona w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim, cóż mogła mieć wspólnego, do licha, z tą jakąś wojną, o której aż tyle napisano? I po co stale trują o tej historycznej wojnie, trują na okrągło: a to taka rocznica, a to siaka, a to bohater taki, a to inny, a tu weteran, a tam babcia klozetowa, też weteranka; psiakrew, jak trują. Matka miała niewiele ponad dwa lata, gdy się ta wojna skończyła. Po jaką cholere tyle o niej czytała?

Kronikę z Pawiaka odniosła zniechęcona. Pokonała z mozołem dwadzieścia stron, dalej nie szło. Trudno, nie wydoli. Może jednak dać ci, Olu, Wolniewicza? Nie, nie. Proszę następną, w kolejności.

I znowu nie do strawienia. Kobyła. Jakies pamiętniki lekarzy. Odłożyła dzieło po przesyłabizowaniu pierwszej stronicy. Odniosła. Poprosiła następną książkę. I tak trwało, zanim nie doszła do pierwszej powieści! O wojnie, rzecz jasna. Ale powieść dało się jakoś zmóc. Kolejną pozycją z rejestru matki były opowiadania. O wojnie, oczywiście. Ale ten Szczepański, a niech go, żeby tak pisać! Czytała do późnej nocy, a potem dygotała pod kołdrą i wydawało się jej, że zaraz załomoczą do drzwi kolbami i rozlegnie się ryk: Hände hoch! I będzie musiała stać pod ścianą tak jak Michał ze „Stajni na Celnej”, unosząc ponad głowę nagie ramiona. Więc już następnego dnia, nie czekając środy, pobiegła do pani Kapusty, aby wypożyczyć następną książkę według kolejności. Pani Kapusta, bibliotekarka orzelska ze świrem, nie pytała już nigdy więcej, czy może jednak podać tego Wolniewicza, który tak zajmująco opowiada o egzotycznych krajach.

jeszcze się uczysz, Ola? przecież już późno, trzeba spać. Uczę się, tato. Bardzo się uczę, myślała, zakrywając książkę zeszytem. O, Olunia, książka z biblioteki? Coś podobnego! Ty zapisałaś się do biblioteki? A po co? Żeby trochę poczytać, tato.

He, he, Olunia, czytelniczka, śmiał się ojciec. A jak by się śmiał, widząc matkę pochyloną nad książką? Pewno umarłby ze śmiechu lub zastygł w słup z wrażenia. Ty, matka, i książki? Ty, która nie masz żadnych poglądów, żadnych zainteresowań, nawet ładnego filmu w telewizji nie obejrzysz, tylko jakieś wycie w radiu i robótka na drutach? A ja?, pomyślała, patrząc wrogo na śmiejącego się ojca, co ja zrobiłabym, widząc czytającą matkę? Przecież miałam ją podobnie jak ojciec za ślepego kreta.

I co cię, Olunia, naszło? Nigdy nie interesowałaś się literaturą, kontynuował ojciec, zacisnął gniewnie usta: i słusznie, bo co to teraz za literatura? Kiedyś, pamiętam, miałem taką powieść przedwojenną, Ossendowskiego, o baronie, który...

Streszczałaś mi tę powieść, tato, od mojego wczesnego dzieciństwa. Czasem zamiast bajki na dobranoc o złych wilkach i jeszcze straszliwszych czarownicach, opowiadałaś o dzielnym baronie i krwawych bolszewikach.

Właściwie, Olka, powinienem kontrolować twoje lektury. Tak, koniecznie kontrolować. Natychmiast mi pokaż, co ty czytasz, czym się karmisz?

Skoro ty, tato, niczego nie czytasz, to w jaki sposób zamierzasz mnie kontrolować? Po kolorze okładki? Nie bądź bezczelna, Olka! Proszę, czytaj.

Położył się na tapczanie z opowiadaniem Żukrowskiego, zaraz zachrapał.

I co? Przeczytałeś?

No, trochę, ale wiesz? nawet niezłe. Ten, jak mu tam? Żurek... czy

Jak? Żurawski... Żukrowski, tato.

Niech mu będzie, że Żukrowski, a co to za różnica, he, he, powiem ci że nawet ma pióro. Ach, ta wojna, Olu, ta wojna, i nasze polskie bohaterstwo, z szablami na czołgi wroga, tak, tak. chyba kiedyś jakiś taki film oglądaliśmy w telewizji, pamiętasz? Biały koń tam był. No i te czołgi, i szarża. Pamiętasz, Olunia? Ładny film, bardzo ładny.

Tak, tato. Ładny. To była „Lotna” Wajdy.

No, no, Ola, stajesz się intelektualistką, cha, cha, cha!

Cha, cha, cha, zaśmiała się nawet szczerze, a potem zaraz ta kropelka łona; o Boże, tato, i kto tu jest ślepym kretem?

Jedno schowanko na półce regału, między podręcznikami ojca. Dobre schowanko, pewne, niezauważalne. Drugie pod glansowanym papierem, na pierwszej półce, gdzie talerze płaskie, głębokie i deserowe. Trzecie schowanko w torbie pełnej zakupów. Musiało być jednak i czwarte, pojemne, takie. które pomieściłoby dwa tomy. Jeden zawsze o wojnie, jakaś powieść albo pamiętnik, polskiego autora lub amerykańskiego, lub rosyjskiego, albo jakiegokolwiek innego. Pamięta opór własnych rąk, ich wahanie, gdy pani Kapusta podała jej książkę napisaną przez Rosjanina, i to długie spojrzenie pani Kapusty też pamięta. Pani Kapusta odezwała się jakby mimochodem: a wiesz, Olu, twoja matka nie przebierała w książkach jak w ulęgałkach. Czasem nawet rozmawialiśmy o tym, jak bardzo ludzie potrafią być zaślepieni w swoich uprzedzeniach. Wiesz? mam tu jedną taką czytelniczkę, panią bardzo wykształconą, nazwiska jej nie wymienię, bo i po co?, ale ta pani odrzuca nawet Tołstoja. Tu pani Kapusta uśmiechnęła się złośliwie: ale pewno nie wiesz, Olu, kto to jest Tołstoj i ilu ich było. Bo było dwóch, i jeden hrabia, i drugi. Jednego owa pani czytuje namiętnie, bo to dobry hrabia,, drugiego nie, bo to hrabia... można by tak określić: skolaborowany.

A więc miłość do książek pani Kapusty, bibliotekarki orzelskiej ze świrem, nie polega jedynie na okładaniu ich w kolorowe papiery i ostemplowywaniu własnym ekslibrisem z żółtym, śpiewającym ptaszkiem. Miłość pani Kapusty do książek nie zna naprawdę granic ani podziałów. Pani Kapusta spojrzała raz jeszcze: to co? zabrać tego Bondariewa? Nie, odpowiedziała szybko, nie! Uśmiech pani Kapusty był tym razem smutny. miałaś bardzo mądrą matkę, Olu Marciniak. Ona też kochała książki, książki są bez względu na pochodzenie ich autorów dziedzictwem wszystkich narodów. I to jest w tym takie piękne.

Jak ty możesz tak żyć, matka, między garami a kuchnią? Ślepy kret z ciebie, matka.

Czy zechciałaby pani mi pomóc?, zapytała panią Kapustę.

Pani Kapusta, bibliotekarka orzelska ze świrem, do której dzwoni się od Maćka: pani Kapusta? Proszę wysłać dwie głowy do szatkowania, cha, cha. cha! - powinna była zapytać: a w czym ja ci mogę pomóc, Olu Marciniak? Ale pani Kapusta nie zapytała, spojrzała tylko tym swoim długim, uważnym spojrzeniem i podeszła do regałów. Na początek polecam ci to.

Ależ proszę pani, to są jakieś baśnie dla dzieci!

Poczuła się dotknięta. Nawet obrażona. Jak to: jej, która ma za sobą „Kwiaty polskie” i Leśmiana już przy czwartym podejściu przeczytała aż do strony czterdziestej ósmej, pokonując różne stodołenia, powietrzności i bezbrzaski, a dziś wypożycza już szesnastą książkę o wojnie-proponować baśnie? Te dwie ostatnie przeczytała jednym tchem, ze ściśniętym sercem, bo ta wojna, o której tak stale i uporczywie trują w telewizji, w radiu i w ogóle wszędzie, to jakoś inaczej wygląda, kiedy się czyta o Basi stojącej nago w obecności czterech umundurowanych gestapowców. I nagle przestaje się być Olą, Aleksandrą Marciniak, zamieszkałą w Orzelsku przy ulicy Leśników, bo nagle się jest ową Basią, i czuje się własnymi stopami lodowaty chłód betonowej podłogi, i widzi się leżące w kącie pokoju gumowe pałki, baty ukręcone z grubego kabla, cienkie trzcinki, widzi się to wszystko i ogarnia człowieka strach. Chociaż Bratny opisuje ból Basi, kopanej, bitej, torturowanej, to bólu tego się nie odczuwa, ale strach jest cały czas, coraz bardziej nieprzytomny strach. Wtedy pojawia się pytanie: a ja? Gdybym to ja tak zamiast tamtej dziewczyny? Czy potrafiłabym znieść wszystko, nawet ten ból, i nie wydać? nie zdradzić?

A teraz ta głupia Kapusta po „Kolumbach” Bratnego proponuje jakieś kretyńskie baśnie. I co ona sobie wyobraża, ta Kapusta? Ma mnie za idiotkę?

Wydaje mi się, Olu Marciniak, powiedziała pani Kapusta, bibliotekarka orzelska, jakby czytając w myślach, że nie można od razu przeskoczyć do dorosłości, śledzić i rozumieć zawitości losów ludzkich, jeśli się w dzieciństwie nie zapłakało nad tęsknotą do słońca małego bałwana ze śniegu czy nie uśmiechnęło ze smutkiem nad przykładnie ukaraną córką cesarza, której świniopas zaśpiewał na pożegnanie: Ach, kochany Augustynie, wszystko minie, minie, minie! Pewno zdumiewa cię, Olu, to, że w bibliotece dla dorosłych są „Baśnie” Andersena? A wiesz, dodała z uśmiechem, że udało mi się przemyścić także kilka innych pozycji, bez których, tak myślę, ani rusz nie można niczego zrozumieć. Ileż to razy, Olu Marciniak, twoja matka siadała właśnie tu, w moim kąciку czytelnicznym i pośpiesznie przewracała stronicę tych „Baśni” albo „Małego księcia”; niechże pani weźmie do domu, pani Mario; ach, nie, taka jestem obładowana. Widzi pani, jakie siaty, a ja tylko tak... przypomnieć sobie, odświeżyć i powrócić do czegoś, co dawno minęło, a bez czego tak trudno człowiekowi żyć.

Kiedy przeczytała i te „Baśnie”, i tę opowieść o małym księciu z odległej planety, i o pogoni Alicji za białym królikiem, śpieszącym się na podwieczorek do Królowej, powiedziała do pani Kapusty, bibliotekarki orzelskiej z nieszkodliwym świrem; przepraszam. Pani Kapusta znowu przyglądała się długo, uważnie. Nie ma za co, Olu Marciniak, odpowiedziała, wielu tu uważa, że ponieważ jestem z domu Sałata, a po mężu Kapusta i na dodatek pracuję w bibliotece za marne grosze, i jeszcze te grosze wydają na bibułki i papiery, to znaczy, że muszę być po prostu idiotką. Chociaż... kto wie? może i jestem.

To czwarte schowanko, pojemne, na książki z biblioteki - gdzie?

Kuchnia, królestwo robola.

Wychodzisz czasem nocą do łazienki, światło wąską smugą przedostaje się spod kuchennych drzwi. Ziewasz, nawet nie zajrzysz do robola, bo i po co? ten ma końskie zdrowie, siedzi i macha drutami, cóż. skoro to lubi? Aaa, ziewasz, spać, spać.

Kredens odmalowany przez matkę, doprowadzony do połysku, stary, przedpotopowy. Może gdzieś tu, między półmiskami a wazami? Albo w którejś z szuflad? Tam gdzie leżą równo poskładane, śnieżnobiałe ściereczki? obrusy? serwetki? Nie, tu nie.

A może tu, za tą listwą? I łatwo sięgnąć, i miejsca dużo, a listwa zasłoni dokładnie. Gdy tylko ja, córka, i on, mąż, wyłączą pudło, umyją się i walną do swoich legowisk, wystarczy przysunąć taboret, wspiąć się i już ręka dotyka książki. Długo masz zamiar siedzieć, matka?, ojciec jest niezadowolony, zaciska gniewnie usta. Potem mnie, cholera jasna, budzisz. Poruszasz się jak słońca. A człowiek musi wstać wcześniej, i znowu do roboty - Nie możesz machać tymi drutami w dzień? Za mało masz wolnego czasu? Co ty właściwie robisz, do diabła, całymi dniami? Trochę ugotować, trochę sprzątnąć i po twojej robocie! Postaram się cichutko, na ustach matki przepraszający uśmiech.

Czy to zresztą ważne, gdzie jest czwarte schowanko? Każde miejsce w kuchni poza lodówką nadaje się na schowanko. Każde. Bo to jest królestwo robola. I tu nikt nie zagląda, chyba tylko po to, żeby poszperać właśnie w tej lodówce i zobaczyć, jaką to pychę robol przygotował. Olunia, widzisz? pasztecik w galaretkę! pycha, pycha. Ta nasza matka! już ona umie nam dogodzić...

Poza lodówką - schowanka matki mogą być wszędzie. I ona sama, ta moja matka, stała się jakby schowankiem. Wszystko, co było dla niej istotne, ważne, prawdziwe, zamknęła w sobie, dla nas, najbliższych mając w pogotowiu przepraszający uśmiech, uśmiech-pozór, uśmiech-parawan, uśmiech-jeszcze jedno schowanko. Tak nas okpić, mamó! Może pitraszając wołową pieczeń, pycha, pycha!, powtarzałaś słowa Tuwima lub Leśmiana i miałaś swoje wyspy szczęśliwe, na których my - ja, córka, i on, twój mąż - nie mijaliśmy cię obojętnie. Może chociaż w tym swoim drugim, utajonym przed nami życiu miałaś je. Ale tego się nigdy nie dowiem.

To tu, przy tym stolczku z czasopismami ułożonymi w wachlarze, co środa siadała matka. Torby z zakupami stawiała tam, pod ścianą. Wychodziła z domu koło wpół do czwartej. Wszystko z premedytacją: jeszcze we wtorek zalewała galaretkę pasztet albo piekła kurczaka; nie musiała się śpieszyć z biblioteki, w lodówce czekała gotowa kolacja, tylko wyjąć i podać na stół. Bardzo oboje z ojcem lubiliśmy środowe kolacje, zawsze takie inne, jakby świąteczne. Nie wiedzieliśmy, że były to kolacje szykowane z premedytacją, ekspresowe. Nasz domowy robol w każdą środę urządzał sobie wychodne.

Cwany robol. Oszukiwał i mnie, i ojca przez tyle, tyle lat. Pourządzał w domu cwane schowanka. Machał drutami po nocach, rozkładał knię przed sobą, wycwaniony do perfekcji: jeżeli przypadkiem, mężu lub córko, zainteresujecie się ową smugą światła bijącą spod drzwi kuchennych, wówczas jeden



ruch wystarczył, aby powstało kolejne schowanko - pod dzierganym dla córki sweterkiem albo blezerem dla męża.

No, tato, sam powiedz: czy nie cwany ten nasz robot bez poglądów, bez zainteresowań? Robot jak kret ślepy? My za drzwi, tato, a robot ma wolne. Uwija się jak w ukropie, sapie, dyszy, pastuje na kolanach zielone Płytki, bo nasz robot ma poczucie obowiązku i jest pedantyczny: wszystko odkłada na swoje miejsce, wszystko musi zaszyć, wybłyszczyc, przynieść, podać, uprać, uprasować, poukładać, i pychę kolejną przygotować też; nasz robot to umie nam dogadzać, prawda, tato. jak umie? A jeżeli dobrze się spręży, a nie za długa kolejka w spożywczym po kurczaki bez kartek, to nawet do obiadu zdąży wykroić czas dla siebie, ukraść, tato ukraść! te pół godzinki, może i godzinę nawet, i wedrze się do pokoju swojej córki bezczelnie, nastawi płytę: Tak-bardzo-bardzo... Albo sięgnie do któregoś ze swoich cwanych schowanek i: Grande! Valse! Brillan te! Albo z za listwy lub z szuflady wyciągnie knipę i: Boże. pełen w niebie chwały, a na krzyżu - pomarniały - gdzie się skrywał i gdzie był, żem Cię nigdy nie widywał?... Bo proza już nie, zbyt krótki ten złodziejski czas między naszym porannym tupotem nóg po schodach, a powrotem tych nóg na obiad. Obiad jest?

Tu postawimy regał, Olunia, tu tapczan, tu wersalkę. Tu stolik pod pudło. Tu stół. Sześć krzeseł. Tu lampa. Tu kryształ. Ładny będzie mój pokój, prawda. Olunia? I twój pokój też będzie ładny. Nareszcie, po tylu latach męki w tamtej klitce mamy własne pokoje, prawda. Olunia?

Ładne jest moje królestwo, Olu?, zapytała matka, odkładając pędzel! którym malowała drugi taboret.

Kuchnia, królestwo w sam raz dla robota. W pokoju ojca robot miał do dyspozycji wersalkę. Na niej spał. Fotela przed telewizor dla robota już nie było. Stały dwa. Jeden należał do ojca, drugi do córki. Ale po co robotowi fotel? On nie ogląda telewizji. On ma taboret w swojej kuchni. On ma teraz dobrze. Od czasu przeprowadzki do blokowego mieszkania żyje w pełnym luksusie.

- A wiesz, Olu Marciniak? - odezwała się pani Kapusta z za swojego bibliotecznego biurka - kto dziś tu u mnie był?

W bibliotece nigdy nie ma dużego ruchu. Od czasu do czasu ktoś zwraca książkę, prosi o następną. Pani Kapusta nudzi się trochę i lubi pogadać. Trzeba więc odłożyć gazetę, udać zainteresowanie; właściwie nic mnie nie obchodzi, kto był dziś u pani Kapusty, myśli z niechęcią, przecież nie szach perski.

- Naczelnik we własnej osobie! I co ty na to?-zawołała pani Kapusta. Ach, to dlatego jest cały czas taka podniecona.

- Zaszczyc panią spotkał niebywały - odpowiedziała. - I co? zyskała pani nowego czytelnika?

- On nie po to przyszedł. Był razem z nim kierownik referatu kultury. O, powiedział naczelnik, widzę, że o kulturę bardzo dbacie, kolego. Cóż

/a wspaniały, wprost fantastyczny lokal. A jaki przestronny. I ile światła. A Fifarę aż zwinęło. Tłumaczył bardzo zawile, że w całym Orzelsku nie ma żadnego lokalu, który by można adaptować na bibliotekę.

- I co?

- On mnie, wyobraź sobie, Olu Marciniak! pocałował w rękę!

- Kto? Fifara?

- Naczelnik! - pani Kapusta uniosła rękę, obejrzała ją w komicznym zdumieniu.

I jak tu się nie roześmiać. Pani Kapusta też się śmieje.

- Pocałował, powiedział do Fifary, że nie widzi konieczności adaptacji. Wystarczy, powiedział, zwykła zamiana. Trzeba przenieść do tych lochów zarząd spółdzielni mieszkaniowej, w sam raz pomieszczenie dla zarządu. A bibliotekę, kolego Fifara, tam gdzie teraz zarząd. - Pani Kapusta poważnieje. - Narobi on sobie wrogów a wrogów. Jak pracuję tu piętnaście lat, nie miałam wizytacji na tak wysokim szczeblu. -I zaraz się rozmarza: - Zarząd zajmuje czteropokojowe mieszkanie. Światło! Okna! Normalne życie. Precz z bibułami na rurach ogrzewczych! Ach, dobry Boże... - Po chwili dodaje, już przygnębiona: - Ale to zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe. Naczelnik nie odważy się. Prezesem spółdzielni jest rodzony brat Paszyńskiego, a Paszyński zna samego wicewojewodę. Tak sobie pewno tylko zażartował z głupiej bibliotekarki orzelskiej. Idziesz już, Olu Marciniak?

- Tak. Muszę przygotować ojcu kolację.

Wyszła myśląc, że według słów ojca los Paszyńskiego, mimo znajomości z wice, jest już przesądzony. Takiego porządnego człowieka wywała, złościł się ojciec; Niech pan się cieszy, że nie oddaję pana prokuratorowi; tak podobno nowy powiedział przy świadkach do Paszyńskiego.

A jeszcze niedawno ojciec mówił o Paszyńskim, że to partyjniak, który dzięki innemu partyjniakowi wskoczył na prezesa geesu i chociaż nie ma nawet matury, rozporządza wielomilionowym spółdzielczym majątkiem.

Dwoje ludzińków

Zimno jak wszyscy diabli. Mróz niewielki, cztery stopnie, ale wiatr zacina w twarz, wyciska łzy z oczu, gile z nosa, tamuje oddech. Ojciec rano, patrząc ze smętkiem w okno, powiedział: zima za pasem, Olu. I otrząsnął się: jak ja nienawidzę zimy! Załóż gruby sweter, córko. I czapkę. Nie chodź z gołą głową, przeziębisz się, kochanie.

Popatrzył, popatrzył, westchnął: doroślejiesz. Olu. Dopiero co sięgałaś mi do ramienia, a teraz już możemy całować się jak Eskimosi - nosami. A przecież jestem nie ułomek, metr osiemdziesiąt wzrostu. Ale ty wybujalaś przez ostatni rok, Oluniu. Ta dzisiejsza młodzież! Wszyscy rośniecie jak na drożdżach, wysocy, ładni.

I jakby oczekując, że go pocałuje po eskimosku, pochylił się lekko, lecz powiedziała: idź już, tato, bo się spóźnisz do pracy. Westchnął, powstał, powstał, westchnął znowu: taka się zrobiłaś inna, Olu. I poszedł.

Ach, do cholery z tą kropelką słońca! A przecież aż się wszystko wewnątrz wrywało, aby podejść do swojego ojca jak dawniej, objąć go i dać mu się objąć; ileż to razy robiła ten kroczek malutki i nie mogła, zatrzymywała się.

Przeklęta Magłowa jak zwykle sterczała pod budką Ziętarowej, zamkniętą zresztą na cztery spusty, bo Zientarowa handluje od wiosny do jesieni, sprzedając marchewkę i pietruchę.

- Cześć, Ola.

Zsiniła od zimna twarz Magłowej ze spiczastym, zagilonym nochalem rozciągnęła się w przypochlebnym uśmiechu.

- Ty, Magłowa - odezwała się na powitanie - że też ci się nie znudzi z taką ofiarnością codziennie nadkładać drogi po to tylko, aby powiedzieć mi: cześć, Ola. Nie możesz znaleźć jakiegoś innego obiektu zainteresowania? Ciągle musisz mnie prześladować swoim uwielbieniem?

Magłowa odwróciła się szybko, pobiegła naprzód, przytupując zniszczonymi kozakami. Do palta, w którym łązi już trzeci rok, od ósmej klasy szkoły podstawowej, i z którego wyrosła, podoczepiała u dołu jakieś frędzle zrobione szydełkiem, takie same frędzle dyndają przy mankietach i, cholera, trzeba przyznać, że to jest całkiem, całkiem fajne, nawet bardzo fajne. Czapeczka z takiej samej wełenki jak frędzle i szal przerzucony aż na plecy tworzą komplet, ukrywają biedę starego palta. Pewno ściboliła to wszystko szydełkiem przez całą noc, szydełkuje ta Magłowa bardzo ładnie, jej stara raz na tydzień przynosi na targ rozmaite szydełkowe serwety, serwetki, nawet narzuty i mówi. że sama tak szydełkuje, ale wszyscy wiedzą, że to Magłowa ściboli po nocach, chcąc pomóc swojej starej dorobić parę groszy do pensji sprzątaczkii geesowskiej. Chcesz, Ola? zrobię ci szydełkiem supermodny szal, taki właśnie sobie odwałam, mówię ci. widziałam w „Przekroju”: przebój tej zimy. Odwal się. Magłowa, razem ze swoimi przebojami, idź z nimi na targ. A teraz pewno dla zademonstrowania tych przebojów na głowie i szyi tudzież przy mankietach i u dołu palta przytupywała pod budką Zientarowej. oczekując, że zaraz usłyszy: och, Magłowa! aleś przerobiła płaszcz na medal, całkiem jak nowy. Magłowa, przebój, faktycznie, ładnie ci w tym nawet. Magłowa.

Magłowa zatrzymała się. Oczy ma czerwone jak u królika, zapyziałe i jakieś takie żałośnie proszące. Ech, kto by się tam przejmował oczami Magłowej!

- Cześć, dziewczyny! Ale zimnisko. co?-Tadek jak zwykle czule obejmował Joluskę. Joluska uśmiechnęła się wdzięcznie fioletowymi od zimna wargami. Nawet teraz, taka przedmuchana i zziębnięta, wygląda ładnie. Miss Orzelska, psiakrew!

- A ty co. Maglowa? - zapytał Tadek - dokąd zapychasz z taką gracją?

Maglowa jednak milczała.

- O! - zawołał Tadek - koleżanko Co Za Tym Się Kryje! o mamusi i pani Dawidowicz nie chcesz nam opowiadać? Niczego nie wypatrzyły wczoraj z okna? Nawet psa z kulawą nogą?

Joluska się roześmiała. Obrzuciła palto Maglowej, jej czapkę i szal taksującym spojrzeniem.

- Rozpiera ją duma - powiedziała Joluska. - Myśli, że jak przyczepiła parę kłaków wełny do mankietów i na głowę, to jest za modelkę. Prawda,

Tadziu?

- Prawda, prawda, Jolusko... - odpowiedział z przekonaniem Tadzio, połączony w swojej męskiej próżności. - Hej! Maglowa, nie wrywaj tak, chcę cię obejrzeć dokładnie w twojej nowej kreacji geesowskiej.

- Och, Tadziu - westchnęła rozdzierająco Joluska - zostaw biedną Maglową, nie widzisz, jak jej oczy zaropiały od szydełkowania? Maglowa! czy to prawdziwa wełna, czy też kłaki geesowskiego kurzu, sprzedzonego przez mamusię na kołowrotku?

- Świnie. Świnie - odezwała się wreszcie Maglowa. Jezdnią przepłynął cytrynowy datsun Komornickich.

- Nie pogodzisz się z dawnym narzeczonym już nigdy, Jolusko? - Maglowa odzyskała mowę.

- Ty, Maglowa! - rzucił ostrzegawczo Tadek.

- A co? nie podoba się? Skoro zadowolasz się spadziochami po Maćku...

Joluska zapiszczała. Tadek pobladł.

- Gdybyś była, Maglowa, chłopakiem, dałbym ci w pysk.

- Dlaczego mnie? Czy to ja ci odbiłam Joluskę, czy Komornicki swoimi dolcami? - oczy Maglowej zwięziły się jadowniczo. - A jemu to byłeś skory do dawania w pysk? Jakoś nie słyszałam żadnego plaskania, tylko och. Maciuś, Maciuś, ach, jaki wspaniały był ten wczorajszy drink!

- Tadziu! zrób z nią coś! Ty pozwalasz tak się obrażać? - zawołała Joluska prawie z płaczem. Tadek złapał Maglową za jej przebój sezonu, Tadek jest wysoki, silny, a Maglowa mała i chuda, szarpie się na próżno i oto już całą twarz aż po czoło ma owiniętą szczelnie własnym przebojem. Macha rękami, dławi się.

- Dusicie Maglową? Za co?-jak zwykle w tym miejscu dołączyła do nich Iwona, - O rany, ale ładny szal. Całkiem taki sam widziałam w | ..Przekroju".

- Chyba w geesie - parsknęła pogardliwie Joluska, jej oczy błyszczały wściekłością. - Na szcztocie do

zamiatania mamusi Maglowej.

Maglowej udaje się wreszcie wypłatać ze swojego przeboju, posapuje, ale nie mówi nic. Nawet nie ciska świniami.

Z bramy pod numerem dwadzieścia siedem wynurzyła się Krystyna Paszyńska. Nim zdążyła powiedzieć swoje „cześć, ludzie”, doskoczyła do niej Magłowa:

- Jak się czuje dziś szanowny eks-prezes Paszyński, Krysiuniu? Podobno wczoraj własnoręcznie, lecz pod dyktando naczelnika napisał podanie o zwolnienie? Dawidowicz spotkała Kowalczyka... - i Magłowa urwała gwałtownie, nieszczęsna potknęła się na tej nieodłącznej kumpelce swojej matki, takiej samej plotkarze, Dawidowicz, a Kowalczykiem zatchnęła się całkowicie.

Teraz Krystyna lekko pobladła. Zadarła hardo głowę:

- To znaczy, że już wiecie? Czy w tej cholernej dziurze nic się nie ukryje? - popatrzyła na nich z niechęcią, ze wstrętem. - A wy się cieszyacie niebywale, prawda? No. nie ciescie się przedwcześnie, ten się śmieje, kto się śmieje ostatni. Mój stary zna nie takich jak Kozubski. Mój stary jest od dawna na ty z samym wice. Więc ten Kozubski może mu nadmuchać. Ten Kozubski to był zwykłym instruktorką w komitecie nawet nie wojewódzkim, ale miejskim. I żeby nie ta jego nieboszczka żona. Której brat, ten Słomaczewski, jest wojewódzkim architektem, to ten cały Kozubski... - machnęła pogardliwie ręką. - Mój stary w nos się mu roześmiał..Pan mnie będzie jeszcze przeproszał, tak mu powiedział przy świadkach\* Przy twoim starym, Olka. zapytaj go, potwierdzi, że mówię prawdę.

- I czego ty się. Krysiu, tak denerwujesz? - zaćwierkała przymilnie Iwona. - Wszyscy przecież wiedzą, jaki jest twój ojciec. Wspaniały, porządny, uczciwy. Mój stary, a w końcu pracował z twoim tyle lat, zawsze mówi o nim z najwyższym uznaniem.

Nosząc teczkę za panem prezesem! Ta Magłowa naprawdę za dużo sobie dziś pozwala! Iwona spojrzała na

nią wyniośle.

- Może i nosił. Ale nie sprzątał wychodków. Jest chyba różnica pomiędzy sprzątaczką a moim ojcem, zastępcą kierownika działu zbytu, nie

uważasz, Magłowa?

- Że też wy, ludzie, zawsze musicie pyszczyć. Prawda, Tadziu?

- Prawda, Jolusko. Patrzcie, ludzie: Kwaśniewska z Kozubskim! Rzeczywiście: z naprzeciwka szli Kwaśniewska i Kozubski. Oni teraz

tak codziennie razem do budy, mieszkają po sąsiedzku, w jednym osiedlu. Kwaśniewska, jak zwykle, z siatami, lecz ich nie targa, ma dżentelmena zakichanego przy sobie: Kozubski usłużnie dźwiga dwie siaty i swoją torbę, przewieszoną przez ramię.

- A wiecie - odezwała się Krystyna - za tym musi się coś kryć.

- Niby za czym? - spytała Iwona.

Krystyna ruchem brody wskazała Kwaśniewską i Kozubskiego skręcających w bramę. Uśmiechnęła się zjadliwie.

- Ty coś wiesz, Krystyna! - zawołała Joluska.

~ A to mieszkanie? Niczego nie załapujecie? Co za barany! Mój ojciec od razu był przekonany, że za tym się coś kryje...

- Ale co? Wykrztuś z siebie. Kryska!

- Taki pic na wodę. Pozory. Lipa. Mój Boże. co za barany! No. ruszcie mózgiem! On wdowiec, ona rozwiedziona...

-

- Aaa, więc to tak! - krzyknęła podniecona Joluska. - Jakie to proste, Prawda, Tadiusz? Roześmieli się. Ordynarnie, głośno.

Nagle ma ich wszystkich dosyć. Paszyńskiej, Tadzka. Joluski, Iwony Magłowej, Kozubskiego juniora i Kozubskiego seniora. Kwaśniewskiej także. I siebie również ma dosyć!

- Olka? a ty dokąd? Poczekaj! - usłyszała za sobą.

W szatni jeszcze puchy. Tłok zrobi się tu, zgodnie z obyczajem, na pięć minut przed dzwonkiem. Można więc przed tymi nielicznymi schować płonącą twarz.

Rozbierała się z taką gwałtownością, jakby razem z płaszczem zamierzała zedrzeć i własną skórę.

- Hej, Ola! - Kozubski jest lekko zdyszany, zataszczył Kwaśniewskiej, włazodupsko, aż do pokoju nauczycielskiego manele, zmęczył się biedaczysko, teraz podchodzi, bicykle grube, piegi ryże, łeb ryży. Stoi, czeka, a ona wie doskonale, czemu stoi i na co czeka z tym oślizgłym uśmiechem dobrze wychowanego, cholernego picusia-glansusia, który zna dobrze swoje powinności wobec dam i oto pragnie pomóc damie przy zdejmowaniu palta. Z wściekłości zaplątała się we własny szalik, który niestety nie jest przebojem, zwykły, emhadowski, byle jaki. Szarpie nim raz i drugi.

- Pozwól. Pomogę.

Z jaką ochotą pacnęłaby go po tej wyciągniętej łapie.

- Odwal się, dobrze?

Kozubski, zamiast się odwalić, pomaga rozplatać supeł, odbiera płaszcz, wieszka, uśmiecha się przeprasząc:

- Przecież nie chcę nic złego. Co cię tak złości?

No właśnie: co? Czy jest coś złego w tym, że Kozubski traktuje dziewczynę z szacunkiem? Przecież każda z nich marzy: ach, damą być, damą być. Przecież każda z nich marzy o tym jedynym, nieskazitelnym i rycerskim, delikatnym, taktownym, innym - który właśnie jak ten cholerny układniak przepuszczałby w drzwiach, odbierał palto, podawał, nie powtarzał wulgarnych dowcipasów, od których w kolanach miękko, nie wsadzał łap, gdzie ich nie potrzeba, nie walił sółką w bok przy przepychankach na stromych schodach, nie popychał, ale się zatroszczył i wymówił tak ciepło, tak łagodnie twoje imię: Olu. Więc co ją tak wścieka? aż podrzuca? To, że Kozubski pomaga nieszczęsnej, nareszcie wyzwolonej od pięści swojego eks-małżonka Kwaśniewskiej taszczyć wypchane siaty? Nigdy tu nikomu do żadnego zakutego łba nie wpadła taka myśl, aby podejść i powiedzieć: ja pani pomogę, bo to ciężkie.

- Olu? dlaczego ciągle się na mnie boczysz, Olu?

Uśmiech ma łagodny, imię wymawia tak, że... Ach, mniejsza z tym. jak on wymawia jej imię i jak się do niej uśmiecha.

- I czego wyszczerzasz te swoje krzywe zębiska? Myślisz, że z uśmiechem jesteś bardziej przystojny? mniej ryży i mniej piegowaty?

Kozubski odwrócił się, odszedł ze spuszczoną głową.

- Łukasz, poczekaj... - powiedziała cicho. Za cicho. Nie dosłyszał, wyszedł z szatni.

U warg kropelka bardzo słona. Serce wali. Ach, cholera, cholera! żeby mi później taki Komornicki zarzucił, że się kocham w Kozubskim!, myśli, ściga kozaki, chowa się za wiszące płaszcze; wciąż ta kropelka słona i serce wali, i to pragnienie sprzed chwili: oprzeć się czołem o jego czoło, Łukasz, powiedzieć, ja też...

Paranoja! Kompletna. Co ja? co? Ja w nim? Ja dotąd nigdy w żadnym! żadnego! Wszyscy dla mnie dotąd to kumple. I ja dla nich kumpel, kumpelka: Olka Marciniak. Nie chcę inaczej. Nie. Tak - bardzo - bardzo -kocham... Nie, za nic. Jego? Takiego ryżego? Piegowatego? I w dodatku syna trepa? Ja go nienawidzę. O, nienawidzę! Tak. Tylko tak. I tak trzymaj, Aleksandro Marciniak. Nie jakieś tam sentymentalne, głupie zachcianki. ...Tak-bardzo-bardzo-potrzebuję... Cholera. Nie potrzebuję. Nie ja.

Głosy wchodzących do szatni są hałaśliwe, donośne, pewne siebie. Nie, teraz tych tam Jolusek i Tadek, Paszyńskich i Iwonek nie zniesie; schować się głębiej!

- Ciekawe, czemu ta Olka tak nawiewała? - to Tadek.

- Jakiś ty niedomyślny, Tadek, to widok Kozubskiego tak na nią podział! - śmiech Joluski.

- Wygłupiasz się, Joluska, gdzieżby Olka... - głos Iwony.

- Ale nawiała z punktu, prawda, Tadziu?

- Olka nie leci na każdego, jak ty, Joluska - głos Iwony.

- A tobie żal. I wyobraź sobie, że to na mnie lecą - obrażony śmiech Joluski.

- Wiadomo: miss Orzelska - dowcip Iwony.

141

- No, w każdym razie jestem ładniejsza od Olki - śmiech Joluski coraz bardziej obrażony - prawda, Tadziu?

- Prawda. Jolusko. Olka ma nogi prostowane na becze! - głos rycerza przerywany śmiechem.

- A ja wam powiem: każda stwora znajdzie swego amatora! - to Magłowa. Aż syczy: - I powiem wam jeszcze jedno: oni się mają ku sobie; Dobrana z nich będzie para: Kozubski ryży i w bocyklach, a Olka na swoich pałkach.

- Cha. cha, cha! Jak ja ciebie jednak lubię. Magłowa! jak lubię! - śmiech Krystyny jest wyniosły i niesamowicie jadowity. - A to dobre! każda stwora amatora!

- Cha, cha. cha!

Ich śmiech przemieszał się z krokami wchodzących do szatni, cha. cha cha. rozległo się od jednego końca do drugiego, stwora amatora, nogi na becze prostowane, czyje? czyje? powiedzcie. Aaa! Marciniakówny! No fakt, na becze! cha. cha! Dlatego Olka zawsze w spodniach, cha, cha. cha. myśli, że nie widać, jakie ma pałaki, cha, cha! A w kim ona się kocha? W tym ryżym od was? Kozubskim? Cha, cha, cha! I nie było już kropelki słonej, była tylko dojmująca, zimna, głucha nienawiść. Do wszystkich. A zwłaszcza do Kozubskiego.

- Matula! .Skocz po pączek - polecił Maciek tonem nieznoszącym sprzeciwu. I spojrzął w kierunku oślej ławki, przy której składał swoje książki Kozubski.

Matula prosząco-unizonym głosem zajęczał: ależ Maciusiu! to krótka przerwa! nie zdążę obrócić!

- To wynajmij helikopter. Pączka mi się zachciało, rozumiesz?!

- Oła, powiedz mu coś. temu Komornickiemu - odezwała się półgłosem Malwina - przecież on nie może aż tak pomiatać Matulą.

- Sama mu powiedz!

- Matula! za co ci płacę? Mam ochotę na pączek! - Maciek zwrócił się rozkazująco do Matuli, lecz



cały czas patrzył na Kozubskiego. A więc pod Kozubskiego ta zagrywka z pączkiem. Prowokuje go do draki. Chce mi udowodnić, pomyślała, że Kozubski też jest szmata jak Matula. Jak Dudek. Jak Tadek. Jak Joluska. Jak my. Ciekawe, bardzo ciekawe, co teraz zrobi Kozubski? Da się podpuścić?

Tymczasem Kozubski najspokojniej w świecie chuchał na swoje bicykle, udając, że niczego nie słyszy, niczego nie zauważa.

- Maciek, na dużej skoczę po dziesięć pączków-jęczał Matula. - Baldachim zapowiedział kartkówkę, nie mogę się spóźnić na lekcję z Baldachimem, przecież wiesz...

Wszyscy wiedzieli. Baldachim nie życzył sobie najmniejszych objawów lekceważenia. A za takowe uważał nawet minutowe spóźnienie na swoją lekcję. Proszę, mówił, możecie się spóźniać na wszystkie lekcje, ale nie na moje wykłady! Wypraszam sobie! Nie życzę sobie! Nie pozwalam! Będę tępił bezwzględnie, ostrzegam! Czy wiecie, że proponowano mi asystenturę na Uniwersytecie Warszawskim?

Powinni byli ochrzcić go Asystentem, a nie Baldachimem. Czy wyobrażacie sobie, że byle komu proponowano by asystenturę? Nie, jakżeby nawet śmieli popełnić podobny nietakt; wstrzymywali więc oddechy, aby nie ryknąć śmiechem. Czasem ktoś kichnął, a Baldachim już uznawał to za dowód lekceważenia jego wykładu, tytułu naukowego i niedoszej asystentury. Wszystkowiedząca Magłowa opowiadała zresztą, że Baldachim nie studiował na żadnym Uniwersytecie Warszawskim, lecz w jego białostockiej filii, i to zaocznie. No, ale tytuł magistra miała jeszcze tylko Kwaśniewska, toteż Baldachim czuł się wywyższony ponad resztę grona nauczycielskiego. Za spóźnienia i kichnięcia, za zbyt głośne zamknięcie podręcznika walił okazałe gole, prosto do dziennika. Ja nie muszę wyklądać w takim Orzelsku, podkreślał często. Dawał im tym samym do zrozumienia, że wszystkie uniwersytety wprost czyhają, aby go porwać.

- Maciek, ulituj się-błagał Matula.

- Aport, Matula, aport. Opłaci się. Trzymaj, cała stówka za jeden pączek, reszty nie trzeba. Przecież cię znam. Zawsze ci chodzi o spadziochę. Ty nic za darmo.

Matula zajęczał, ale wybiegł.

Kozubski przecierał teraz flanelką swoje bicykle. Zupełnie obojętnie. Jakby był sam, nie w klasie, lecz na bezludnej wyspie, pod kokosową palmą. Poczula rozczarowanie: a jednak ostentacyjna obojętność nie pasowała do wspaniałości Kozubskiego. Draki nie będzie, pomyślała. On jest zwykłym tchórzem. Nie zamierza zająć żadnego stanowiska. Nie myśli się opowiedzieć ani za, ani przeciw.

~ A kto mi zanieś torbę? - rzucił wyzywająco Maciek.

~ Ty, Komornicki, nie za wiele sobie pozwalasz?-zaczerwienił się Tadek, który pewno myślał, że Maciek pije do niego.

- Chciałbyś, co? ale z takimi jak ty skończyłem definitywnie - oznajmił Maciek podniesionym

głosem.

Dudek pochylił się niżej nad zeszytem do fizy. Tak nisko, że chyba wkuwał nosem.

- Prominencki hrabio! czy byłbyś tak uprzejmy? - Maciek przeszedł do bezpośredniego natarcia.
- O co ci chodzi? - zapytał spokojnie Kozubski.
- A o to! - wypalił Maciek i zdrową ręką przerzucił torbę wprost na ośłą ławkę.

Zrobiło się cicho. Dudek uniósł łeb znad zeszytu. Zapatrzył się w Kozubskiego. Wszyscy zapatrzyli się w Kozubskiego.

- Przykro mi, ale nie będę aż tak uprzejmy! - powiedział Kozubski. - Nie jestem lokajem.

I założył doczyszczony bicycle na nos. Zamierzał wyjść z ławki, lecz Maciek okazał się szybszy, zagroził przejście.

- Przepuść, Komornicki.

Głucha cisza. Tylko zza drzwi wrzaski: pośpieszcie się tam. do jasnej anielenki! Wyłazić wreszcie! Zmiana warty!

- Ja popilnuję drzwi, Maciek.

To Dudek. Nagle zauważył istnienie Komornickiego, do którego nie odzywał się ponad miesiąc. Wyskoczył z ławki, podbiegł do drzwi, wychylił głowę, zawołał stłumionym głosem: czekać tam. facety! nie pchać się, matki! My tu mamy coś ważnego do załatwienia!

Dlaczego akurat Dudek? Spojrzała na jego nagle przybladłą, przykurczoną twarz, w której usta były mocno zaciśnięte: ze złości czy z nienawiści? Do kogo? Do Maćka czy do Kozubskiego? Za co jednak do Kozubskiego? Co mu Kozubski zrobił?

Jak cicho.

I Tadek też napięty. Też jakby z nienawiścią wpatruje się w Kozubskiego. I Joluska... I Matula... A ja?, pomyślała. Dlaczego tak cicho? Dlaczego tak sucho w ustach?

- Co wam? co wam?-powtarzała Malwina. Ta ciamciamcia nie skapowała się, co tu teraz jest grane. Malwina, ciepłe kluski. Przyszła tylko raz na party u Komornickiego, postąpiła, pokręciła się i wyszła. Ciekawe. a gdyby Komornicki dokooptował Malwinę do swojego ścisłego Parnasu czy dałaby się przekupić? drinkiem? fajką? Nie, Malwina nie. Ona też; jak Kozubski, jest inna. Lepsza.

Bardzo, bardzo sucho w ustach. Czy Dudkowi też tak sucho? Podpierał drzwi potężnym, muskularnym barem, zwałami trenowanych mięśni, przełykał raz po raz ślinę: grdyka w jego silnej szyi chodziła niczym podskakująca piłeczka pingpongowa.

- Przepuść!

Komornicki nawet nie drgnął. Kozubski, żeby przejść, musi go albo popchnąć, albo sięgnąć po jego torbę. Innego wyjścia nie ma.

- Przepuść, mówię ci! Sahara w ustach, wody, wody!

- Musisz mnie walnąć, inaczej cię nie przepuszczę - powiedział Maciek. Rzęsy utworzyły puszystą zasłonę, drżały ironicznie. - Albo torba, Kozubski. I zdecyduj się prędeż. Nie widzisz, że ludzie czekają? Nie będziemy się tak kiwać naprzeciwko siebie w nieskończoność.

- To nie jest fair. Komornicki!

- A czy ja twierdzę, że fair, hrabio? - rzęsy Maćka stuliły się jeszcze bardziej. - Ale racja, hrabio, wiem, czego oczekujesz. Matuli płacę brudasza miesięcznie za noszenie torby. Wszyscy tu znają moją stawkę. Wielu by się z Matulą chętnie zamieniło. Racja, panowie?

- Zawsze byłeś nadzianym zielonymi gnojem, Komornicki! - rzucił od drzwi przez zaciśnięte zęby Dudek. Ale wciąż podpierał drzwi ramieniem, nie wpuszczając tamtych z korytarza, pokrzykujących gromko: a co tam urządzacie za nasiadówki!?

- Słyszałeś miejscowego osiłka, hrabio? - zakpił Maciek, lecz i on przybladł. - Zielonych akurat przy sobie nie mam - ciągnął w przejmującej ciszy, w spiekocie wysuszającej usta, gardła, krtanie - myślę jednak, hrabio, że za tak skromną usługę jak zanieśenie mojej torby do pracowni Baldachima brudas ci powinien wystarczyć... - poszperał w kieszeni, wyciągnął garść zmiętych banknotów. - Matuli płacę brudasza na cały miesiąc, tobie, hrabio, boś prominent, ofiarowuję brudasza za jedno podejście.

Kozubski zastygł. Piegi na jego twarzy płonęły.

- Widzicie go, jak się ceni! Za mało proponuję, hrabio? Znaj gest, niech będą dwa brudaszy. Za dwa, hrabio, zanieśiesz?

Cisza, cisza. Piegi jak cętki krwi na twarzy Kozubskiego, szyderyczy trzepot rzęs Maćka, ciężki oddech Dudka, jakby Dudek się z kimś pasował, zmagał. Weźmie czy nie? Musi wziąć, aż dwa brudaszy, cały patol! Byłby frajerem, dzikim, gdyby nie wziął, nie skorzystał z frajerskiego szmalu. Wziąć, zanieść torbę, a później potraktować to jako żart, i już się wychodzi z honorem, i po ptakach: jeżeli głupek chce płacić, to niech płaci, co za szmatławy głupek z tego Maćka, podlec! O czym ja myślę?, przestraszyła się, a w ustach sucho, gorąco. Kozubski wysunął rękę. Więc jednak taki sam. Nie inny. Ktoś głupio zarechotał.

Uśmiech Komornickiego był niemy, sam uśmiech tylko, nic więcej. Rzęsy się rozchyliły szeroko i szyderyczy błysk oczu wystrzelił ku niej. dopadł. zakłuł, jakby wołając: no i co. Olka, kto miał rację? Tak, tak Olka. pieniądz to jest to, nie ma silnych.

Ręka Kozubskiego już ujęła banknoty. I oto druga dłoń dołączyła się, teraz obie składają te papierki, równo, dokładnie, pieśczośliwie. Cisza, cisza, w której wyraźnie słycać sapanie Dudka. Kozubski, zwykła szmata. Co za wspaniała ulga. Palce stulonych na banknotach dłoni Kozubskiego wykonały kilka szybkich ruchów; o, Boże, a co to? co to? I deszcz drobnych strzępków opadł bezszelestnie na twarz Maćka. Z

czego tam jakiś baran się śmieje? Kozubski chwycił torbę Maćka.

- Odsuń się teraz, Komornicki. Zapłaciłeś mi, więc zaniosę! - odezwał się bardzo opanowanym, zbyt opanowanym głosem Kozubski.

Ostatni strzępek zleciał z policzka Maćka. Maciek pochwycił ustami powietrze, jakby się dusił.

- No, Komornicki, przepuść. Nie ponizaj się aż tak bardzo. Dudek puścił drzwi. Odchodził od nich powoli, z opuszczoną głową.

Kaleka ręka Maćka zadyndała rozpaczliwie, bezradnie, jakby chcąc się czegoś uchwycić.

- Ja się ponizam, hrabio? ja? ja? Kto tu się poniża, co? hrabio, przecież widziałeś Matulę, jak podyrdał w te pędy na jedno moje skinienie za marną resztę z marnej stówy! A żebyś ty, hrabio, widział tego osiłka, Kaczmarka, jak wystawił swój tyłek do nakopania za jedyne dwadzieścia dolców!

Przez uwolnione drzwi zaczęła się wlewać czereda trzecioklasistów. Maciek krzyknął:

- A ich, tych wszystkich tu, dla których raz na miesiąc wydawałem party! żebyś ty ich widział, hrabio! Każdego z nich można kupić za mniej, hrabio! I kto się tu poniża? co? kto?

Tłum trzecioklasistów porwał Kozubskiego, potracił Maćka, przewalił ośłą ławkę. Wychodź! Wynosić się, do diabła z wami!, krzyczeli nowo przybyli.

- O Boże. Ola - odezwała się znowu Malwina - spójrz na Dudka. Ale ona nie musiała patrzeć na Dudka. Wiedziała, jak teraz wygląda Dudek. Że na próżno usiłuje przełknąć zaschłą ślinę, że w ustach ma piekącą gorycz. Co z tym cholernym gardłem? Dlaczego aż tak piecze?

- Boże, Ola - odezwała się znowu Malwina - a Komornicki... jak on patrzy na Kozubskiego...

Ale ona wiedziała, w jaki sposób Komornicki, popychany przez tłum, patrzy na popychanego Kozubskiego. Maciek, który postawił wszystko na jedną kartę i przegrał tak bezwzględnie, może patrzeć na Kozubskiego tylko z nienawiścią.

- Co ty? leżysz?

- Głowa mnie boli, tato.

- Pokaż... zimna-ojciec odetchnął z ulgą, jego niepokój natychmiast minął. - Obiad jest?

- Nie ma.

- Jak to: nie ma?

- Zwyczajnie. Nie ma i już. Usmaż sobie jajecznicę.

- No wiesz! - obruszył się ojciec. Ale fakt, że obiadu nie ma, zaczyna go napełniać obawami: jakieś kłopoty w szkole? nieprzyjemności? draka?

- Żadnej draki nie było. Po prostu boli mnie głowa. Czy to tak trudno zrozumieć? Czy tylko ty masz prawo do bólu głowy? Mnie nie wolno? Za

wielki luksus?

- Olka! Żaden ból głowy nie upoważnia do arogancji.

- Tato, zobacz, czy nie ma ciebie za drzwiami!

- Olka! Jak śmiesz! /

- O, Boże! Już dobrze! - jest wręcz nieprzytomna z gniewu, ma dość wszystkiego: obiadów, garnków, sprzątanina, ojca również; nie jest robolem, nie chce nim być, nie ma zamiaru potulnie zgadzać się na wszystko, ale jak się zbuntować? Nawet zbuntować się nie można, sama przecież narzuciła tę grę sobie i ojcu. - Dobra! dobra! tylko nie wrzeszcz na mnie, nie pozwalam na siebie wrzeszczeć, nie jestem matką, która tańczyła tak, jak jej zagrałeś. Zaraz ci walnę jajecznicę z pięciu jaj, z dziesięciu jaj, z dwudziestu, całą kopę ci usmażę i będziesz miał swoją pychę; pycha, pycha, mniem, mniem, i najesz się, i zatkaś się, legniesz po swojej ciężkiej pracy na tapczanie, zachrapiesz i będziesz chrapał, chrapał, o! jak ty potrafisz chrapać! A potem, kiedy się już wychrapiesz, wstaniesz łaskawie i zaczniesz ziewać, drapać się; coś bym zjadł, Olunia, wrzucił na ruszt, Olunia!

Ojciec aż się cofnął, patrzy na nią, siniejąc z gniewu.

- Zamknij się, bo cię uderzę!

- Uderz. Czy mamę też przyuczałeś do posłuszeństwa biciem? Ojcu z wrażenia opadła szczęka. I on sam opadł na najbliższe krzesło]

- Co za dziewczucha, co za dziewczucha - powtórzył.

Nie należało tego mówić. Bo przecież chce go kochać, tego swojego ojca, i musi wierzyć, że kiedyś, dawno temu wymagał od życia czegoś więcej niż pieczeni wołowej, mniem, mniem, pycha, pycha.

- Przepraszam, tato...

- A idź ty ze swoimi przeprosinami! - ojciec poderwał się z krzesła. - I dziękuję ci pięknie za jajecznicę! Chybaby mi w gardle stanęła! Wychodzę! Idę do knajpy na obiad! Czy na kolację też będę musiał iść do knajpy? Powiedz od razu, gówniario?

- Tato...

Lecz już go nie ma. Tylko drzwi załomotały. Głowa boli. I czemu znów kropelka u warg słońca? A, do diabła z głową, łzami, głupim ojcem! A niech sobie zje dziś w knajpie!, myśli, kładzie się, zaraz się zrywa; do diabła! nie uleżę, coś muszę robić, ale co? Uczyć się nie da rady, bo ta piekielna głowa... Pójść do

kogoś? Do Malwiny? Nie, za żadne skarby do Malwiny, tej poczciwej dobroci, Malwina do końca zajęć gadała o Kozubskim, że Kozubski jest cudowny, porywający, dał nauczkę Komornickiemu, ale i Maćka też żał, ja ktoś by mu trzeba pomóc; Ola, on się miota, on jest nieszczęśliwy, Ola, on się zaplątał, Ola, on jest w gruncie rzeczy zupełnie sam, wyobcowany Ola, a Kozubski, Ola, to też jest biedny, bo jak my go traktujemy? Skończona idiotka; wiesz co, Malwina, powiedziała do niej, ty im zafunduj po wczesnym pomidorasku ze szklarni, rozdziel jałmużnę, bo według ciebie jeden biedny i drugi biedny! I wiesz co, Malwina? ty razem z twoim starym jesteście parą głupców! Bo to nieprawda, Malwina, że ludzie są dobrzy! Nie ma dobrych ludzi! Trzeba być ostatnim idiotą, aby w coś takiego wierzyć! Poczciwe oczy Malwiny natychmiast wypełniły się łzami: ale Ola, co tobie? I za co ty tak, za co? Ach, odczep się ode mnie, Malwina, spłyn, niech na ciebie nie patrzę! Ach, wszystkich waliłaby dzisiaj, wszystkich po kolei, bo tak krótko trwała ta chwila ponurej, zapiekłej satysfakcji, kiedy łapa Kozubskiego przyjęła brudasy. Już wydawało się, że ta łapa nie jest ani lepsza, ani wspanialsza, lecz tak samo jak inne łapy łasa na forszę, gotowa za forszę do uległości. A okazało się, że jednak jest wspanialsza, lepsza i nieuległa, i wcale nie łasa na forszę. I tym bardziej chciało się głupio, beznadziejnie głupio, idiotycznie, kretyńsko tak czołem swoim o jego czoło, i nic więcej, czołem o czoło, i jeszcze powiedzieć: Łukasz. I ty masz dobre, łagodne imię: Łukasz. Posłuchaj, Ola, ja wiem, że ty nie jesteś zła, tylko nerwowa, znów zaczęła Malwina, i ja myślę, że Kozubski... Ja go czniam, tego twojego Kozubskiego!, wrzasnęła Malwinie prosto do ucha. J a go... J a na niego patrzeć po prostu nie mogę! Takie masz ładne, dobre, łagodne imię: Łukasz. Łukasz... Poczytać knięgę? Ale głowa boli, pęka. Musi jednak coś zrobić, bo przyjdzie się wściec. Sztućce wyczyścić. Świetne, uspokajające zajęcie. W sam raz na stargane nerwy. Myśleć nie trzeba, a ręce zajęte. Szmątka, pasta do zębów, czyścimy. Nie myślimy o żadnym Łukaszu. Myślenie nie ma najmniejszej przyszłości. Kto powiedział, że ma przyszłość? Najlepiej żyje się tym, co nie myślą, lecz żują. Żują, żują, później strawią, co przeżuli, i mogą żuć od początku. I tak na okrągło. Czoło o czoło. Nic więcej.

Każda stwora znajdzie swego amatora. Boże, co za świnia z tej Maglowej! A tak się naprzykrzała, tak nadskakiwała, tak oferowała swoją przyjaźń. Jeżeli jutro Maglowa ośmieli się czekać pod budką Zientarowej, to ją zwyczajnie opluje. Malwinę, jeżeli jeszcze raz ośmieli się roztkliwiać nad Kozubskim, też należy po prostu opluć... Nie. Malwiny nie. Jednej Malwiny nie.

Ze wszystkich znanych osób Malwina i jej ojciec są coś warci. A opluwanie trzeba zacząć od siebie.

Szarpnięta szuflada wali się na podłogę, uderza w stopę. Brzękają widelce, noże, łyżki, łyżeczki. Do diabła! ale zabołało!

Co tam jest?

Przede wszystkim dziura - puste miejsce po szufladzie. A w tej dziurze leży papierowa teczka, zwykła, szara, z tasiemką związaną na kokardkę. Rozdeptuje noże, widelce, potyka się na łyżce.

Jeszcze jedno schowanko matki. Ogląda je uważnie. Nic nadzwyczajnego, żadne drugie, tajemne dno. Gdyby sprzątała porządnie, dawno by już odkryła zawartość schowanka. Ale po co wyciągać szufladę, jeśli wystarczy ją opróżnić i wsunąwszy dłoń ze szmatką, wytrzeć wszystkie cztery rogi, w których lubi gromadzić się kurz?

To jest stary, przedpotopowy kredens. Ma cztery szuflady. Jedną nad drugą. W tej najwyższej chowa się manele, które nie są potrzebne na co dzień: wałek do ciasta, tłuczki, sprężynki do weków, gumki i takie drobiazgi. W drugiej szufladzie są tylko sztucce. Między drugą a trzecią szufladą jest coś w rodzaju ozdobnej listewki. Ta listewka miała kiedyś rzeźbienia, podobne były i na szufladach, lecz poodpadały, zostały po nich wklęsłe, chropowate ślady, pomalowane na biało.

Zwykłe, najzwyklejsze schowanko. I mąż. i córka mogli je w każdej chwili odkryć. Ale oni nie wiedzieli nawet, co w której szufladzie matka trzyma, nie musieli wiedzieć: ich domowy robot podawał, sprzątał, zmywał, szorował, zawsze gotowy do usług. Więc ta niby-listewka to nie listewka. ale wysuwana, podręczna półeczka, blacik, diabli zresztą wiedzą co. Może służyła jakiejś pani domu do siekania koperku lub pietruszki? Zresztą, czy to teraz ważne, do czego służyła owa półeczka lub blacik? Matce posłużyła za kolejne schowanko.

Ojciec miał swoją szufladę w biurku, zamykał ją ostentacyjnie na klucz. Strzegł swoich tajemnic, do których nie powinien mieć dostępu nikt niepowołany, nikt obcy. Kto był dla ojca tym kimś niepowołanym, obcym? Mnie album pokazywał...

A matka tu, za listewką, bez zamykania na klucz, składała swoje tajemnice. Proste. Ale jakże cwane jednocześnie! Jak wszystkie schowanka domowego robota. Wsunąć szufladę na miejsce i już nic-jedynie listewka. Kto by tam pociągał za głupią listewkę!

Dlaczego zaraz: cwane? Zwyczajne miejsce w zwyczajnym kuchennym kredensie. Gdzie każdy mógłby zajrzeć, gdyby się tylko zainteresował czymś więcej niż swoją osobą.

W królestwie robota, moja mamó. miałaś po prostu własną szufladę. Każdy człowiek ma prawo do własnej szuflady. ...Do której się przez lata składa nie używane już portfele, wygaste kwity, wizytówki, resztki żarówki, ćwierć-ołówki... Przypominając sobie ten fragment z Tuwima, uśmiechnęła się przez łzy: ...Słowem, wiesz, jaka to szuflada... A gdy jej wewnątrz dobrze zbadasz, znajdziesz tam małe zasuszone serce twe, w gratach zagubione...

Czy odnajdę je tu. mamó?, pomyślała. Starła z warg i oczu słoność. Rozejrzała się po królestwie kuchennym. Najpierw trzeba pozbierać z podłogi rozsypane sztucce. Odnieść pastę do łazienki. Przepłukać ściereczkę- Matka lubiła ład. Niech więc będzie dokoła porządnie i czysto, godnie, zanim zajrzy do tej szuflady swojej matki.

Najpierw jest zdjęcie.

Dziewczyna przy boku młodego mężczyzny. Stoją oboje na schodkach jakiegoś budynku. Dziewczyna jest w letniej sukience i chyba wieje wiatr, gdyż sukienka lekko się wydyma koło nóg. Mężczyzna ma rozpięty kołnierzyk przy jasnej koszuli, zawinięte do łokci rękawy - musi być bardzo ciepło. Nie trzymają się za ręce ani pod rękę. I nie patrzą na siebie. Patrzą w to, co jest przed nimi. Na pewno świeci im prosto

w twarz jaskrawe słońce, ponieważ oboje mają przymrużone oczy. A może jednak nie ma słońca? Może patrzą tak przymrużonymi oczami, aby lepiej zobaczyć to, co przed nimi? Uśmiechają się. Może do słońca? A może do tego, co widzą przed sobą? Nad czołem dziewczyny burza pszennych włosów. W opuszczonej dłoni mały, skromny bukiet. Taki, jaki jeszcze i teraz można tanio kupić u sprzedającej wiosenne kwiaty starej Tomczykowej.

Co to za kwiatki? Ledwo odcinają się jaśniejszą bielą od sukienki. Nie do rozpoznania na fotografii. Dawno zwiędły. Dawno ich nie ma.

Co to za budynek? Ujęty przez ulicznego fotografa? Czy przez kolegę młodego mężczyzny? Widać, że ten budynek jest okazały, duży, z szerokimi schodami, które się w całości na zdjęciu nie mieszczą. Tak, ten fotograf musiał być amatorem.

Ulica, której fragment widać na tym sfuszerowanym zdjęciu, też jest okazała: szeroka jezdnia, tył autobusu, jakiś samochód przecięty w pół.

Na odwrocie zdjęcia napisano drobnymi, pochylonymi literkami: tysiąc dziewięćset sześćdziesiąt sześć. Dziesiąty maja. W samo południe.

To nie jest charakter pisma ojca. Pismo ojca jest zamaszyste, pewne siebie, prawie buńczuczne. Obiad jest?

Ach, jest, jest! Ale co ta matka nawyprawiała! przemeblowała klitkę! wyrzuciła ją dosłownie do góry nogami! Nic nie stoi na swoim miejscu Poza jednym tapczanem. Wersalka wepchnięta aż za szafę, do części kuchennej klitki, skrzynia z opałem wysunięta na schody, inaczej by się tu Przy kuchni nie zmieściła wersalka; stolik i jakaś paka niewiadomego pochodzenia, widocznie pożyczona od sąsiadki z dołu, tworzą przed tapczanem coś w rodzaju stołu nakrytego porządnie białą serwetą. Talerze na

trzy osoby. Półmiski, salaterki, a pomiędzy nimi w małej miseczce pływa bukiet stokrotek. Butelka czerwonego wina. Kieliszki przed talerzami. Baranieją oboje. I mąż, i córka. A co to za święto, matka? I frytki, i pieczeń wołowa? Tort upiekłaś? w powszedni dzień? Wino kupiłaś? Wygrałaś w totolotka? Ojciec mimo znakomitych zapachów, bijących z tego zaimprovizowanego stołu, zacisnął gniewnie usta. Co ci znowu odbiło, matka? Kto będzie później szurał gratami? Ty masz jednak krzepę, no, ruszyć wersalkę, przepchnąć ją po tych spróchniałych dechach, mogłabyś zdaje się zapasy uprawiać, matka, a ty, wnosząc na górę dwa wiadra wody co rano, sapiasz tak, że nas z Olką budzisz! Ojciec, ciągle zły, wciska się za ten uroczysty stół, siada; ty masz pomysły, matka, mówi już łagodniej. Nie potrafi się jednak oprzeć zapachowi pieczeni ani urokowi lekko zbrązowiałych, chrupiących frytek. Nabiera łąpczywie na talerz duże porcje. Co za aromat, ty, matka, jak nikt na świecie potrafisz upiec wołowinę, żeby była i soczysta, i zarazem krucha, pycha, pycha.

Czy matka pochylała wtedy głowę z przepaszającym uśmiechem. Lecz matki nie potrafi sobie przypomnieć. Pamięta stół, biały obrus, miseczkę ze stokrotkami, nawet smak cierpkiego wina, gdyż ojciec już przy drugiej dokładce pieczeni całkowicie się udobruchał i pozwolił nalać małoletniej córce wina, a ono było mocno czerwone i cierpkawe, nie smakowało; tak dokładnie wszystko pamięta, tylko



matki - nie.

Poza winem, reszta pycha! pycha! Frytki, mięsko i ten tort. wspaniały tort makowy, przełożony obficie kremem cytrynowym, tort, który matka piekła dotąd jedynie raz do roku, na święta wielkanocne. Pamięta smak tego tortu, niepowtarzalny, wyjątkowy i siebie wołającą: co za tort! Tato, prawda, że pycha, tato? Pękam w szwach, ale jeszcze jeden kawałek tortu muszę, bo pycha! pycha! A matki wciąż nie może sobie przypomnieć. Jakby matki tam nie było. Tysiąc dziewięćset sześćdziesiąt sześć. Dziesiąty maja. W samo południe. Miseczka ze stokrotkami, więc także maj. Czy dziesiąty? Która to mogła być rocznica ich ślubu? Jakaś ważna. Okrągła. Taka, którą powinno się pamiętać. I uczcić. Która?

A może to zdjęcie wcale nie jest od ślubu? Czy to na pewno panna młoda? Czy to na pewno pan młody? Są ubrani tak zwyczajnie, on nawet bez marynarki, ona co prawda w jasnej sukience, ale czy to biała sukienka? Bukiecik też nie wygląda na ślubny bukiet. Znając babkę Józefę i jej: czy odmawiasz paciorek, Aleksandro? Czy nie opuszczasz lekcji religii?

Należałoby tę parę sfotografować na tle masywu kościoła lub pokornie klęczącą przed głównym ołtarzem w strojach odpowiednich do okoliczności: welony, tiule, czarne garnitury, krawaty, bukiety z róż czy goździków.

Pobłogosław, Panie, twoje hojne dary... Czy pozwolisz, Jerzy, że sprezentuję Aleksandrze złoty krzyżyk? Mam nadzieję, że jej matka... Ależ, mam! bardzo cię proszę... Tak, tak, Jerzy, oczywiście. To jest jednak złoto, prawdziwe, najwyższej próby. Popatrz, Aleksandro, dotknij, to jest złoto. Ten krzyżyk tatuś ci schowa w jakieś pewne miejsce, ponieważ twoja matka, Aleksandro... Mamo! ja naprawdę bardzo cię proszę! Rozumiem Jerzy, ale ten krzyżyk jest wiele wart. Dlatego schowasz go w pewnym miejscu, żeby nie wpadł w niepowołane ręce. A gdy Aleksandra będzie już samodzielna...

Niepowołane ręce. Czyje to były te niepowołane ręce, babciu Józefo? Z jakiego powodu odepchnęłaś je od siebie? Bo były sieroce? wychowane przez przytułek?

Dlaczego babcia nas nie odwiedza, tato? Gdyż mieszka zbyt daleko. Oluniu. To dlaczego my się do niej nie przeprowadzimy, tato? Babcia ma taki wielki, pusty dom, a nasze mieszkanie jest ciasną klitką, za ciasną nawet dla trzech osób. O tym porozmawiamy, Olunia. kiedy będziesz w stanie to zrozumieć.

Ale to nie odległość dzieliła nasze domy. To zapiekła niechęć, może nienawiść babki Józefy do tej smukłej dziewczyny o pszennych i bujnych włosach. On, Jerzy, syn przedwojennego oficera, popełnił mezalians, zawiódł pokładane w nim nadzieje, wybrał sobie na towarzyszkę życia dziewczynę, którą wychował Państwowy Dom Dziecka w Zalesiu, bez rodowodu, bez majątku; i może nawet ta wybranka nie potrafi się przeżegnać? nie umie się modlić? Bo jak ją mógł wychować jakiś komunistyczny przytułek? Aleksandro, odmów „Ojcze nasz...” Ojcze nasz, któryś jest w niebie... Bardzo ładnie, Aleksandro, bardzo ładnie. A kto cię. Aleksandro, nauczył modlitwy? Mama czy tatuś? Tatuś, babciu... Tak myślałam, Aleksandro, że tatuś, ponieważ twoja matka... Mamo! proszę cię! Nie Przy dziecku! Oczywiście, Jerzy, masz rację, nie przy dziecku...

Więc chyba już rozumiem wszystko, tato, mówi, odkładając zdjęcie, na którym drobna, pszennowłosa

dziewczyna i stojący przy niej młody, wysoki mężczyzna mrużą oczy, patrząc w swoją przyszłość. Uśmiechają się. oboje z nadzieją.

\*

W szarej teczce kilka szpargałów. Świadectwo maturalne: Maria Jarząbek; język polski: bardzo dobry, historia: bardzo dobry, geografia: bardzo dobry, język rosyjski: dobry, język angielski: dobry, matematyka dostateczny, fizyka: dostateczny.

Zaświadczenie: Niniejszym zaświadcza się, że Maria Jarząbek pracowała w Bibliotece Miejskiej w Zalesiu w okresie od 1963 do 1966 roku. Zaświadczenie wydaje się na prośbę zainteresowanej celem przedłożenia odpowiednim władzom.

Opinia: Ob. Maria Jarząbek wykazała się... solidną... Podkreśla się, że ob. Maria Jarząbek była zdyscyplinowana, przy bibliotece prowadziła ożywioną działalność... umiejętności organizacyjne ob. Marii Jarząbek...

Metryka ślubu: Maria Jarząbek, Jerzy Marciniak, syn Józefy i Tadeusza. Urząd Stanu Cywilnego, Olsztyn, 10 V 1966 r. Nie napisano, że w samo południe.

Olsztyn? Dlaczego tam? a nie w tym Zalesiu, gdzie matka po zdaniu matury pracowała w bibliotece?

\*" Olsztyn. Ojciec studiował w Olsztynie rolnictwo. Opowiadał czasem o tym pięknym mieście otoczonym lasami i jeziorami. Wywalili go pod koniec studiów z wilczym biletem. Za to, że nie wziął udziału w pochodzie pierwszomajowym. Tak, tak, Oluniu, tylko za to, zapamiętaj dobrze za co. Pokazywał indeks. Miał całkiem niezłe wyniki, był zdolny, zapowiadał się świetnie. Przez dwie stroniczki w indeksie, na ukos biegł podłużny, fioletowy stempel: skreślony z listy studentów. Pod stemplem dopisek ręczny: nie stawiał się na egzaminy w sesji letniej. A pod tym dopiskiem jeszcze jeden - lapidarny, ostry, nieomal brutalny: skreślał! - i podpis: nazwisko nieczytelne. Dalej kolejna pieczętka: prodziekan do spraw naukowych, prof. dr hab. i znowu w pieczętce rozmazane, nieczytelne nazwisko owego prof. dra hab., drania, który wywalił za nieobecność w pochodzie. Na dole stroniczki data: 24 X 1966 r. Listów od ojca skąpo. Tylko dwa.

Na pierwszej kopercie adresat: Maria Jarząbek, Zalesie, Konopnickiej 6. Nadawca: Jerzy Marciniak, Daleszyce. „Kochana moja Marylko. Niczego nie wskórałem, mama jest jak skała - nie do skruszenia, twierdzi, że żeniąc się z tobą, łamię jej życie, przekreślam wszystkie nadzieje, nie przejmuj się tym, w końcu przecież da się do ciebie przekonać, a jak nie, to i tak świat jest wielki, należy do nas i nie kończy się na Daleszycach. Poradzimy sobie tak czy siak. Ufaj mi, Marylko. Stąd, od mamy jadę wprost do Olsztyna, zamawiam najbliższy termin ze wszystkich możliwych w Urzędzie Stanu, naszą ucztę weselną wyprawimy w moim akademiku, a Jacek porobi nam trochę zdjęć, i będziemy już odtąd zawsze razem. Kocham cię tak bardzo. Tak bardzo cię potrzebuję. Twój Jurek. Daleszyce, 15 IV 1966".

Tak - bardzo - bardzo - kocham - cię - tak - bardzo - potrzebuje - cię!...Palce matki wplątane we włosy intymnie, gwałtownie, boleśnie, targająco. ..patrzę -na drzwi! - czy - przyjdzie - ktoś -od- ciebie? - czy - przyjdiesz - ty! - Czy - wiesz - że gdy - odchodzisz - umieram - dziewięć-razy...

Adresat: Maria Marciniak. Zalesie. Konopnickiej 6. „Kochana moja Marylko, pewno się już martwiłaś, że tak długo nie piszę, ale objechałem szmat tego zakichanego kraju. Roboty na kopy, tylko wszędzie brak mieszkań. Proponują mi hotele robotnicze. Dopiero tu, w Orzelsku, dziurze nieprawdopodobnej, dają mi mieszkanie i stanowisko instruktora w gminie. Nie jest to na miarę moich możliwości ani tym bardziej ambicji, być instruktorkiem rolnym w zakichanej gminie, nie o takiej pracy ani o takim starcie życiowym dla siebie marzyłem, lecz powiada się trudno i karawana idzie dalej - od czegoś trzeba zaczynać, a najważniejsze jest to mieszkanie. Marylko! kochana moja, to mieszkanie ma zaledwie dwanaście metrów kwadratowych i żadnych wygód, ale my przecież jesteśmy młodzi, silni, kochamy się i wytrzymamy wiele. Najważniejsze, że będziemy na swoim. Więc nie płacz, kochana Marylko, spakuj nasze dwa widelce, dwa talerze, a nie zapomnij o swoim ukochanym patefonie, i czekaj na mnie. Mam tu jeszcze kilka spraw do załatwienia na miejscu, w tym Orzelsku, a potem jadę do Olsztyna, może mi się uda jakoś załatwić z prodziekanem, może mi da urlop dziekański. Sama wiesz, że sesję letnią oblałbym jak amen w pacierzu, więc wolałem się w ogóle nie zgłosić, kto mógł przypuszczać, że zmienią prodziekana na tego biurokratycznego drania, który każe sprawdzać nawet zaświadczenia lekarskie? Jak pech, to pech. Marylko. a takie miałem śliczne zaświadczonko. Jeżeli mi nie udzieli tego urlopu, to pies z nim tańcował, i tak swoje studia ukończę, najwyżej zaocznie, przecież niewiele mi już brakuje, a do końca życia nie mam zamiaru klinować w takiej dziurze jak Orzelsk. Jestem dobrej myśli na przyszłość i ty bądź takiej, kocham cię. całuję mocno, twój Jurek. Orzelsk, 12 X 1966".

I już niczego więcej w teczce nie ma. Ale to, co jest, wystarczy.

Powinna być u warg kropelka słońca. Lecz i kropelki nie ma. Tylko w

oczach pali. Co za głupie uczucie, czy można mieć gorączkę w oczach. Chowa listy i dokumenty do teczki. Sobie zostawia zdjęcie. Chce je

mieć odtąd blisko siebie. Musi na nie znaleźć swoje własne schowanko. Teczkę kładzie na blacik. Jeden ruch i już listwa łączy się z górną i dolną szufladą. Nie ma śladu. Wszystko tak, jak zostawiła matka.

Chrobocze klucz w zamku. Potem łomot w przedpokoju, ojciec o coś się potyka. Klnie: cholera jasna.

- Olka!

Lekko zataczając się wchodzi do jej pokoju. No, popił sobie tego. Oczy mu błyszczą, nochal czerwony.

- Olunia! - rozczulił się ojciec - córeczka moja kochana, biedna, nic nie robi, tylko ślęczy nad książkami, a jaka z niej pierwszorzędną gospodyni...

- Pięś z Banaszakiem?

- Och, kapkę zaledwie, ćwiarteczkę, moja ty kochana - chciałby Ją koniecznie pocałować, cuchnie alkoholem. Odsunęła się od tego swojego podpitego ojca.

- Banaszak to mój prawdziwy przyjaciel, Olunia, postawił od razu pół literka, zagrycha palce lizać, ach, ta Banaszakowa, nikt tak jak ona nie potrafi przyrządzić śledzika pod wódeczkę.

- Idź spać, tato. Tapczan ci posłałam.

- Olunia, co ja bym bez ciebie począł - rozczulenie ojca osiągnęło maksimum, zaczął siorbać nosem.

- No, idź, idź, nie przeszkadzaj.

Ojciec zatoczył się, przystanął w drzwiach.

- A ten Banaszak, cha, cha, cha, mówię ci, Olunia, kawałami jak z rękawa, cha, cha, cha! Przychodzi baba do lekarza, cha, cha, cha, rozbiera się, cha, cha, a lekarz mówi, cha, cha, cha, Oluniu, lekarz mówi: masz babo, placek! Dobrze, co? cha, cha, cha! bo ta baba była płaska jak deska. dobre co, Olunia, cha, cha, cha! Ten Banaszak, cha, cha, cha! Albo tam Olunia, posłuchaj: jaka jest różnica, cha, cha, między maluchem a komunizmem? cha, cha! a taka, Olunia, że w komunizmie możesz wyciągnąć nogi, a w maluchu nie, cha, cha, cha! Dobrze, co? Olunia? Ten Banaszak, cha,cha,cha!

Jeszcze z pokoju wraz z łomotem rzucającego się na tapczan ojca słysząc jego pijackie cha, cha, cha!

patrzy na zdjęcie. To oni. Drobna dziewczyna w burzy pszennych włosów i młody, wysoki mężczyzna. Stoją obok siebie, mrużą oczy, nie wiedzą jeszcze, że czeka ich dwunastometrowa przestrzeń życiowa w grajdole zwanym Orzelsk, jeszcze o niczym nie wiedzą, poza jednym, że w wielkim domu Józefy Marciniak dla nich nie ma miejsca. Ale to dobrze, że jeszcze o niczym nie wiedzą. Dobrze, ponieważ mogą mieć nadzieję. I do tej nadziei uśmiechają się oboje.

Na zdjęciu: dwoje ludzińków, co kochali się w sobie. ... Lecz w ogrodzie szept pierwszy miłosnego wyznania stał się dla nich przymusem do nagłego rozstania. Nie widzieli się długo z czyjejś woli i winy, a czas ciągle upływał - bezpowrotny, jedyny. A gdy zeszli się, dłonie wyciągając po kwiecie, zachorzeeli tak bardzo, jak nikt dotąd na świecie!...

Chyba naprawdę dopiero teraz zaczynam rozumieć Leśmiana, pomyślała, patrząc na tych dwoje ludzińków ze zdjęcia, tak pełnych nadziei w dniu dziesiątym maja w samo południe.

Czy to już cały szyfr do ciebie, mammo?

... Ust ich czerwień zagasła w zimnym śmierci fiolecie, i pobledli tak bardzo, jak nikt dotąd na świecie!...

Obiad jest? Zanieś! Przynieś! Podaj! Sprzątnij! Zrób!

... Chcieli jeszcze się kochać poza własną mogiłą, ale miłość umarła, już miłości nie było...

Ta nasza matka! Jak ona potrafi nam dogodzić! Pycha mięsko, pycha sosik, pycha zupka, pycha torcik!

...Więc sił resztą dotrwali aż do wiosny, do lata. by powrócić na ziemię - lecz nie było już świata.

Pośpieszny, gwałtowny zachód słońca. Szeroko otwarte oczy matki. Ramiona rozłożone do ostatniego lotu. Tak długo, z takim uporem trwała i trwała, tak długo, z takim uporem wierzyła w swój świat, ale jego nie było, nie istniał, więc odeszła.

Sama doskonale wiesz, że to nie zawał, powiedział doktor Barański.

Tak, nie zawał.

Z pokoju ojca dobiega głośne chrapanie. Nie można mieć do niego żalu, że się upił. Upija się naprawdę bardzo rzadko. Trzeba tam zajrzeć. Na pewno porzucił ubranie.

Poszła, pozbierała z dywanu, ułożyła porządknie: kant do kantu, zawiesiła na poręczy krzesła. Koszula przepocona, wyjęła z szafy czystą. Jutro musi koniecznie urządzić pranie. Tak.

Biedny ludzianku, pomyślała, gasząc światło w pokoju ojca.

Zabić ptaka

Zaterkotał budzik. Wokoło ciemność zupełna - dzień jest w drugiej połowie listopada krótki, niechętny ludziom. Zaraz zima. Nawali śniegu, Okropność.

Nienawidzę zimy, pomyślała, biegnąc do łazienki, aby pod prysznicem zmyć resztki snu. Ubrała się pośpiesznie, czas ma przecież rozliczony co do minuty.

Ojciec chrapał. Po wczorajszym ochlaju u Banaszaka będą dziś trudności z budzeniem, pomyślała. Chwyliła siatkę, butelkę, portmonetkę i hajda w ciągle ciemny świat.

Co to? Białe? Napadało przez noc śniegu, pobiełało, rozjaśniło smutek listopadowej szarości.

Bułeczki, mleko, masło, teraz zapłacić. I bieg na przełaj, do domu. Zimno. Biało. Żle.

Dżem, masło, bułeczki na stół. Garnek po mleku zalać wodą. A za oknem ciągle ciemno.

- Tato! wstawaj. Zachrapał, przewrócił się na drugi bok.
- Wstawaj, wstawaj, tato! Ojciec łypnął przekrwionym okiem.
- Pięć minutek, Olunia.
- Wstawaj natychmiast, pijaczku.

Mogła sobie pozwolić na ten epitet. Ojciec za pijaczka nigdy się nie obrażał. Po każdej libacji z Banaszakiem czuł głęboką skruchę, więc się jedynie obruszał, że nie jest żadnym pijackiem, i udowadniał to, wykonując gwałtowny skok z pościeli.

Nie zawiodła się: ojciec już dziarsko prężył pierś, nawet nie ośmielił się ziewnąć.

- Nie upijam się nigdy! - oznajmił wyniośle i puścił się kłusem, choć nieco chwiejnym, do łazienki.
  - Usmażyć ci na kaca jajecznicę?
  - Chyba żartujesz? Jakiego kaca? po czym? - ojciec przełknął jednak ślinę na samo wspomnienie o tłustej, tak świetnie przeciwdziałającej pijackiemu pieczeniu jajecznicy.
  - Kaca! Nie bądź bezczelna, Olka! - zdenerwował się ojciec i wywalił kopiastrą łychę dżemu na bułkę; gryzie, żuje długo, mozolnie, biedaczek, ale się męczy, słodziuteńki dżem puchnie mu w ustach, rośnie niczym ciasto drożdżowe.
  - Pycha dżemik - powiedziała złośliwie. - Taki, za jakim przepadasz: truskawkowy.
  - Uhum - więcej entuzjazmu dla pysznego dżemiku ojciec nie potrafił z siebie wykrzesać.
  - Jakoś dziś nie jesteś przy apetycie, co, tato? Z rezygnacją odłożył bułkę.
  - Ta Banaszakowa... i te jej przekłete śledzie! Od razu wydawały mi się podejrzane.
  - Zawsze ci dziwnie szkodzą śledzie Banaszakowej, tato.
- Ojciec udał, że nie słyszy. Wypił jednym haustem kubek kawy, popatrzył smętnie na zalany wodą garnek po mleku.
- Nie masz więcej?

- Zawsze wypijasz tylko jeden kubek na śniadanie, tato.

- Niby tak: jeden - przyznał ojciec - lecz czasami dwa! Matka zawsze gotowała na wszelki wypadek więcej mleka. Matka... To już niedługo będzie druga rocznica, jak jej z nami nie ma.

Z nami nie ma. Powiedział to tak prosto, tak zwyczajnie i z takim przejmującym smutkiem.

- Tato...

- Nie ma-westchnął. - Wiesz, Olunia, czasami leżę, nie mogąc usnąć, myślę o tym, o tamtym, o matce czasem również, i tak jakoś mi wtedy dziwnie...

- Tato...

- Czy także masz podobne odczucia? Że przecież to znowu nie tak bardzo dawno, a jednocześnie - jakby przed wiekami... - ojciec patrzy w okno, śnieg sypie lekki. -I śnieg wówczas padał, gdy wracałem do domu. Pamiętam, że pomyślałem: cóż to - śnieg? przecież zaraz wiosna? przecież już początek kwietnia, a tu śnieg? I było bardzo ślisko, musiałem rzęcha prowadzić ostrożnie. Bo wtedy, Olunia, doskonale to pamiętam, pojechałem do pracy rzęchem, chodziło mi o akumulator, żeby go podładować przed jazdą, siadał mi. Akumulator, rzęch, śnieg, ślisko - a reszta? taka odległa. Jakby w ogóle nie istniała. I wiesz, Olunia, tak leżę, nie mogę zasnąć, myślę: i co jest właściwie warte to nasze życie? skoro się je rozmienia na tak mało znaczące szczegóły? Jakiś akumulator? śnieg? To się pamięta dokładnie... Co tobie, Ola? Płaczesz?

Uderzyła go pałającymi, suchymi oczami. Wybiegła. Wróciła ze zdjęciem.

- A to? też nic? kompletnie? Powiedz!

Ojciec pochylił się nad fotografią, milczał chwilę.

- O Boże, jakie to stare dzieje... Znowu się pochylił, wziął zdjęcie do ręki.

- Musisz przyznać, że miałś przystojnego ojca - roześmiał się z cichym zadowoleniem. - Wszystkie babki na roku kochały się we mnie na zabój. Skąd masz to zdjęcie?

Uderzyła go, raz po razie, coraz silniej pałającymi oczami. Ale ojciec ciągle schylony nad fotografią, nawet tego nie spostrzegł; babki latały za mną, powtórzył.

- Mam od mamy! - powiedziała wyzywająco. - Podarowała mi je już dawno. Powiedziała: zobacz, jaka kiedyś byłam młoda, ładna i szczęśliwa. Ślub braliśmy w samo południe. Wiał lekki, majowy wiatr.

Ojciec zacisnął usta z gniewem.

- No, proszę, ile ci to naopowiadała! A teraz zrób mi herbatę. Pić mi się chce po tych przeklętych śledziach Banaszakowej, ona je zawsze za mało wymoczy.

Maglowej pod budką nie było.

Wydarzenie, pomyślała. Ale zerknęła, czy Maglowa, spóźniona, nie ukaże się u wylotu uliczki. Nie, nie ukazała się. No i bardzo dobrze, Maglowa z głowy. Pies z nią tańczył.

Wcale nie jest tak zimno. Wczoraj było znacznie chłodniej, przez ten ostry wiatr. Śniegu napadało, lecz wiatr ustał. Wczoraj Maglowa przypominała burak ćwikłowy. A, do diabła z Maglową!

Koło sklepu obuwniczego jak zwykle napotkała Tadzka z Joluską.

- A gdzie Maglowa? - zapytał Tadek.

- Zgubiłam po drodze.

- Pewno nie zdążyła wydziergać nowej, supertwarzowej mycki - roześmiała się Joluska. - Prawda, Tadzku?

- W każdym razie coś za tym się kryje - popełnił dowcip Tadek - że Maglowa nie wlecze się dziś za Olką w charakterze ogona.

- Dlaczego ty jej, Olka, nie wynajęłaś do noszenia torby? - odezwała się Joluska. - Ona cię tak kocha, ta Maglowa, że nosiłaby ci za darmo. prawda, Tadzku?

Tadzio zarżał radośnie.

- Musicie się tak nad nią wytrząsać? - zapytała.

- Olka! za tym się coś chyba kryje! Ty bronisz Maglowej? - Tadek czule przytulił Joluskę. - Prawda, Jolusko?

- To nie Kozubski, Olka, lecz nasza własna, rodzima Maglowa! Prawda, Tadzku?

- Chyba nie nawiejesz jak wczoraj, Olka? prosto w objęcia wymarzonego Kozubskiego? - Tadek dowcipkował, wdzięcząc się do swojej Joluski.

Przygryzła wargę. Milczała, udając wyniosłość. Znała ich zbyt dobrze, niech no chociaż brwią ruszy, nie odczepi się od ich dowcipasów.

- Poznać głupiego po śmiechu jego - burknęła.

- No, Ola, przestań się indyczyć, my tylko tak, dla żartów - powiedziała pojednawczo Tadek. - I gdzie by taka fajna dziewczyna jak ty połaszczyła się na ryżego Kozubskiego.

Joluska wybuchnęła znaczącym śmiechem. Ale Tadek miał już dość

wyglądów.



- Zamknij się, Joluska, Olka jest porządna. Nie leci na byle kogo.
- To znaczy, że ja lecę? Ja? - Joluska uznała za stosowne bardzo się obrazić. Nawet odepchnęła Tadeka.

Zaraz się pokłócą. Skoczą sobie do oczu. Zakochani, psiakrew.

- O Boże - powiedziała - musicie tak trzaskać dziobami?

No więc teraz oboje obrazili się solidarnie za dzioby. Tadek znowu objął Joluskę. Jezdnią przepłynął datsun Komornickich.

- Co wy? bez Magłowej? - dobiła Iwona.

- Magłowa dzierga od wczoraj trzewiki, nie mówiła ci nic o supermodnych, włóczkowych trzewiczkach? - zakpiła Joluska.

- Nie! - krzyknęła podniecona wizją szydełkowych bucików Iwona. -Nie bajerujesz? Naprawdę?

Naprawdę. Sama nam wczoraj opowiadała, prawda, Tadek? ~ Prawda. Opowiadała. Że będą pod kolor mycki i szala. Chce mieć komplet.

Iwona nie dała się podpuścić.

- Co prawda widziałam takie szydełkowe kapciochy w butik w Grobkach, ale to były domowe kapciochy, nie na ulicę. Eee, bajery, ludzie, Daliście się zbajerować głupiej Magłowej.

Tadek z Joluską pokładali się ze śmiechu.

- Olka, co z nimi? Im chyba gorzej! Tak od białego rana?-zdenerwowała się Iwona. - Słyszałaś coś o tych kapciach Magłowej?

- To zwykła podpucha, Iwona. Nie wierz im. Oni się kochają, oni świat widzą na różowo i dlatego nie opuszcza ich dobry humor. Zwłaszcza taki, który pozwala się pośmiać kosztem innych.

- Wy! - krzyknęła Iwona - pokiwać wam palcem w bucie?

- Dziś bez Magłowej? - Krystyna wyszła z bramy, uśmiechnięta zjadliwie. - Odczepiłaś się od niej wreszcie, Olka? Boże, co za ulga: Magłowa poszła inną trasą do budy i nie opowie nam, że pies pani Dawidowicz dostał niestrawności, a ukochana mamusia zobaczyła przez okno Holubową stojącą przed kioskiem „Ruchu”.

- Cześć, Krystyno - Iwona uczepiła się rękawa Krystyny. - Jak samopoczucie?

- Co się wydurniasz? Normalne! A jakie ma być? - burknęła Krystyna, otrzepując z rękawa dłoń Iwony.
- Patrzcie: maluch Kozubskich! - zawołał Tadek. Maluch w kolorze kości słoniowej zatrzymał się przed budą. Z malucha wynurzyli się obaj Kozubscy i szanowna pani profesor Kwaśniewska.
- A nie mówiłam wam, że za tym się coś kryje? - powiedziała z satysfakcją Krystyna.
- Nawet nie zachowują pozorów. Tak na oczach ludzi... - dodała swoje Iwona.
- Trzeba by zapytać Kozubskiego, czy mu się podoba nowa mamusia - zachichotała Joluska. - Prawda, Tadziu?
- I czy wolałby braciszka, czy może siostrzyczkę? - ucieszył się Tadek.
- Ta Kwaśniewska! - parsknęła Krystyna - lepsze ziółko. A zwróciłeś ci uwagę? Ostatnio nieomal w oczach się poprawia. Ciekawe, od czego tak tyje?

Wybuchnęli długim, sprośnym śmiechem.

- Może ją wzdyma po kapuście? Prawda, Tadziu?
- Aaa, kotki dwa, szare bure obydwu - zanucił Tadek i aż się zwinął od śmiechu.
- Ty, Olka, coś taki ponury sfinks? Popatrz, Tadziu, jej nie bierze!

Nienawidziła ich teraz, ale udała, że rozciąga usta w uśmiechu.

- Coś ty, Olka, podejrzana... - zaczął Tadek, więc pośpiesznie powiedziała:
- A słyszeliście ostatni dowcip?
- O Kozubskim i Kwaśniewskiej? Wał, Olka!
- Nie, o maluchu i komunizmie... Wiecie, jaka jest różnica pomiędzy komunizmem a maluchem?
- Kozubskiego? - zaryczał Tadek. - Oj, ludzie, już dość, dość, bo nie dolecę do kibla... Ale z ciebie świnia, Olka, ty potrafisz zaświntuszyć, a niech cię!

Palto Magłowej z odprutymi mankietami wisiało przy kurtce Dudka.

- I co ta Magłowa zrobiła najlepszego? - zabiadoliła Iwona. - Tak było ładnie z tymi przedłużeniami!

Joluska potrząsnęła lokami.

- Chyba żartujesz, Iwona. Czy Maglowej w ogóle może być w czymkolwiek ładnie? - i obrzuciła Iwonę taksującym spojrzeniem, jakby dając do zrozumienia, że również Iwona powinna ubierać się we włosiennicę lub worek, gdyż jej uroda jest tego samego gatunku co Maglowej.

Iwona sapnęła, ale milczała. Widać było, że przyczała się jedynie, czekając na odpowiedni moment. I ten akurat nadszedł: Joluska poślizgnęła się na ubłoconym parkiecie, wpadła prosto na Iwonę.

- A fe! - skrzywiła się Iwona.

- Co jest?-zapytała Joluska.

- A fe! - powtórzyła Iwona. - Musisz, piękna Jolusko, czym prędzej iść do dentysty. Ekspresowo.

- Do dentysty? - zdumiała się Joluska. - Słyszysz, Tadziu, co ta Iwona plecie?

- Czego się czepiasz Joluski? - pośpieszył z pomocą Tadek.

- To ty niczego nie czujesz? - teraz zdumiała się Iwona. - Naprawdę, Tadziu? Oj, i z tobą źle, pędź do laryngologa, żeby ci nozdra przedmuchał.

Krystyna spojrzała na Iwonę w oczekiwaniu dalszego ciągu, który zapowiadał się niezwykle interesująco. A Iwona uśmiechnęła się czule:

- Naprawdę, Tadziu, niczego nie czujesz? To jak wy się całujecie, zakochani? Czy aż tyle można wytrzymać i poświęcić dla uczucia?

- Ty, Iwona... - zaczął groźnie Tadek, a biedna Joluska zatraciła się niczego, głupia piękność, nie kapowała.

- O co ci chodzi, Iwona? - zapytała Joluska.

- Tak ci koszmarnie z ust jedzie, Jolusko, że musisz mieć przynajmniej ze dwa zęby popsute! - wypaliła Iwona.

Krystyna przykucnęła w paroksyzmie śmiechu. Jolusce wymknęła się z rąk torba, upadła z gruchotem. Tadek wrzasnął:

- Ty świnió!

Jeszcze moment, a zakotłuje się tu nielicho. Mam dość tego towarzystwa, pomyślała, odwróciła się i poszła do pracowni.

Kozubski w swojej oślej ławce czytał ostatnie wiadomości. Bezczelny typ, przestałby wreszcie ludzi drażnić tą swoją manią gazetową. A Piecolog jest po prostu zwykłym durniem, któremu wydaje się, że

jeśli rzuci kilka hasłek w rodzaju: jesteście biedni, bo jesteście manipulowani, to od razu wszyscy padną na twarz i krzykną: salem alejkum, panie profesorze, od jutra nikomu nie damy sobą manipulować!

Piec w kącie pracowni dymił zajadle. Idąc ku swojej ławce, pomyślała ze złością, że zima przyszła wcześniej niż oczekiwano i teraz nowy naczelnik nie zdoła doprowadzić do remontu kominów, chociaż już pozwożono i poskładano na zapleczu budy jakieś dechy, blachy i narzędzia. Pewno w tej sprawie przyjechał dziś do dyra. No i figa. No i bardzo dobrze, niech wszystko tu dymi i kopci.

Magłowa siedziała pod oknem, udawała, kretynka, że nikogo nie widzi. I niby się kuła. Co za widok: Magłowa posuwająca zamasyście długopisem w zeszyte. Czyli że Magłowa przyszła do budy bez odrobionych przykładowo lekcji. Ależ wydarzenie! Bo Magłowa zawsze ma lekcje starannie odrobione. Fenomen z tej Magłowej. Po budzie oblatuje pół miasta, musi przecież opowiedzieć, co mamusia do spółki z panią Dawidowicz zobaczyły z okna i co się za tym kryje, że pies sąsiadki zaszczekał albo nie zaszczekał - a lekcje zawsze ma odrobione, i żadnego douczania się ani ściągania, i kiedy ta Magłowa się uczy? A stopnie ma dobre, cholera, żeby dobre! najlepsze! Poza ruskim i englishem Magłowa przoduje, więc albo jest taka zdolna, na co nie wygląda, albo tak się wkuwa nocami. Ale ona przecież nocami szydełkuje te serweteczki i narzutki, którymi potem jej matka handluje na targu, więc chyba taka zdolna? Do diabła z tą Magłową! Ale spojrzeć na człowieka by mogła! Krystyna to jej kiedyś dobrze powiedziała: słuchaj, Magłowa, właściwie po jaką cholere ty się pchałaś do liceum? I na dodatek przymierzasz się na filologię polską? A kto, jak mamusia pójdzie na zasłużoną emeryturę, przejmie po niej sprzątanie geesu? Wszyscy sądzili, że to taki dowcip, lecz Krystyna, zła, wzruszyła ramionami: ja wcale nie żartuję. Mój ojciec powiada, że każdy powinien być na swoim miejscu. Więc Magłowa też. No nie?

Drzwi pracowni walnęły, Iwona wpadła nieco potargana, Tadek czerwony i spocony, Joluska wsuwała się natomiast boczkciem. Pewno, biedna, usiłowała nie oddychać! Ciekawe, czy jej rzeczywiście psują się zęby?

- Żebyś nie śmiała do niej nigdy w życiu otworzyć swojego parszywego dzioba! - odgrażał się jeszcze Tadek. - A ty, Jolusko, nie zwracaj uwagi na tę chamkę. Bo to chamka jest, wiecie? - powiedział do obecnych. A Magłowa nawet nie uniosła głowy. Świat się chyba przewraca do góry nogami! Magłowa nie chce wiedzieć, dlaczego Tadek wymyśla Iwonie od chamek? Nie odkłada zeszytu ani książki? Nie wyskakuje na środek, nie woła: co za tym się kryje?

Weszła Malwina. Zatrzymała się przy ławce Kozubskiego.

- Cześć, Łukasz. Tatuś prosił, abys podziękował raz jeszcze swojemu ojcu w naszym imieniu.

- Malwina! Od kiedy ci smakuje wazelina!? - krzyknął Tadek.

A Magłowa dalej skrobała w zeszyte. Jakby była na bezludnej wyspie, otoczonej ze wszystkich stron bezmiarem oceanu.

- Cześć, Tadius! - odpowiedziała Malwina. - Ojciec mi opowiadał, że wczoraj, gdy czekał w kolejce do naczelnika, bardzo przyjemnie gawędził z twoim. Podobno staracie się o przydział tej komórki po Gogolewskiej? Co tam macie zamiar trzymać? Świniaka? Czy gęsi?

Tadka podrzuciło. Malwina spokojnie wyminęła jego wyciągnięte pięści, usiadła.

- Cześć, Ola - uśmiechnęła się. - Umiesz fizę? Bo ja leżę. Nic. Mogiła.

- Odwołaj to natychmiast, Malwina! - ryknął Tadek.

- Nie rozumiem: co? Czy to, że twój ojciec stara się o komórkę po Gogolewskiej? Czy że kolaborował z nowym naczelnikiem w tej ważnej, komórkowej kwestii?

- Malwina! Jak śmiesz!

- Naprawdę, Tadius, nie rozumiem, dlaczego tak się oburzasz. Wielu ludzi uważa, że nowy naczelnik jest całkiem w porządku.

Krystyna roześmiała się nerwowo.

- Zobaczmy tego porządnego za rozek. Na początek musi się czymś zastaniać, chociażby oparami uczciwości.

- Ty to sama wymyśliłaś, Krysiu? Czy powtarzasz za swoim zdymisjonowanym tatusiem? - zdumienie Malwiny było obraźliwe.

- Matko święta, Malwina! - powiedziała do niej - co z tobą? Takiej cię nie znam! Ty potrafisz laserem?

- Och, Ola, mam ich wszystkich tutaj po dziurki w nosie - odparła Malwina, wyciągając z torby książki. - Taka Kryska na przykład: po prostu wstydziłaby się w ogóle odzywać. Wszyscy wiedzą, że do jej ojca trzeba było od razu z kopertówką...

- Chciałam ci zwrócić uwagę, Pacułowna - zaczęła ogromnie oficjalnie Krystyna - że po pierwsze: mój ojciec sam złożył podanie o zwolnienie...

Ktoś pod oknem roześmiał się. Krystyna szybko odwróciła głowę.

- Ja ci to, Węcel, zapamiętam... - powiedziała. - Były czasy, że twój stary nieomal u nas nocował... na wycieraczkę pod drzwiami... żeby tylko dopaść mojego ojca, bo mu się pasza dla kurek kończyła i nie miałby po co cip, cip wołać.

- No, a teraz mój stary powiedział - wypalił Węcel - że da na mszę dziękczynną i opije to radosne wydarzenie - wreszcie ktoś odważył się ruszyć Paszyńskiego!

- Ach, to tak? - szepnęła Krystyna i rozplakała się.

- Krysia, kochana, nie płacz! - zawołała Iwona, obejmując Krystynę. - Nie przejmuj się, nie zwracaj na

nich uwagi, przecież doskonale wiesz jacy są.

- A jacy, Włodkowska? - roześmiał się Węcel - mogłabyś sprecyzować? Kogo masz na myśli? Bo coś mi się wydaje, że siebie wyklucasz. A ja chciałbym ci przypomnieć o wczorajszym. Kto do nas wczoraj przybiegł, niby po jajka, i zapodał, co widział u Paszyńskiej? Kanarek to może był, Iwona? Szpaczek? Przyleciał, zaświergolił, że u Paszyńskich sodoma, Kryska szlocha, krzyczy, że skoro ojciec nieomal na taczkach wywieziony, to ona do budy więcej nie pójdzie, pod ziemię się ze wstydu zapadnie, a pani Paszyńska, załamując upierścienione dłonie, też szlocha

i powtarza: a widzisz, Kaziu, a ostrzegałam, że trzeba brać ostrożniej i wiedzieć od kogo.

Magłowa trzasnęła zeszytem. Milczała nadal, powiodła tylko swoimi obrotowymi oczami po Węclu, błędnej Iwonie, płaczącej Krystynie, i na wąskich wargach Magłowej pojawił się uśmiešek.

- To nieprawda, Krysiu! Nie wierz mu! On wszystko poprzekręcał -zajęczała Iwona.

- O, Boże, Iwona... - odezwała się przez łzy Krystyna - a ja ci jednej ufałam...

- Węcel! odszczekaj to, świnió, odszczekaj! - zabełkotała Iwona, ale Węcel roześmiał się wyzywająco i nikt nie miał wątpliwości, że właśnie tak było, jak opowiedział.

- Straszne-szepnęła przejęta Malwina-żeby Iwona, takie świństwo?

To po prostu niemożliwe.

- Och, ty, ciamcioramcio, a sądziłam przed chwilą, że już się wyzwoliłaś ze swojej pocziwości - powiedziała do Malwiny. - Iwona to zwykła podlizna.

- Matula! - rozległ się szyderczy głos Maćka-jeszcze kilka takich scenek z życia klasy drugiej licealnej, a zacznę szanować nawet ciebie.

Tymczasem Kozubski pilnie czytał gazetkę. Kozubskiego tutejsze brudy nie interesują. On jest ponad. On jest w ogóle taki dobrze wychowany, rycerski, dżentelmen z zasadami, nieprzekupny, mający szmal w nosie, i nie jakiś tam prymityw orzelski, proszę - co za opanowanie, jaki takt: po prostu udaje, że czyta i niczego nie widzi, niczego nie słyszy, w nic nie musi się wtrącać.

- Żeby już wreszcie ten dzwonek...-odezwała się Malwina.

I zabrzmiał, ten dzwonek, ostry, przenikliwy. Kozubski złożył gazetę. Wyprostował się. Był gotowy do rozpoczęcia zajęć z Baldachimem.

Wysypywali się z pracowni niespiesznie, spuchnięta od płaczu Iwona, Krystyna ze śladami łez na twarzy.

- A mnie jej żal - powiedziała Malwina.

- Której?

- I jednej, i drugiej. Biedne.

- Wredne, chciałaś chyba powiedzieć.

- Nie, Olu, biedne. W końcu czy my jesteśmy od nich lepsze? Czy my się od nich różnimy? Nie zachowujemy się identycznie? Nie obmawiamy nikogo? No, sama powiedz, Olu?

Uśmiechnęła się do tej głupiej aż do niestrawności Malwiny.

- Ja się nie różnię, masz rację. Aleś ty, Malwina. do świństwa całkiem niezdolna.

- Ach, Ola, żebyś tylko znała moje myśli... - westchnęła komicznie Malwina.

I jak tu się nie uwyc z tej Malwiny? Mus. Roześmiała się:

- Nie filozofuj, Malwinko. Dobra jesteś i tyle - wzięła Malwinę pod rękę. - Chodź, spływamy na englisha.

Kozubski stał przy drzwiach, czekając, aż tłum się przewali. Wychodził z pracowni przeważnie ostatni. Nie miał zwyczaju pchać się ani tłoczyć z innymi.

Dudek również jakby na coś czekał. Dziwne, bo on zawsze pierwszy do pchania, musi przecież demonstrować siłę swoich trenowanych codziennie mięśni. Dudek postąpił jeden malutki kroczek, potknął się, zataczając przeleciał obok Kozubskiego i - widziała to wyraźnie - ręka Dudka wysunęła się lekkim, kocim ruchem, zaczepiła o okulary Kozubskiego! strącając je, a noga Dudka prosto na te szkła, i już tylko wstrętny chrzęst! Malwina krzyknęła. Idący z tyłu Tadek z Joluską jęknęli, nie tyle ze zgrozy, co z uciechy. A Dudek z najniewinniejszą miną począł otrzepywać przepaszając ubranie Kozubskiego, w rytm tego uprzejmego otrzepywania głowa Kozubskiego latała niczym piłka.

- No i jak, facet, chodzisz? Bicykli nie masz, czy co? Tadek roześmiał się. Joluska także. A przecież oni musieli widzieć. To samo, co i ona widziała. Całe to odegrane przez Dudka przedstawienie,! Czy nikt nie zaprotestuje?

- Przecież... - zaczęła Malwina, ale tu nie o Malwinę chodziło, więc powiedziała do niej ostro:

- Nie wtrącaj się!

- No i widzisz, facet? I po co się tak pchać, facet? Czy ty zawsze, facet, musisz być pierwszy i najlepszy?

Kozubski mrugał oczami. Oczy miał wypukłe, szkliste i jakieś takie bezbrzeżnie zdumione, jakby niedowierzające temu, co się dopiero rozegrało.

Tadek z Joluską konali ze śmiechu.

- Przecież, Ola... - znowu ta Malwina.

- Nie wtrącaj się, rozumiesz? powiedziała do niej ze złością. A Dudek pochylił się, zebrał z podłogi nędzne resztki okularów, wsadził Kozubskiemu na nos połamaną, szczerbatą oprawkę.

- No, facet, nie tarasuj przejścia, daj ludziom wyjść. Albo w tę, albo wewtę, facet!

I z taką serdecznością klepnął Kozubskiego w plecy, że ten katapultował w tłum na korytarzu niczym rakietą.

- Dudek! - zawołała z oburzeniem Malwina. Och, ta Malwina!

- I czego ty wsadzasz swoje trzy grosze?! - krzyknęła. - Nic się nie stanie twojemu Kozubskiemu, niech mu wreszcie ktoś utrze tego zadartego nocha, do diabła! Za bardzo się wywyższa ponad nas tu wszystkich, bohater nadzwyczajny i jedyny! A jeśli się w nim zakochałaś, to uwij mu na głowę wianeczek z rzodkiewek albo umów się z nim na randkę między palikami pomidorów.

- Jakaś ty... - oczy Malwiny zwilgotniały.

- Przestań, Malwina, się wychylać! I rusz się, bo nie dopchamy się do poręczy!

Zdecydowanie popchnęła tę głupią pocziwinę; kulminacja wędrówki ludów, a trzecie piętro do zdobycia.

- Szybciej, Malwina, może się wepchniemy!

Na drugim piętrze zdołała dopaść poręczy. Malwina drapała się przy ścianie. Środkiem schodów wspinali się jedynie najodważniejsi. Te cholerne schody, nie dość, że strome, bardziej podobne do drabiny, to jeszcze krzywe i powyszczerbiane. Parkiet położyli, cholera, w szatni, ale schody pozostały nietknięte, pamiętają czasy magazynów.

Przed sobą miała plecy Kozubskiego. Też uchwycił się poręczy. Rękę zaciskał na niej kurczowo, przesuwał ostrożnie, a nogi unosił wysoko, o wiele wyżej niż potrzeba; bez swoich bicykli zachowywał się jak ślepek.

- Ej, Olka! Malwina! Ruszać się! Żwawiej! - pogonił z dołu Węcel. Dudek wyminął je, pędził środkiem schodów, sportowym, prężnym

krokiem. Zrównał się z Kozubskim. Ruch nogi Dudka był dokładnie wymierzony, prawie niedostrzegalny, i oto Kozubski już walił nosem w kamienny stopień.

- Widzieliście faceta? Chciał mnie wykopyrtnąć!

- Dudek! - krzyknęła Malwina.

Ruch na schodach został zatamowany. Ci, co zdobywali szczyt piętra, zatrzymali się, zaciekawieni



krzykami. Tych na dole wstrzymywał podnoszący się niezdarnie Kozubski.

- Ty, facet - powiedział Dudek - od kogo się nauczyłeś, facet, podstawić nogę?

I z dołu, i z góry zaszemrano w podnieconym oburzeniu.

- Dudek! - krzyknęła Malwina. - Przecież...

~ A ty, matka, nie rozdziawiaj tak dzioba, bo ci jeszcze coś do niego wPadnie - przerwał jej Dudek. - Facet chciał mnie wykopyrtnąć. Każdy to widział na własne oczy. O, Maglowa! Maglowa w sam raz świadek. Widziałaś, matka, no nie?

Maglowa zawahała się. Popatrzyła na Dudka, popatrzyła na Malwinę I na dźwigającego się Kozubskiego.

- Widziałam - powiedziała zdecydowanie.

Kozubskiemu wreszcie udało się przyjąć pozycję pionową. Z rozbitego nosa kapąła krew. Śliwa na czole różowiała malowniczo.

- No i, facet, po co ci to było? Nieładnie, facet, nieładnie - znęcał się Dudek. - Kto pod kim dołki kopie, Ten sam w nie wpada.

Kozubski milczał. A na schodach buchało okrzykami: świnią! Podlec, Matko, ludzie, jakby Kaczmarek gruchnął - nie byłoby co zbierać!

- Cisz tam, ludzie! - huknął Dudek. - Chcę usłyszeć kulturalne słowa od faceta. Facet zna się na kulturalnych odzywkach. No nie, facet, że znasz się? Więc co należy teraz kulturalnie oznajmić skrzywdzonemu?

- Dudek! To przecież nie tak! - krzyknęła Malwina. ale Dudek ją zignorował.

- Słucham cię, facet.

Kozubski wciąż milczał. Nie patrzył na swojego gnębiciela ani na Maglową, ani na Malwinę, ani na nikogo - patrzył na nią. Na nią jedną. Jaj wybrał do tego cholernego, przekłętogo patrzenia. Krew buchnęła Kozubskiemu obficie, pobrudziła smugą szary sweter, ciekła wąskimi strużkami wzdłuż brody. Wypukłe, pozbawione szkieł oczy wydawały się nagie, bezbronne i wołające o pomoc. Ją wołały te oczy. Do niej się zwracały. Mówiły: Olu, masz takie dobre, budzące zaufanie imię. Olu, tylko tobie jednej ufam, powiedz prawdę, powiedz, jak było.

- No, facet! bo stracę cierpliwość! Proszę na razie grzecznie. Jedno słowo. Powiedz: przepraszam, Dudek, nic więcej. To niewielkie żądanie w stosunku do faceta, który podstawił nogę drugiemu na stromych schodach.

- O Boże! - zawołała Malwina - ludzie! Tak nie wolno, ludzie, przecież ja widziałam! i Ola także! Ola, powiedz im, że i ty widziałaś.

W jednej chwili wyciszyli się i ci tam, na szczycie schodów, i ci na dole. Jakby ani ci ze szczytu, ani ci z dołu nie wierzyli w podstawienie nogi Dudkowi. Jakby cały czas oczekiwali, że znajdzie się ktoś, kto zaprzeczy. I teraz właśnie od niej oczekują, że przytaknie Malwinie.

I Kozubski również czekał. Kozubski przede wszystkim. Wciąż patrzył. Wciąż z nadzieją. Z wiarą. Z ufnością.

- Ty, matka, widziałaś? Ty? - zdumiał się obraźliwie Dudek.

Oczy Kozubskiego pojaśniały ufnym ciepłem.

» Owszem - odpowiedziała, przetykając z trudem oporną ślinę. Zanim jednak zdążyła dorzucić, że tak, Malwina mówi prawdę, gdzieś za plecami, z samego dołu schodów piskliwy, szyderczy dyszkancik Komornickiego aż podciął, aż smagnął: buzi, Olka, buzi!

- ... jak ci Kozubski podstawia nogę - dokończyła.

- Olu, co ty? co ty? - jęknęła Malwina.

Oczy Kozubskiego zgasły. Stały się obojętne, matowe.

- No i co, facet, teraz powiesz?-odezwał się z triumfem Dudek. - Nie dosyć, że jesteś zwykły cham jak my wszyscy, to jeszcze tchórzysz? Menda z ciebie, facet, zwykła. Nie stać cię, facet, ani na odwagę, ani na małe słówko: przepraszam. Ale ja jestem, facet, wyrozumiały. Daruję ci ten ostatni raz. Proszę cię jednak, facet, o jedno bardzo grzecznie. I uprzejmie. Najpierw popchnąłeś mnie w drzwiach. Teraz podstawiałeś mi nogę. I czego ty się mnie czepiasz, facet? Czyja cię szukam? Gdybyś był, facet, nie taki mikrus, dałbym ci w pysk i po ptakach, ale ja, facet, słabszych od siebie nie biję.

I Dudek ruszył sprężysto naprzód. Wyminął Kozubskiego.

- Oła! Powiedz coś!

- Odwal się, ty wazelino! - krzyknęła. Pognała w górę. Zostawiła za sobą ich wszystkich: i tę cholernie dobrą Malwinę, i Kozubskiego, i całą resztę. Pędziła korytarzem prosto do łazienki. Byle dalej od nich.

Ale jak uwolnić się od siebie?

Dlaczego przytaknęła Dudkowi? Stchórzyła przed szyderstwem Komornickiego? Magłowej? Joluski? Tadka?

Każda stwora... Nogi na beczcze prostowane. Stwora, amatora. Chyba, Olka, nie polecisz na takiego ryżego okularnika.

Boże, Łukasz...

Chlusnęła zimną wodą na pałającą twarz. Ach, pali, jakby ktoś wysmagał.

Czyjeś kroki, posuwiste, ślepe; ach, wszystkich widzieć, byle nie jego! Jego nie.

Pochylał się nad zlewem, płukał krwawiący nos, woda ściekała razem z krwią.

Nie, to nie były łyzy na jego piegowatej gębie, nie, to nie łyzy, to była Zwykła woda, zwykła, zabarwiona na różowo. ~ Nie patrz tak na mnie!

~ A takie miałaś ładne imię, Olu. Łagodne, dobre, budzące zaufanie.

Ach walnąć go w ten krwawiący nochal. Jego walnąć i wszystkich i siebie też! Porwała torbę, okręciła się z impetem na pięcie, z furią przebiegła korytarz, potrącając ludzi, nie zważając na stromość schodów zbiegła pędem, wpadła do szatni, wcisnęła się w palto, w kozaki i tyle ją widziano.

Orzelski cmentarz ogrodzony jest szczelnie wysokim murem, z dawno odpadłym tynkiem, w wielu miejscach wykruszalym, wyszczerbionym. Granica. Między tymi, co są, a tymi, których już nie ma. „Przechodniu odmów - proszę - trzy Zdrowaś Maryja!”

Wraz z nadejściem zimy cmentarz osamotniał. Chyba i Leśmian nie odwiedzał zimowych cmentarzy, gdyż nie przypomina sobie śniegu w jego cmentarnych wierszach; czasem pluszcze w nich deszcz, czasem wiatr w nich wyje, mgła gęsta opada, ale nigdy nie sypie w nich puszysty, cichy śnieg.

Jest śnieg. Tu, na cmentarzu nie naruszony, nie zdeptyany. Czysty! Obok cmentarnej studni skręciła z głównej alei w prawo: klon wyrasta ponad inne drzewa, góruje nad nimi niepodzielnie. To dobrze, że cmentarze nie są nagie, że pomiędzy grobami rosną drzewa. Patrząc z daleka na ich czuby ponad murem, można pomyśleć, że to jakiś stary park albo dziczętały, opuszczony ogród.

Nie, nie trzeba zgarniać śniegu z mogiły matki. Zadusznym chryzantemom mroźny wiatr zwarzył korony, a teraz śnieg je ożywił bielą.

Usiadła na ławeczce pod klonem. Jak cicho. Jaki spokój. Tu nie da się myśleć o żadnych codziennych kłopotach; szkoła, Kozubski, Dudek, Malwina, Węcel, Magłowa oddalają się; ulatują małe, nieważne sprawy, zbyteczne nawet. Balast. Tu zawsze jest sam na sam ze swoją matką.

Krzyż matka ma jeszcze zwykły, jakich wiele dokoła, nie wszystkich stać na wystawienie kosztownego pomnika ze złoconymi napisami. Ojciec zaraz po Święcie Zmarłych poszedł zamówić taki pomnik, wpłacił: ratę, ustalili termin: na wiosnę zedrą ziemię, założą szalunki, zaleją betonem, potem czymś błyszczącym, gładkim; aby było porządnie, drogo i łatwo się sprzątało.

Spojrzała w kierunku grobów pod murem cmentarnym, gdzie mogiła bez krzyża, w której pogrzebano wielkiego grzesznika, co ośmielił się targnąć na własne życie nawet nie będąc pijanym. Pomyślała o przedzadusznym wieczorze i o chyboliwych płomykach pamięci zupełnie obcego człowieka nazwiskiem Pacuła. U warg kropelka słońca. Jak dziś tu pusto. Nikogo.

Opada puch śniegu wprost na wargi. Gałązka nad głową jeszcze się chwieje, lecz ptak z rozłożonymi skrzydłami, czarny zygzak, odfruwa. I tam też ptak. Siedzi na krzyżu, czyści skrzydła. I tam kołuje. Ptaki. Ptak.

Olunia, popatrz, kawka musiała wypaść z gniazda. Znalazłam ją na balkonie. Nie bój się, ptaku, nie zrobię ci krzywdy, pomogę ci. Olunia, widzisz: ma złamaną nóżkę. Potrzyмай, Olunia, tylko ostrożnie, bo popatrz: jaki śmiertelnie wystraszony ten ptak, jak mu serce wali, posłuchaj, jak wali. Co ty zamierzasz zrobić z tym ptaszyskiem, mamó? Ptak budzi odrazę. Skręczy obrzydliwie. Trzepocze rozczapierzonymi skrzydełkami. Otwiera olbrzymie, żółtawe gardło. Wygląda tak, jakby się cały składał wyłącznie z tego skrzeczącego gardła, w którym porusza się czerwonawy, śliski język. Obrzydliwość.

Olunia, potrzyмай! Trzeba mu założyć łubki, owinąć czymś, nakarmić go, a gdy mu się zrośnie złamanie, nauczyć fruwać i niech leci na wolność,

do innych ptaków.

Ty, mamó, chyba zgupiałaś? Będziesz mu muchy łapać czy robaki kopać?

Olunia, nie wiem jeszcze, co kawka zjada. Ale wiem, że musimy jej pomóc. Jest mała, bezbronna, wypadła z gniazda...

Mamó, doprawdy! żeby się tak roztkliwiać nad byle pisklakiem. I tak w końcu upoluje go jakiś kocur. Myślisz, że ojciec pozwoli ci trzymać w domu jakiegoś ptaka? Każe ci wyrzucić i tyle.

Ojciec?, powtarza matka pytająco, jakby zapomniała, że ojciec lada chwila wróci z pracy i od progu zawoła: obiad jest? Gdybyś go poprosiła, Olunia, powiedziała, że chcesz tego ptaka odratować? Olunia, powiedz mi tak, proszę... I matka gładzi grubym paluchem czarne piórka. Ptak w Jej dłoni przestaje się szarpać, ucicha, składa skrzydełka, przechyla łeb, Zasypia, uspokojony ciepłem dłoni, pieścizotą palca. Co takiego! Ja mam prosić ojca? Oluniu... przecież trzeba mu pomóc, temu ptakowi.

Wyrzucić go i już! I po ptakach!, śmieje się. Może by i odnalazła w sobie okrucieństwo dla tego ptaka, tej wronki czy kawki, ale paluch matki taki gruby, napęczniały, poruszający się z czułością po piórach - też w niej budzi odrazę.

Co to? mamó? Beczysz?

A matka siedzi z ptakiem w dłoni i płacze.

No wiesz!, krzyczy do niej ze złością, beczeć z powodu wrony, którą i tak kot pożre?

Nie nad ptakiem płaczę. Nad tobą, odpowiada matka przez łzy, stula dłoń.

Daj!, krzyczy z jeszcze większą złością, bo ta matka, której łzy ciekną grubym sznurem po tłustych polikach, gruba beka, słonica bezkształtna z ptakiem w dłoni doprowadza ją nie wiadomo dlaczego do wściekłości.

Sama wyrzucę!

Oczy matki nagle obsychają. Wyrzucić?, mówi stłumionym głosem, po prostu wyrzucić? Niech gdzieś leży, nawet nie mogąc uciekać ani odfrunąć przed kotem? Wyrzucić? Niech zdycha z głodu długo, niech otwiera coraz słabiej i słabiej gardziółko? Niech małe serce, nikomu niepotrzebne, wystukuje na próżno i bez sensu wołanie o pomoc? Po prostu wyrzucić?, powtarza i jej dłoń stula się coraz silniej, a błękitne oczy matki stają się nagle czarne. Dostała ataku szału? zwariowała? wściekła się?

Wyrzucić? To takie proste: wyrzucić! Czego się płaczesz, ptaku-sieroto, wypadły z gniazda, czego tu szukasz, czego się po nas spodziewasz, może miłosierdzia? Ależ ptaku, z tobą tylko kłopot, trzeba cię nakarmić za darmo, ubrać za darmo, ogrzać za darmo, dlaczego akurat mnie wybrałeś ptaku? Wynoś się do innych, ale już, już cię tu nie widzę, nie płacz się pod nogami, wynocha! ptaku! I dłoń matki zaciska się jeszcze mocniej.

Co robisz! mamoo?, krzyczy, zmartwiła ze zgrozy.

Masz, mówi matka, oczy ma wciąż czarne; teraz wyrzuc.

Cofa się, wciąż pełna zgrozy i obrzydzenia, bo oto łeb pisklaka zwisa dziób rozwarty i tylko te piórka na skrzydełkach są ciągle jakby uśpione. Niczego nie rozumiały, zaufały ciepłu dłoni, lśnią stulone, spokojne.

No, co się pieścisz!, głos matki jest brutalny, obcy, oczy wciąż czarne też obce.

Boże, Boże, Boże. Mamo. Jakaś ty okrutna. Wciąż się cofając, powtarza raz po raz: mamoo, jakaś ty okrutna.

Ile tu wszędzie ptaków pośród mogił i krzyży! A cisza dokoła taka, że nawet zagłusza krzyk kołujących między bezlistnymi gałęziami wron.

Wstała z ławeczki. Podeszła do matki. Uklęła. Śnieg lekko przyprószył tabliczkę przybitą do drewnianego krzyża, zamazał litery. Ale nie /musi zgarniać śniegu z tabliczki, aby przeczytać, że tu spoczywa Maria Marciniak z domu Jarząbek, urodzona w 1943 roku, zmarła w 1986, Nasza Ukochana Żona i Matka.

Twoja matka, Olu Marciniak, powiedziała pani Kapusta, bibliotekarka orzelska ze świrem na punkcie książek, nie czytała byle czego ani byle jak. Miała swój własny klucz, według którego dobierała lektury.

Więc, jak to się odbyło, mamoo? Czego szukałaś w przeszłości według swojego klucza? Dokąd zamierzałaś dotrzeć? Do jakiego czasu? Co w nim odnaleźć? Czy szukałaś opisu łapanki, w której ich zabrano i wywieziono w niewiadomym kierunku? A ty zostałaś, dwuletni pędrak, pisklak osierocony z sercem tłukącym śmiertelnie, coraz słabiej i słabiej, bo coraz głodniej, bo coraz chłodniej, bo coraz ciemniej przy tobie? A może twoi rodzice nie pochodzili z miasta? Może ich nie szukałaś na ulicach płonącej w powstaniu Warszawy? Może byli z jakiegoś Serocka? i wyznawali „Talmud”? Może starałaś się ich odnaleźć w transporcie Żydów do Oświęcimia? Treblinki? w którymś z gett? A może byli wieśniakami i przypadli gdzieś razem z tobą w bruździe kartofli, a te kamyki, które poznały ich plecy śmiertelną czerwienią, ominęły ciebie?

Maria Marciniak, z domu Jarząbek, urodzona w roku 1943, szukała swojego rodowodu w tych wszystkich książkach o wojnie, czytanych obsesyjnie według własnego klucza.

Czy to na pewno twoje nazwisko rodowe, mamó? Jarząbek. Jarząbek, ptak leśny, upierzenie rdzawoszare... Czy ktoś, kto nadawał ci nazwisko, lubił ptaki? był ornitologiem amatorem?

Urodzona w 1943. I dalej w metryce ślubu, na świadectwie maturalnym -puste miejsca. W rubryce: imię ojca. imię matki-kreska, kreska! Miejsce urodzenia - kreska! Kreski, kreski, nie ma miejsca urodzenia, nie ma imion rodziców, kreska, kreska! Patrząc na czarne zygzaki wron, widzi dokładnie kreski, kreski, jeszcze jedna kreska i jeszcze jedna, wszędzie są te kreski: w dowodzie matki, który zdała w Urzędzie Stanu Cywilnego Po jej śmierci, w akcie zgonu, kreski, kreski.

Może więc nie czterdziesty trzeci? Może czterdziesty drugi? albo czterdziesty czwarty? Jak ustalić wiek osieroconego ptaka?

ptak. Czemu się tu płaczesz, ptaku, czego szukasz, czego się spodziewasz? Trzeba cię nakarmić, ptaku, za darmo, napoić, ogrzać, zatroszczyć

się. Wynoś się stąd, nie płacz się pod nogami, idź do innych. Ręka matki stulona coraz miłosierniej, aż do miłosierznego końca. Obiad jest?

Zabierz. Podaj. Przynieś. Zrób. Jesteś jak ślepy kret. Boże, pełen w niebie chwały, a na krzyżu -pomarniały - gdzieś się skrywał i gdzieś bywał, żem Cię nigdy nie widywał?...

Strzepnęła ręką śnieg. Białe litery na czarnym tle żałobnej tabliczki, przybitej do krzyża, tworzą wyraźny napis: Nasza Ukochana Żona i Matka.

- Gdzie się szwendająś tyle czasu? - ojciec wyszedł z kuchni, zaciska usta. - Znowu nie ma dla mnie obiadu! Wczoraj nie było i dziś nie ma, Mam tego dość! Jutro zamawiam Kozłowską. W pracy ani chwili spokojnej. Naczelnik zaprowadza nowe porządki. Niedługo pewno będzie wizytował orzelskie wychodki, psiakrew, wszędzie wciska nos, drań przekłety, czepia się do wszystkiego, nic mu się nie podoba, a tu wracam, dom pusty, w lodówce pusto, córki nie ma, wałęsa się, nawet masła nie ma żeby chleb posmarować!

- Mogłeś kupić - powiedziała, odwieszając płaszcz. Ojciec spojrzał na nią uważniej.

- Co tobie?

- Nic - i chciała przejść do łazienki, lecz ojciec zagroził drogę.

- Znowu siedziałaś na cmentarzu! W taką pogodę?

- Przepuść.

- Wariatka! Zostaw ty wreszcie umarłych w spokoju!

- A może to mnie umarli nie chcą zostawić w spokoju? Przepuść, muszę umyć ręce.

- Jak ty wyglądasz?!

- Normalnie. Przepuść.

- Boże! Ty chyba jesteś chora! - ojciec nerwowo dotknął jej czoła, cofnęła się gwałtownie.

- Ola! - ojciec przemocą chwycił jej rękę. - Dziecko! czoło ci płonie, a ręce jak lody. Ty jesteś naprawdę chora...

Pobiegł do kuchni, zagruchotał czajnikiem: chora, ona jest chora! Trzeba termometr, herbatę... Gdzie ten przekłuty termometr? Ola! gdzie matka trzyma termometr?

Oparta plecami o ścianę - bo jakoś tak nagle i gorąco, i zimno na przemian, i ta podłoga jakby chwiejna, niepewna; co się dzieje z tą podłogą, jakieś trzęsienie ziemi? - uśmiechnęła się z tego przejęzyczenia swojego ojca.

- No, gdzie jest ten termometr? - denerwował się ojciec, nie wiedział, oczywiście, bo i skąd?, że matka lekarstwa i termometr chowała w tej ostatniej, najniższej, czwartej szufladzie. Trząsknął teraz drzwiczkami, spieszył się ze swoim niepokojem, spóźnionym, zbyt późnym...

- Nie dotykaj mnie!

- Co z tobą, Oluniu?

Zagubił się w swoim wielkim niepokojem. To koniecznie chciał wsunąć jej pod pachę odnaleziony termometr, to chwycił za rękę: lody, powtarzał, to znowu dotykał jej czoła: buchasz żarem, wołał.

- Zostaw mnie. Nie dotykaj. Nie jestem chora. Podłoga pod nogami falowała, twarz ojca ledwo widoczna.

- Lekarza. Natychmiast lekarza.

- Czy nie pomyślałeś ani razu, tato, że to musi nadejść nieuchronnie?

- Co? co? Olunia, o czym ty mówisz? Daj się zaprowadzić do łóżka, położyć. Rozbiorę cię. Okryję. Otulę. Olunia, kochana moja, nie choruj mi. Ja nie zniosę twojej choroby, Olunia, od tak dawna nie chorowałaś.

Ale ona musiała to swojemu ojcu powiedzieć. Układała długo, mozolnie zdanie po zdaniu, całą drogę powrotną. Od matki tam, do domu tutaj.

- Czy wydawało ci się, że już tak urobięś mnie na obraz i podobieństwo swoje, że nie dotrę do tego klucza?

- Olunia, dziecko, masz gorączkę, bredzisz. Pozwól, nie opieraj się, co z tobą, córeczko? Czemu mnie odpychasz? Nie poznajesz swojego

ojca?

- Poznaję. To ty. Jerzy Marciniak. Wdowiec. Mój ojciec, którego muszę nienawidzić. Bo nie zostawiłeś mi wyboru. Czy rozumiesz, tato? Żadnego wyboru. Chociaż ja nie chcę cię nienawidzić, tato. A jednak muszę. Nie potrafię jak mama budować schowanek, nie ma we mnie jej rezygnacji ani bezradności, a żyć, tato, według twojego klucza, twojej recepty: pycha wołowinka, pycha, i nic więcej, nic, tylko pycha, sytość, samozadowolenie - nie, tato, tak również nie chcę. Boże, tato, jak żyć? To nie jest wcale proste...

- Bredzi! Bredzi w malignie...

Podłoga zafalowała, sufit się zawalił. Czuła ręce ojca niosące ją ostrożnie. Potem znowu mgła okryła wszystko. Potem ktoś klęczał przy tapczanie, ktoś się pochylał, czyjeś dłonie na czole, a potem jakby na czoło spadła rosa. I rosa spadła też na wargi. Była to dziwna rosa, słonawa, gorzka. Czyżby ten ktoś płakał? Kto tu potrafi płakać?

Potem trzaskały drzwi. Ktoś ją sadzał, obracał, badał, czyjś obcy, nie rozpoznawalny głos mówił: niech się pan uspokoi, panie Marciniak, zapalenie płuc wykluczam, w oskrzelach też jest czysto. Olu? słyszysz mnie? Olu? Czy coś cię boli? Gdzie cię boli? Co za głupie pytania! Nic nie boli. Nic.

To mi wygląda na szok, panie Marciniak. Olu? Olu, odezwij się. Olu, dostajesz zastrzyk, poczujesz się lepiej, uśniesz spokojnie. Olu. słyszysz mnie? Powiedz, czy ktoś cię dziś skrzywdził? Co mówisz, Olu? Ptak? zabić ptaka, mówisz? Leż, Olu, leż. Nie myśl o ptaku. Nie, panie Marciniak, niech pan zaufa staremu lekarzowi, córce potrzebny jest teraz tylko spokój, a nie szpital.

Ptaki

Ojciec był ubrany. Siedział na krześle. Czołem opierał się o kant biurka.

Spał.

Palila się mała lampka.

W oknie za szybą szarość listopadowego dnia.



Spostrzegła to wszystko równocześnie: swojego ojca, który czuwał tutaj przy niej całą noc, tę lampkę ze zbytecznym już kręgiem mdłego światła i ten nowy dzień, wpadający przez okno. Minione i przyszłe. A on, ojciec śpiący w tak niewygodnej pozycji, do jakiego czasu on należy?

- Tato.

Drgnął, natychmiast oprzytomniał, może dopiero co się zdrzemnął? Czy ta rosa na ustach słonawa, gorzka to jego łzy? To on potrafi jeszcze płakać? on? Jerzy Marciniak? Ludzieniek skażony nienawiścią babki Józefy?

Był już przy niej. Twarz napięta niepokojem. W oczach lęk; o mnie, pomyślała, o mnie się boi.

- Olunia-odezwał się ojciec, uśmiechnął. Twarz ma ciągle ściągniętą niepokojem, w oczach lęk; o mnie, pomyślała, ale mimo lęku i niepokoju stara się uśmiechnąć; do mnie. pomyślała, a jego uśmiech wyraża nadzieję, że zdrowieję, że nie zagraża mi niebezpieczeństwo.

- Kiedyś i ją kochałeś, tato.

- Co? co?

- Nic, tato - powiedziała i też się uśmiechnęła.

Niczego, biedny ludzieniek, nie pamiętał. Niczego nie rozumiał. Pewno pomyślał, że ona znowu bredzi. Poprawiał teraz poduszkę, strzepywał prześcieradło, dotykał, głaskał, mówił: leż, leż, ja ci zaraz dam herbatkę i lekarstwa; i znowu dotykał jej włosów, jej policzka, jakby się upewniając, że kryzys minął i że jego córka, którą tak bardzo kocha, leży tutaj, jest i nigdzie nie odeszła.

~ Boże, Ola!-wybuchnął-co ja przeżyłem wczoraj, co ja przeżyłem.

- Pić.

"~ Już biegnę, Olunia, już!

I zaraz z kuchni dobiegły hałasy, ojciec nie potrafił się swobodnie poruszać między stolikiem a kredensem, zawadzały mu taborety, niczego nie mógł znaleźć, bo zawsze mu podawano, usługiwano: obiad jest? I był ten obiad, pycha, pycha, a przecież na tamtym zdjęciu ślubnym ofiarowywał dziewczynie o pszennych włosach uśmiech wraz z nadzieją, a w listach pisał do niej: tak bardzo, bardzo kocham cię, tak bardzo, bardzo potrzebuję cię! On też nosił swojego ptaka w sobie, co z nim zrobił? Gdzie go zgubił? Na co rozmienił?

- Jest herbatka, Oluniu. Chciała usiąść, lecz sufit zawirował.

- Aleś ty osłabiona! - wykrzyknął ojciec, odstawiając filiżankę na biurko, wprost pod mdły krąg niepotrzebnego światła.

- Już nowy dzień, tato, zgaś.

- Co? Ach, tak! lampka... - pstryknął wyłącznikiem. – Może najpierw ci zmierzę temperaturę, Olunia, a potem napoję herbatką?

Biedny ojciec. Nigdy się o nikogo nie troszczył, więc nie wie, co powinien najpierw, co później, wie ten mój ojciec tylko jedno, że kryzys minął, pomyślała, i że jego córce Aleksandrze Marciniak nic poważnego nie zagraża.

- Przyniósłbyś drugą poduszkę. Muszę usiąść.

- Tak, tak, oczywiście, druga poduszka, koniecznie - pokrzykując wybiegł z pokoju, załomotał tapczanem; nawet go nie zaścielił do spania. Pomyślała, czy zdarzyło ci się kiedykolwiek, tato, czuwać przy kimś całą noc i nie próbować się położyć?

Wniósł poduchę, strzepnął, wsunął pod plecy.

- Wygodnie teraz?

- Bardzo.

Zdążył zapomnieć o herbacie i o termometrze, usiadł koło niej, wziął ją za rękę; Olunia, powiedziała, uśmiechnęła się, zapatrzył gdzieś ponad jej głowę; a wiesz, powiedziała, kiedyś nam zachorowałaś na zapalenie płuc... i my oboje z matką tak przy tobie, noc w noc...

Coś jednak pamiętał. Niewiele, ale jaką miarą mierzyć pamięć? Może na razie taką? że kiedyś razem z matką czuwał? Razem czuwali, zespoleni niepokojem o kogoś, kogo kochali też wspólnie.

- Co tobie, Olunia?

- To nic, tato. Głupstwo.

- Doktor Barański zabronił ci się niepokoić.

- Nie ma we mnie już tamtego niepokoju, tato.

- Oła, o czym ty mówisz?

- Pić mi się chce bardzo, tato. Przepraszam. Stary dureń ze mnie! - ojciec zerwał się, pochwycił filiżankę, dmuchnął na łyżeczkę: nie za gorąca?

- Ja sama, tato.

- Porozlewasz. Zobacz, jak ci się ręce trzęsą. Ale cię osłabiło, dziecko. Ty wiesz, jaką wczoraj miałaś gorączkę? Ponad czterdzieści. Myślałem już... Boże, Oła! patrzyłem na ciebie nieprzytomną i myślałem, że poza tobą nikogo... Oła, i uświadomiłem sobie, że...

- Nie trzeba, tato. Tamto minęło - przerwała.

- Mówisz takimi zagadkami, Olu... Uśmiechnęła się do tego swojego ojca.

- Pić, tato.

Zaczął ją poić, łyżeczka po łyżeczce. Dmuchał, taki rozczulająco troskliwy. Herbata zdążyła ostygnąć, ale jemu widocznie sprawiało przyjemność to dmuchanie na każdą łyżeczkę. Był komiczny, śmieszny, był ludzikiem usiłującym coś sobie przypomnieć, niech dmucha.

- Nie za gorąca?

- W sam raz, tato.

- Nie za słodka?

- Za słodka? - i zamierzała powiedzieć, że przeciwnie, jakaś wyjątkowo gorzka, lecz ojciec roześmiał się konspiracyjnie:

- Wsypałem cztery łyżeczki cukru, żeby cię wzmocnić.

- Ile? - zakrztusiła się.

- Kopiaste - dodał ojciec, pochylił się, pocałował w czubek nosa. - A zawsze twierdziłaś, że nie znosisz słodkiej herbaty. Kłamczucha.

Objęła mocno tego swojego ojca. Posłyszała jego serce: biło głośno,

wystukiwało niespokojny rytm.

Doktor Barański osłuchał, opukał.

- No i co? i co, doktorze? - dopytywał ojciec.

~ I nic - odparł z flegmą doktor Barański.

- Ale ci wali, Oluniu! - ojciec zerwał się przestraszony. - Muszę natychmiast po lekarza.

- Tato! nie trzeba! To twoje tak wali, nie moje! - zawołała, ale ojciec nie słuchał, wypadł już z pokoju.

-

- Ale jej tak wali! panie doktorze! - wybuchnął ojciec.

- Z pana panikarz, szanowny panie Marciniak. I niechże pan tak nie wyłamuje palców, stawy panu trzeszczą. Popatrz, Olu, na swojego ojca. Pana zaraz do łóżka położę, wygląda pan gorzej od córki. Ola jest tylko bardzo wyczerpana gorączką, a poza tym fizycznie nic jej nie dolega Mam rację, Olu? A wie pan co? jeszcze nie jadłem śniadania! Zrywać starego człowieka o wpół do ósmej rano to zwykłe przestępstwo. I czego pan tu stoi? Nie poczęstuje mnie pan filiżanką mocnej herbaty? Kromeczką chleba?

- Masła nie mam - odpowiedział żałośnie ojciec, wciąż znęcając się nad własnymi palcami.

- Nie szkodzi. Nie jestem wybredny, zjem z margaryną. Prowadzę od śmierci żony kawalerskie gospodarstwo. Mogę zjeść nawet suchy! Panie, W brzuchu mi burczy z głodu, miej pan litość! Ser pan ma? - huknął doktor.

- Chyba mam...

- To niech da ser! A herbatę niech zaparzy porządną, uczciwą, mocna Herbata, panie Marciniak, żeby była aromatyczna, musi dojrzeć. A do dojrzewania potrzebny jest czas. Kapuje pan? Ola, popatrz na swojego ojca, który nic a nic nie kapuje!

- To co mam robić? - ojciec szarpnął palce.

- Iść do kuchni! Nie przeszkadzać! - huknął doktor.

- A pan? doktorze? - ojciec rzeczywiście nic nie rozumiał.

- A ja zrobię hokus-pokus, abrakadabra, dwa kije i zanim pan zaparzy herbatę i wysupta resztki sera z lodówki, uzdrowię Olę. Ola, zgadzasz się na moje czarnoksiężskie sztuczki?

Ojciec wycofał się pokornie, lecz drzwi zostawił uchylone.

- Spryciula - powiedział doktor Barański, zamykając je. - Założę się że zamiast parzyć herbatę, przylepi się uchem do ściany. Ale my go, Olu, przechrzemy. My też nie od macochy, mamy swój rozum. Ha! Będziemy szeptać.

Poruszyła się niespokojnie. O czym on chce szeptać, ten stary doktor

- Wiem, nie życzysz sobie, abym ci włożył z kaloszami do duszy - Powiedział cicho, pochylił się niżej.  
- Wiem. Nikt tego nie lubi. Zwłaszcza ktoś taki, kto ma szesnaście lat. nagłą gorączkę czterdzieści stopni i powtarza w niej raz po raz: zabić ptaka.

Poruszyła się jeszcze niespokojniej.

- Ale widzisz, Olu, jestem bardzo staromodnym lekarzem. Lub raczej całkiem niemodnym konowałem, który powinien dawno tkwić na emeryturze i pewno tkwiłby, gdyby nie fakt, że nikogo nie kusi etat lekarza w mieście Orzelsk, każdy ma ambicje, pragnie po skończeniu studiów specjalizacji, praktyki w dobrym szpitalu, najlepiej w klinice, gdzie można prędko napisać pracę doktorską, habilitować się i tak dalej, i tak dalej. Kiedyś i ja, Olu, miałem łeb nabity ambicjami. Czego to ja nie dokonam, czego nie odkryję, czego nie zwalczę; i gdyby mi ktoś wówczas powiedział: ty baranie Barański, do końca swojego życia będziesz konowałem w prowincjonalnym miasteczku, w prawie wsiowym ośrodku zdrowia, skąd cię będą wzywać nie tylko do ludzi, lecz i do krowy, która się cieli, to ja bym, Olu... oplułym takiego pacana bezczelnego z punktu, że jak on śmie...

I zaśmiał się konspiracyjnie, cichutko. Doktor Barański jest stary, pomarszczony, łysy, ma ponad sześćdziesiąt lat, więc podśmiewają się z niego w Orzelsku, że zamiast wziąć to, co mu daje za darmo rząd, on ciągle i ciągle sterczy w ośrodku zdrowia, z którego nawet ostatnio i stomatolog uciekł, przeniósł

się do Grobek, i teraz trzeba z bolącym zębem albo do Komornickich, pięć patyków za plombę, bo podnieśli taryfę, albo trajdać się autobusem do Grobek i wyczekiwać godzinami w kolejce do ubezpieczalnianego dentysty. Świra ma i tyle, bo to i wieczorem, i nawet nocą nie wyrzuci, a i do krowy pójdzie też, mówi, stary wariat, że krowa to też jak i człowiek, należy i krowie oszczędzić cierpienia, a jak on wrzeszczy, wścieka się po prostu, jeśli mu chcesz wetknąć coś w kieszonkę, nawet stówki nie weźmie, jakby był nie wiadomo kim, a kto on? tylko stary doktor z Orzelska.

- Pewno myślisz teraz: i co ten stary głędzi? Jaki to ma związek ze mną? Ej, Ola, nie czerwień się, tak pomyślałaś, prawda? Tymczasem ja naprawdę nie wiem, czemu tak głędzę. Ot, z gadulstwa, stary jestem, skleroza. Bo co ja ci chciałem powiedzieć, Ola? Aha! Chciałem powiedzieć, że życie nie zawsze tak się cudownie układa, jak sobie człowiek wymarzy. I jak pragnie. Ot, popatrz na mnie. Przyjechałem do Orzelska prosto po studiach, z nakazu pracy, bo wówczas były takie nakazy pracy, myślałem: ba! Byłem przekonany, że nakaz odbębnię i hajda, świat szeroki, wielki, pojedę, będę się doktoryzował, habilitowałem i katedra na mnie czekała, dobry Boże, o czym to człowiek nie marzy, kiedy jest młody, jak się przymierza do tego świata, żeby go dźwignąć, popchnąć z posad. No i co? Jak siedziałem tu, tak siedzę. Całe życie. Żonę pochowałem, córki już dawno wyfrunęły z gniazda, stateczne matrony, wnuki mam, raz do roku odbywa się zjazd rodzinny, przyjeżdża cała familia rozsypana po świecie, a przecież odczuwam jakiś smutek. Smutek niespełnienia. Przytłacza mnie moja własna zwyczajność, od której nie potrafiłem się wyzwolić, uciec. Co tu owijać w bawełnę, jaki tam ze mnie lekarz? Zwyczajna lekarzyna, Olu. Zamiast się rozwinąć, cofnąłem. Świat na mnie nie poczekał, a jago nie dogoniłem, życie przytrzymało mnie tu, w Orzelsku, mocno, twardo, nie chciało puścić. Przytrzymała mnie zwyczajność tego życia, jaka jest udziałem chyba nas wszystkich, bez wyjątków - jak mogłem rzucić Orzelsk, skoro się tu urządziłem, miałem mieszkanie wygodne, poustawiane meble, porozwieszane obrazki? Lenistwo, Olu, brak odwagi, przyzwyczajenie. Sam sobie jestem winien, że tak się dałem temu życiu. Czy też ono jest winne? A może wcale nie było aż takie złe? szare? zwyczajne? nudne? gnuśne? Może to, że wolę przepisywać zamiast antybiotyków środki napotne, nie oznacza mojej nieumiejętności? Może jednak i tu, w tej miejscinie do czegoś doszedłem? coś zyskałem? czegoś się nauczyłem? I zdarza mi się, Olu, że ktoś mnie wzywa do takiej panienki jak ty. Przychodzę, widzę: płonie w gorączce, ale płuca ma w porządku, gardło też, oskrzela czyste, więc skąd ta gorączka? Co na nią pomoże, jakie lekarstwo ma znaleźć stary doktor orzelski? skoro to nie jest gorączka z choroby, lecz z duszy? Czy nie tak, Olu? Staromodny ze mnie lekarzyna, bardzo staromodny, taki, który uważa, że większość chorób, zwłaszcza tych najcięższych, bierze swój początek w duszy. Zapłakała.

- Tak, Olu, płacz. Płacz jest ci potrzebny, przyniesie ulgę. Z zapaleniem płuc, anginą dałbym sobie radę, ale z gorączką duszy? Musiałbym być Bogiem, a jestem tylko starym człowiekiem, który schodzi już ze swojego własnego wzgórza w swoją własną smugę cienia. Czytałaś Conrada. Olu? Oj, bałwan ze mnie, naprawdę, kto dziś jeszcze czyta Conrada? Pewno nawet nie wiesz, kto to taki?

Płakała coraz rozpaczliwiej.

Tak, Olu, płacz. Stary doktor potrafi wyleczyć anginę, ale nie potrafi leczyć duszy. Umie wypisać receptę na polopirynę, ale nie dana mu jest łaska rozgrzszania. A i tobie, Olu, chyba nie na rozgrzszaniu zależy?! O nie najłatwiej: trzy pacierze, dwie nowenny, moja wielka, wielka wina i po

winie, i po skrusze. I już błoga, uspokajająca czystość sumienia. Kiedyś zamierzałem zostać księdzem, posądzałyś mnie o to, Olu? Wojna przeszkodziła. Za dużo widziałem na tej wojnie piekła, aby jeszcze wierzyć w niebo. Ale co możesz wiedzieć o wojnie, Olu, dla ciebie to historia, czasy kamienia łupanego nieomal. Więc nie zostałem księdzem, bo nie potrafiłbym udzielać rozgrzeszeń, i tak zostałem lekarzem. Pleciuga ze mnie, co, Olu? Płacz, płacz. Pamiętam cię, jak przybiegłaś do mnie z wynikiem sekcji, już wówczas była w tobie ta gorączka duszy. Twój ptak, Olu, nie potrzebuje niczego - ani od ciebie, ani od innych. Wiem: to okrutna prawda. Nie dla twojego ptaka. Dla ciebie. Dla nas, tych wszystkich żywych ptaków, które nie zadowolają się rozgrzeszeniem. Ale pomyśl, Olu, i o tych, mijających cię każdego dnia, a może ktoś z nich oczekuje jak zbawienia dobrego słowa? życzliwego gestu? zrozumienia? pocieszenia nawet? A ty ich mijasz obojętna, syta, zajęta swoimi sprawami. Truję, co? Wy, młodzi, teraz tak mówicie: ale truje, dinozaur. Płacz, Olu, płacz. A twojemu ojcu zostawię receptę na krople i tabletki, lecz to tylko chemia, Olu. nic więcej. Płakała rozpaczliwie.

Doktor Barański wyszedł, domykając drzwi.

- A pan czego tu sterczy? Ładnie to tak podsłuchiwać? - zapytał tubalnie doktor. - I gdzie się pan teraz pcha? Ola będzie spała. Już zrobiłem swoje hokus-pokus, abrakadabra.
- Panu to ciągle dowcipy w głowie...
- Nie, panie, nie dowcipy. Mówię świętą prawdę: córka teraz śpi. Zabraniam do niej wchodzić.
- Ale ona nie jadła śniadania!
- Potem, panie, potem. Teraz ja będę jadł śniadanie: u pana! Kroki mężczyzn potupały do kuchni.
- O, herbatka! I nawet pachnie aromatycznie. To pan, panie Marciniak, potrafi zaparzyć herbatę?
- Pan jest wręcz niemożliwy ze swoimi dowcipami, doktorze!
- A pan, panie, całkiem wyzuty z poczucia humoru.
- Z panem trudno rozmawiać. Proszę usiąść, pić herbatę, jeść chleb z serem i mówić mi tu bez abrakadabry, co z sercem mojej córki?
- Pana córka serce ma w najzupełniejszym porządku, zapewniam Pana.
- ~ To czemu tak wali?
- Bo to jej serce, panie, jeszcze nie rozgrzeszone. ~ A pan ciągle żartuje!
- A co mi pozostało? w moim wieku? Jak pan dożyje tych lat co ja, też będzie stale żartował.
- Trochę ciszej, doktorze. Sam pan powiedział, że Ola zasnęła. Posłyszała śmiech doktora. I zapłakała znowu. Gwałtownie. Rozpaczliwie.

Ojciec wchodził ostrożnie, na palcach, i chyba też oddech wstrzymywał. Wystawiła głowę spod kołdry.

- Nie śpię już, tato.

- A jak się czujesz, Olunia?

- Dobrze.

- A czemu masz takie opuchnięte powieki? - przestraszył się ojciec,

- Od snu, tato.

Przyglądał się jej, nie przekonany.

- Doktor Barański zrobił hokus-pokus i spałam jak zabita - uśmiechnęła się. - Nie poszedłeś do pracy, tato?

- Zwolniłem się. Zadzwoiłem do naczelnika, że rozchorowałam się i muszę czuwać przy tobie.

Uśmiechnęła się ponownie. Czuwać, pomyślała, to zupełnie nowy wyraz w twoim codziennym słowniku, tato. I naczelnik zamiast głaba także nowość.

- Jesteś bardzo głodna?

- Jak wilk-sklamiała. Po chwili przyniósł na tacy bułkę i mleko.

- Doktor powiedział, że możesz jeść wszystko. I po masło wyskoczyłem, gdy spałaś - pochwalił się ojciec.

Bułka postrzępiona, masła za grubo, ser w pagórki i dolinki, ale jak na pierwszy raz-ujdzie, tato, pomyślała. I do sklepu poszedłeś, tato, no, wydarzenie, godne odnotowania w kronice rodu Marciniaków.

- Z czego się śmiejesz?

- Nie z czego, a z kogo. Z ciebie, tato. Powiedz, kiedy ty ostatni raz robiłeś komuś kanapkę?

- Kiedyś robiłem-obruszył się. -Lepiej mi powiedz, co należy wrzucić do garnka, aby ugotować rosół? Mięso i co jeszcze?

Naprawdę, zabawny jest ten ojciec. Chce gotować własnoręcznie i osobiście obiad? On?

Wodę, tato. bo inaczej wyjdzie ci pieczeń. Jarzyny, sól i to wszystko.

- Aha - powiedział z namysłem - wodę nalałem. Ale jarzyn nie włożyłem.

- Jarzyny najlepiej wrzucić na wrzący wywar - doradziła.
- Aha... wywar... z czego ma być ten wywar, Olu? - przeraził się ojciec.
- Załóż nóżki w kieszonki, spanieruj...
- Cóż ty bredzisz? Czyje nóżki? W jaką kieszonkę? Roześmiała się.
- Przypominam sobie swoje własne początki, tato. Nie przejmuj się. Rosół nie jest kurczakiem, więc nie ma nówek. Natomiast wywar, tato, to jest... wywar. Bardzo proste: mięso włożyłeś do garnka, tak?

\_ No tak...

- Nalałeś wodę, tak?
- Nalałem...
- I postawiłeś na gaz, tak?
- I postawiłem... Co ty, Ola, żarty z rodzzonego ojca...? - też się roześmiał.
- Żadne żarty, tato. To pierwsza lekcja sztuki gotowania rosółu. Teraz, gdy mięso zagotuje się razem z wodą, zdejmiesz burzyny i wrzucisz warzywa.

- Jakie burzyny? - przestraszył się znowu ojciec.
- Zwyczajne. Z mięsa, które się gotuje, wydzielają się takie różne paskudztwa i należy je zebrać łyżką cedzakową, aby później rosół był czysty i klarowny.
- Aleś ty oblatana, no, no... - mruknął z podziwem ojciec.
- Wiele się nauczyłam od czasu, kiedy mama... odeszła. Nie tylko sztuki gotowania klarownego rosółu, tato - powiedziała surowo, bez uśmiechu.

Ojciec spochmurniał również.

- Ola?
- Słucham tato?
- Musisz się wreszcie z tym pogodzić, Ola.
- Pogodzić się, tato, to bardzo wygodne słowo. Zacisnął usta.
- Idź już lepiej do tego rosółu, tato - powiedziała ze współczuciem. - Pewno w garnku pełno burzyn. Dziwne zjawisko, i skąd takie paskudne burzyny? Woda czyściutka, mięsko też w porządku, umyte,



zdrowe, świeże mięsko, a tu burzyny, szare, brudne, wstrętne.

~ Naprawdę, Ola...

- I czego jeszcze chciałbyś się dowiedzieć o sztuce gotowania klarownego rosółu?
- Patrzę na ciebie, patrzę i wprost cię nie poznaję. Pytam: czy to moja córka? Ta sama, co kiedyś?
- Twoja, tato, chociaż rzeczywiście - nie ta sama.
- Ale dlaczego, powiedz? Co między nami tak stanęło? Co nas rozdziela?
- Dawno temu, tato - odpowiedziała z namysłem - kiedy jeszcze babcia Józefa, pamiętasz? zapytałam ciebie: dlaczego my gnieździemy się w tej okropnej klitce, a babcia mieszka sama w takim wielkim domu? Powiedziałeś: porozmawiamy o tym dopiero wtedy, gdy będziesz w stanie to zrozumieć...
- Ja ci mogę zaraz wszystko wyjaśnić! - zawołał skwapliwie ojciec. zbyt skwapliwie.

Popatrzyła na tego swojego ojca z wielkim współczuciem.

- Pozwól więc, tato, że na twoje pytanie: co nas rozdziela, odpowiem ci twoimi własnymi słowami: kiedyś ci to, tato, wyjaśnię. Kiedyś. Gdy już będziesz w stanie to zrozumieć.
- Naprawdę - obraził się ojciec - to jest dla mnie cokolwiek za skomplikowana odpowiedź.
- Zupełnie jak z tym rosółem, tato. Nie przejmuj się więc na razie -i dodała z uśmiechem: - Chyba właśnie ci kipi.
- O Boże! - jęknął ojciec i pobiegł do kuchni.

Obudziły ją głosy. Ojca i kogoś drugiego. Po dłuższej chwili wsłuchiwania się rozpoznała głos Maglowej, która nalegała stanowczo, aby Olę natychmiast obudzić, ponieważ jest bardzo ważna wiadomość do przekazania. Ojciec natomiast upierał się, że absolutnie nie należy, nie wolno, gdyż Ola jest chora, nieomal umierająca i doktor Barański nakazał kompletny spokój. Maglowa na to przemówienie ojca odparła zwięźle, że poczeka. Usiądzie w kąciku i poczeka, aż się Ola obudzi.

Ze wszystkich osób z budy Maglowa była tą, którą zyczyłaby sobie oglądać na szarym końcu. Ale skoro już przylazła, jak zwykle wiedziona swoją maglową ciekawością, to niech ją zaspokoi i splywa.

- Tato! - zawołała - wpuść Maglową, nie śpię!
- No i widzisz, obudziłaś Olę - syknął ojciec. Maglowa weszła do pokoju i od razu usiadła na tapczanie. Bezczelna, pozbawiona taktu i w ogóle bez godności!

Tylko nie męcz Oli - polecił ojciec. Nos miał otynkowany na biało. Co on, do licha, w tej kuchni tynkuje? mąką poznańską na dodatek?

-Cześć, Olka - odezwała się Magłowa - i co się wygłupiasz z chorowaniem? nie masz kiedy? - Obejrzała się na drzwi, parsknęła śmiechem: -\ twój stary przewraca ci do góry nogami kuchnię, wygląda na to, że zaraz sam ułoży się w brytfance i wsadzi do piekarnika zamiast ciasta.

- Po co przylazłaś, Magłowa?

- Nie lubisz mnie. Prawda, Olka?

Takiego pytania nie oczekiwała. Uniosła się wyżej na poduszkach.

- Coś ty taka... nagle refleksyjna, Magłowa? Magłowa pochyliła głowę.

- Zaraz sobie pójde... Przyszłam ci tylko powiedzieć, że... a raczej prosić, bo jest pewna ważna sprawa do załatwienia, ale widzę, że z tego i tak nici, bo naprawdę wyglądasz na chorą. Lecz jeśli nie ty, to kto?

- Co tak przelewasz z pustego w próżne! Nie możesz się streścić? Jaka znowu ważna sprawa do załatwienia?

Magłowa wolnym ruchem ściągnęła z głowy czapkę. Włosy ma niebrzydkie, ciemnoblond, i gdyby ich nie ściągała tą głupią gumką, ale nosiła tak jak dzisiaj rozpuszczone, w lekkim nieładzie, byłaby całkiem, całkiem do rzeczy dziewczyna. W każdym razie nos wydawałby się mniej spiczasty i nie tak wystający.

- Streszczać się? Chodzi o to, Olka, że on nam nie uwierzy. Nikomu z nas. Nawet Malwinie powiedział: nie udawaj takiej dobrej, okręt z frajerem Kozubskim utonął.

- Z Kozubskim?

- Bo my go dziś, Olka... - Magłowa opuściła niżej głowę.

- Słuchaj - powiedziała - czy przyszłaś tylko w tym celu, aby mi nadać, co Kozubski powiedział do Malwiny?

Każda stwora swego amatora, pomyślała. Magłowa świnia, podlizna, chce mnie wpuścić w maliny. Poprawiła się wygodniej na poduszkach i powiedziała głośno:

- Jeżeli Kozubski powiedział, że przestał być wreszcie frajerem, to bardzo dobrze. Im mniej frajerów się pałęta, tym lepiej.

- Boże, Olka... - odezwała się cicho Magłowa, skubała nerwowo palcami spódnice, jakby to nie była spódnica, lecz rabatka do opielenia.

- Ty, Magłowa, nie do twarzy ci w pozie tragiczki. Nie potrafiłabyś jaśniej? dobitniej? Coś ty taka raptem oszczędna w słowach?

Magłowa wciąż skubała spódnice.

- Jaśniej? Mogę jaśniej: otóż zrobiliśmy dziś coś takiego, Olka, coś takiego...
  - Komu. do diabła?
  - Kozubskiemu - szepnęła ledwo dostłyszalnie Magłowa.
  - No, to jesteśmy w domu - powiedziała do niej kpiąco. - Przylazłaś podpuścić mnie na Kozubskiego, co? Wyobraź sobie, że mnie nie interesuje wyżej wspomniana osoba. Nie dam się nabrać na żadne zwierzenia.
  - Teraz ty się zgrywasz - Magłowa uniosła głowę. A cóż to? Łzy w oczach? Magłowa płacze? No nie, toż ta Magłowa powinna do aktorki cyrkłować, a nie na filologię polską, mija się z powołaniem!
  - Tak, zgrywasz się - powtórzyła Magłowa. - Ponieważ Kozubski cię obchodzi. I to bardzo. Więc nie patrz tak, jakbyś zamierzała zabić mnie wzrokiem. Tak, jestem Magłowa od magłowych plot, ale tym razem nie przyszłam węszyć ani cię podpuszczać na zwierzenia, żeby później oblatywać po kolei koleżanki i opowiadać: a wiecie, co za tym się kryje, że Olka Marciniak tak nagle zachorowała, biedaczka? Bo dostała gorączki z powodu wyrzutów sumienia!
  - Ja? Wyrzuty sumienia? Niby z jakiego powodu? - była tak wściekła że niewiele brakowało, aby krzyknęła do Magłowej: wynocha!
  - Z powodu Kozubskiego właśnie - z całym spokojem odparła Magłowa. - A wyrzuty sumienia stąd, Olka, że wczoraj nie krzyknęłaś w twarz Kaczmarkowi: to ty! nie Kozubski! Wszystko ty. Dudek! łącznie ze stłuczeniem okularów!
  - Widziałaś? - powiedziała tylko tyle, ta Magłowa zaczynała ją naprawdę niepokoić, jakaś odmieniona, inna niż zwykle, a co taką Magłową mogło odmienić? I te jej łzy? i ta nerwowość? i jakieś dziwne skupienie?
  - No jasne, że widziałam - uśmiechnęła się gorzko Magłowa - przecież nie na darmo mam obrotowe oczy i wszystko widzę, nawet to, czego nie ma. Tak, Olka. Widziałam. Od początku do końca. Dokładnie. Ze szczegółami. Kaczmarek pięknie to wymyślił i równie ślicznie rozegrał. Najpierw Potłukł Kozubskiemu z premedytacją okulary, a potem podstawił mu nogę. Więc cały czas widziałam identycznie to samo co i ty.
  - Ale i ty wzięłaś na wstrzymanie! Nie powiedziałaś prawdy! - krzyknęła.
  - Ale ja jestem tylko Magłowa od brudnych plot, czy nie tak jest ze mną, Olka? Czy ktoś się spodziewa po mnie szlachetności?
- Boże, co z tą Magłową!
- Czego chcesz? Może byś już sobie poszła? Męczysz mnie. Dostanę znowu gorączki.

- Nie zasłaniaj się chorobą, Olka. A i owszem, niedługo pójdę. Tylko jeszcze ci powiem, że nie byłaś tak świetnie schowana za płaszczami, w każdym razie obrotowe i wścibskie oko Maglowej cię wypatrzyło. Takie dwa chude, krzywe patyki mogą należeć jedynie do Marciniakówny. Nie obawiaj się, Olka - zaśmiała się Maglowa i otarła łzę ze spiczastego nosa - inni nie są tak spostrzegawczy jak ja. Więc poza mną nikt się nie domyślił, że tam cały czas sterczysz za płaszczami i przeżywasz. A ja wypatrzyłam twoje patyki i powiedziałam o tobie i Kozubskim specjalnie. Chciałam ci dopiec, Olka. Chciałam cię urazić. Chciałam, żebyś przeze mnie płakała. Tak. Odpłacić Marciniakównie pięknym za nadobne. Czy wiesz, ile razy płakałam przez ciebie w ukryciu? Łaziłam koło ciebie jak wierny pies. Przyznaję, owszem - Maglowa otarła następną łzę - że marzyłam o przyjaźni z tobą. Zawsze cię lubiłam. Nikogo tak jak ciebie. Jeśli zapytasz: dlaczego? - nie odpowiem. Bo nie wiem. Czy ktokolwiek zresztą wie, dlaczego lubi akurat tego, a nie tamtego? Ale ty, Olka, nie znalazłaś dla mnie nigdy dobrego słowa. Pomiałałaś mną. Pogardzałaś i dawałaś mi to odczuć. Należało już dawno się od ciebie odczepić, lecz mnie wciąż się śniła ta przyjaźń z tobą. Co za głupota! napraszać się o przyjaźń! Ja, córka geesowskiej sprzątaczkę z córką kierownika służby rolnej! To przecież o mnie powiedziała kiedyś Paszyńska, słysząc, że chcę zdawać na studia: a kto po twojej mamusi-sprzątaczce, Maglowa, przejmie miotłę? Mój ojciec zawsze powtarza, że każdy powinien być na swoim miejscu... Teraz bym siebie chętnie zbiła po pysku, że tak ci się narzucałam, Olka! Chcesz, zrobię ci szal przebój! Powiedz jedno słowo, a zrobię! Odwal się, Maglowa, razem ze swoim szalem! Odwal się. Zawsze się odwal, Maglowa. Od wszystkich, Maglowa, się odwal. Wszyscy są lepsi od ciebie. Maglowa, więc się odwal. Jesteś tylko wówczas użyteczna, Maglowa, kiedy maglujesz o bliźnich. O, tego się łatwo i chętnie, i nawet życzliwie słucha. Wszyscy maglują, wszyscy powtarzają cuchnące ploty, ale nikogo nie przechrzcieliście z taką bezmierną pogardą, tylko mnie jedną nazywacie Maglową - Maglowa przestała już ocierać łzy, ciekły strugami po policzkach. - Ale przedwczoraj rano czekałam na ciebie jak zwykle pod budką Zientarowej. Było tak bardzo, tak przejmująco zimno. Moje paletko jest stare, nędzne, podszyte wiatrem, przedmuchiwało mnie na wskroś, ale czekałam. Ciągle jeszcze marzyłam o przyjaźni z tobą. Bolały mnie oczy, przez pół nocy dorabiałam szydełkiem do tego swojego paletka ozdoby i wyobrażałam sobie, że tym ściboleniem zakryję, osłonię naszą biedę, bo przecież wiesz, ile zarabia moja matka, ile przepija mój stary, a ile trzeba posłać mojemu bratu na akademik i życie miesiąc w miesiąc. Moja matka geesowska sprzątaczkę, ośmiela się również czasami marzyć. Że my, jej dzieci, syn i córka, nie będziemy już w swoim dorosłym życiu musieli smakować na co dzień tej pogardy, która jest udziałem mojej matki. Tak moja matka wyobraża sobie w swoich marzeniach, że wykształcenie pozwoli nam zdobyć szacunek ludzi. Oczywiście, moja matka, stara plotkara, marzy o takich sprawach między jednym wyglądnięciem przez okno a drugim. Kiedy rozprawiacie o mojej matce, wydawać by się mogło, że ona niczym innym się nie zajmuje, tylko tym wyglądaniem przez okno. Mój Boże, jakby nie sprzątała tego cholernego geesu przez trzy czwarte dnia i jakby nie chodziła do Węclów dorabiać czyszczeniem jajek. I jakby tylko ona jedna w całym Orzelsku zajmowała się dociekaniem: a co za tym się kryje? Ach, mniejsza z tym, Olka! Więc czekam na ciebie pod budką. Palto jak nowe, myślę. Szal - przebój. Olka zobaczy mój szal, powie: jaki ładny. Zrobisz mi taki sam, Maglowa? Idziesz. Uśmiecham się do ciebie. Ty, Maglowa!, parskasz z pogardą, nie możesz znaleźć innego obiektu dla swojego uwielbienia? I po tym moim uśmiechu bach, bach! chlast, chlast! Pewno, to tylko Maglowa, córka sprzątaczkę i plotkary. Przyczepiła sobie parę kłaków wełny i jest za modelkę, wyśmiewa moją pracę Joluska. Jeszcze mam nadzieję, że powiesz chociaż jedno słowo w mojej obronie, że nie pozwoliś im się tak nade mną znęcać, tak ujadać. Ale nie. Ty, Olka, śmiesz się. Razem z nimi. Boże, jak ciebie i was wszystkich wtedy nienawidziłam.

Magłowa umilkła. Łzy jej obeschły. Oczy płoną.

Trzeba coś do niej powiedzieć, koniecznie, ale co? co jej powiedzieć, tym płonącym oczom?

- Magłowa, ja...

- Och, nie wysilaj się, Olka! I co mi się przyglądasz, jakbyś mnie widziała po raz pierwszy w życiu? Tak, to tylko ja, wasza Magłowa, koleżanka Co Za Tym Się Kryje, jak trafnie nazwał mnie Kozubski. I po cholerę ja się tak przed tobą wynętram? I znowu poniżam?

- Ależ nie! nie. Magłowa! Ja...

- Och. Olka... nie potrzeba mi twojej litości. I nie przyszłam po to, aby lać przed tobą słzy! Odważyłam się przyjść nie zapraszana do twojego domu, za co bardzo przepraszam, ale chodzi mi o Kozubskiego! O, matko, Olka, przestań tak wytrzeszczać gały! To nie ja się w nim Kocham. Ani nie on we mnie. Żebyś jednak słyszała, jakim on tonem powiedział do Malwiny: nie udawaj takiej dobrej, okręt z frajerem Kozubskim utonął. A do nas: udzieliliście mi świetnej lekcji, za co wam pięknie dziękuję. Nie zapomnę jej do końca życia. A potem, Olka, odwrócił się do nas plecami i zaczął iść ku drzwiom.

Ta dziewczyna siedząca na brzegu tapczanu, zwana przez wszystkich Magłową, tak zdaje się dobrze znana, od tylu lat, jeszcze z powszechniaka, a nie znana zupełnie. Obca. Nieznajoma. Nos się jej co prawda nie zaokrąglił ani nie skrócił, sterczał jak zwykle spiczasto i ostro, ale tylko nos ten sam, bo już usta, oczy, wyraz twarzy, nawet pochylenie głowy i układ rąk na spódnicy - inne, nowe, nie znane. Tak jakby tę dziewczynę, zwaną pospolicie Magłową, coś bardzo, ale to bardzo bolało.

- A Dudek krzyknął: kłusem, facet, bo ci zwierzchność nauczycielska nawieje i komu teraz doniesiesz? - dokończyła Magłowa, zaszarpała spódnicą.

- Łukasz? Łukasz doniósł? Co ty, Magłowa pleciesz? Łukasz nie taki! -krzyknęła.

Za głośno: ojciec natychmiast pojawił się w drzwiach.

- Prosiłem cię - powiedział do Magłowej - żebyś Oli nie denerwowała. Co tu się dzieje?

- Nie przejmuj się, tato. Takie nasze dziewczyńskie, fajne zresztą sprawy - usiłowała się do ojca uśmiechnąć, lecz serce waliło: co oni zrobili Łukaszowi? co?

- Cała w wypiekach...

- To od śmiechu, tato. Chichramy się jak dwie idiotki... Zmniejsz gaz pod rosotem. Rosół, żeby był dobry, powinien ledwo, ledwo się gotować, na bardzo małym gazie, rozumiesz, tato?

- Aha-powiedział ojciec.

- A czemu masz nos w mące?

- Nos? w mące? - splotzył się ojciec, machnął ręką - a, tam takie... moja tajemnica. Niespodzianka.

- To idź do swojej niespodzianki, tato. Tu wszystko okay! Obrzucił je podejrzliwym spojrzeniem, lecz wyszedł.

- Coście mu zrobili, Maglowa? Mów natychmiast.

- Ciszej, Olka. Właśnie ci opowiadam: co. Spręż się w sobie, przymknij oczy, uruchomij wyobraźnię; takie żeś ostatnio zasunęła wypracowanko z polaka o tym, czego nasz wieszcz Adam doświadczał, wpływając w przestrzeń bujaną przez zieloność, że polonistce opadła szczęka ze zdumienia, a ja zaczynam się obawiać konkurencji...

- Maglowa, nie żartuj. Mów o Łukaszu.

- Właśnie mówię: do tego, co zaraz nadam, potrzebna jest wyobraźnia duszy. Ja nie kpię, Olka. Widzisz go, tego Kozubskiego, oczami duszy, jak leci z jęzorem do dyra, donosi parszywie, od a do zet, dokładnie: Dudek chuligan, Dudek się nad nim znęca, Dudek przewalił go na schodach, Dudek mu celowo stłukł bicykle. Doniósł, a czy ktokolwiek z nas plamił się donosicielstwem? Nikt nigdy. Wszystkie nasze nędzne i świńskie sprawy załatwialiśmy między sobą. We własnym zakresie. Sami. Nawet ja, Maglowa, czymś takim się nie splamiłam.

- Nigdy nie uwierzę, żeby Łukasz doniósł!

- Ciszej, Olka, znowu będziemy miały wizytę twojego ojca. A powiedz, co byś pomyślała o Kozubskim, który przyszedł dziś rano do budy z nochalem jak baniak i śliwą na czole wielkości jajca? i swoim zwyczajem powiedział uprzejmie: dzień dobry, a mnie, zwykłą Maglową, nawet przepuścił w drzwiach? I usiadł w tej swojej oślej ławce, wyciągnął gazetę, a jakże, a Dudkowi, który zapytał: no i, facet, jak samopoczucie? odparował: dziękuję, w normie. Powiedz, z ręką na sercu, gdybyś była tam z nami, razem, czy szlag by cię nie trafił? Nie miałybyś po dziurki w nosie jego opanowania? spokoju? taktu? uprzejmości? Tego wszystkiego, czym tak prowokująco podkreślał przepaść, jaka go od nas, prostaczków i chamów, dzieli? Żeby chociaż błysk wściekłości pod nowymi bicyklami, ale nie - uprzejme opanowanie. Kpił z nas tym opanowaniem! Przecież wiedział, że wielu z nas widziało, co zrobił Dudek. Byliśmy wobec jego spokoju, uprzejmości nędznym, godnym politowania barachtem. Dudek aż się zwinął po „dziękuję, w normie” Kozubskiego. Może on, ten siłacz nad siłaczy, aż się modlił, aby go Kozubski opluł? Może wówczas poczułby się nie aż taki marny, nie aż tak podły? Bo przecież to, co wczoraj Dudek wyczyniał z Kozubskim, było zwykłą podlizną, prawda! Olka? Przyznaj się, tylko uczciwie, dlaczego nie krzyknęłaś na schodach że to nie Łukasz! A on tak liczył na ciebie. Na ciebie jedną, Olka. Wciąż jeszcze liczył. On się w tobie zadurzył od pierwszego spojrzenia. A ty W nim, nie zaprzeczaj, chociaż, oczywiście, nie dałaś mu nigdy najmniejszej satysfakcji, udawałaś zawzięcie, że masz go gdzieś! Więc dlaczego nie zawołałaś: nie on! I wy! wy wszyscy doskonale wiecie, że każdy z nas tu obecnych jest zdolny podstawić drugiemu nogę, ale właśnie ten cholerny Kozubski - nie!

- Nie dręcz mnie. Maglowa. Proszę. Proszę.

- Wchodzi Piecolog. Wiesz, Olka, dobrze, jaki jest Piecolog. Komiczny facecik. Fujara. Od lat zajmuje się uzdrawianiem kominów, a kogo te kominy obchodzą, powiedz? On ma świra ten Piecolog i

tyle, i jeszcze te jego powiedzonka do nas, młodzieży, przyszłości kraju, narodu itepe. Każdy w Orzelsku wie, że Piecolog to fujara, nawet dyro mu wychowawstwa nie powierzy, bo w jaki sposób taki Piecolog może wychowywać młodzież? Więc kim jest Piecolog? Nikim. Taki nikt, Olka, co nie? I oto wchodzi do pracowni, pierwsza geografia, od razu spostrzega śliwę i nochal Kozubskiego. Patrzy na nas. Odzywa się, że to haniebny postępek, pobić kolegę. Jeszcze nim skończył tę swoją tyradę o haniebnosci, wbiega sekretarka, wywołuje Kaczmarka do dyra. Wszystko się robi jasne jak na dłoni, czy nie tak, Olka? Ktoś doniósł na Dudka. Pokazał palcem. Kto? No, powiedz sama, kto z nas mógłby zakolaborować? Ty? Ja? Węcel? Tadek? Kaśka? Nawet Matula, pies Komornickiego, nie.

Przymknęła oczy. Jakby ją poraziło oślepiające światło. Łukasz... mój Boże... Łukasz. Poszedł do dyra i doniósł. Jakie to łatwe rozwiązanie. Jakie proste. I jakie oczywiste.

- Dudek wrócił dopiero w połowie lekcji. Przepuszczony przez wyżymaczkę. W charakterze zdeptanej ściery. Płonęły mu tylko uszy. Reszta Dudka Kaczmarka była szaropopielata.
- A Kozubski? - ośmieliła się zadać to pytanie.
- Kozubski siedział sobie w swojej oślej ławce i ani mrugnął. Nic. Spokojniuteńki. Pewny siebie. Poza. Wspaniały. Kulturalny. Taktowny. Działający po angielsku jak Anglik.
- I co?
- Przerwa. Nawet nie pytam Dudka o szczegóły. Nie pytam Dudka o nic. Wszystko jest oczywiste. Prawda, Olka, że jest wszystko oczywiste? I nawet, powiem ci, nawet takie przyjemne, ach, Olka, bardzo, bardzo przyjemne, proszę: oto mamy wśród siebie kolabola. Ach, to nas nawet nie wścieka, nas to, Olka, satysfakcjonuje.

Opadła na poduszki. Ona ma rację, ta Magłowa, nikt z nich dotąd nie splamił się czymś tak odrażającym jak donos. Cokolwiek by zrobił Dudek, nie ma usprawiedliwienia dla Kozubskiego, donosiciela. Byli tylko zwykłymi dziewczynami i chłopakami z małej miejsciny pod tytułem Orzelsk, wymyślali sobie często i gęsto od świni i jeszcze gorzej, inwektyw znali sporo; często w odwecie za coś robili komuś ordynarne świństwo, lecz wszystkie porachunki załatwiali między sobą. Nie posługiwali się białymi rękawiczkami, nie umieli robić świństw elegancko; cóż, może i brak im kultury, a przede wszystkim ogłady, ale gdzie się mieli uczyć i od kogo? skoro nawet luksus willi Komornickich poza luksusem i szmałem nie ofiarowywał im niczego? Aż pojawił się Łukasz Kozubski ze swoim: „dzień dobry”, „dziękuję”, „przepraszam”, ze swoim działaniem po angielsku, ze swoim taktem i z tą swoją dumą, nawet hardością, która pozwoliła mu wpraszać się do ich towarzystwa i skazała na izolację w oślej ławce. Nikomu nie zawadzało. Nikogo nie zaczepiał. Nikomu nie wyrządził najmniejszej krzywdy. A jednocześnie stale, ciągle zaczepiał, drażnił i prowokował, bo był inny. To on przecież musiał wówczas w tym angielskim działaniu na pierwszej lekcji z Kwaśniewską przekonywać, jego ojciec, drań, nie jest draniem, to on musiał swojego ojca poinformować o mieszkaniu Kwaśniewskiej, nikt inny, tylko on, Banaszak nie miał racji, żaden ze zwartej paczki urzędasów, którzy zamierzali napuścić wokół nowego naczelnika trochę smrodu, nie zdradził, nawet Paszyński. Kozubski doniósł ojcu. Tak. I nie pochwalił się przed nikim, i nie próbował już więcej bronić przy nich swojego ojca. On po prostu wierzył, że wszystko

pomiędzy nim a nimi ułoży się z czasem. Że potrafi ich przekonać do siebie. Z taką żarliwością prosił Komornickiego: przepuść mnie Z taką godnością podał jego brudasy. Z takim bezradnym wyrzutem powiedział: Ola. A takie miałaś ładne imię. Dobrze, budzące zaufanie: Ola. A jednak to wszystko okazało się zwykłym bajerem. Parawanikiem, za którym ukrywał się nędzny kolabola. Kozubski nie wytrzymał ciśnienia. Kozubski jest słaby, a nie silny, jest tchórzliwy, a nie odważny, wystarczyła podpucha Dudka i Kozubski pękł, pognął do dyrektora. Tak, Magłowa, masz rację. Szkoda, że zachorowałam i że mnie dziś przy tym nie było. I mnie byłoby przyjemnie. Przystałoby mnie uwierać, palić odzywka Kozubskiego o tym, jakie to ja mam imię. Bo to też była zwykła odzywka, nic więcej. O, Boże, a ja tak pragnęłam czołem o czoło... Tak, Magłowa, masz zupełną rację. Nareszcie zrzuciłabym z siebie ciężar, przestałyby mnie gnębić wyrzuty sumienia, że nie krzyknęłam na schodach: to Dudek! I tobie, Dudek, w tym momencie, kiedy przekonałeś się, że Kozubski jest nędzny, tchórzliwy, też przestało doskwierać tyle, tyle spraw. z tą główną na czele: wspomnienie czwartkowego spotkania u Maćka, dwadzieścia dolców, za które ty, taki silny, pragnący rekordów olimpijskich, pozwoliłeś sobie nakopać w tyłek. I ciebie także, Joluska, przestało piec wspomnienie miłości za zielone do Komornickiego, twojej zdrady wobec Tadka i twojego pocałunku z Maćkiem, liczonego na czas. A i ty, Tadek, uwolniłeś się za jednym zamachem, dzięki Kozubskiemu, od wszystkich upokarzających chwil, w których patrzyłeś, jak Maciek obejmuje twoją dziewczynę, jak nią pomiata w twoich oczach, jak się nad wami obojgiem znęca, pewny, że ty. Tadek, nie odważysz się na słowo protestu, gotowy do aportów podobnie jak Matula. Pewno nawet i ty, Matula, przypomniałeś sobie wczoraj czasy, w których ujeżdżałeś Komornickiego? Każdy z was przeżył swój mały, mizerny triumf. Swoją satysfakcję. Bo każdego z was... z nas Kozubski drażnił, poniżał tym, że był inny. Lepszy. Może tylko ta głupia Malwina w swojej dobrej poczciwości opuściła głowę i zamiast radochy poczuła wielki, wielki smutek: że Kozubski tak zawiódł.

- A Malwina? - zapytała Magłową.

- Co: Malwina?

- Gdy Piecolog wyszedł... ?

- Ach, Malwina! Ona wyskoczyła z ławki i zawołała: nigdy nie uwierzę, że Łukasz jest taki!

- To do Malwiny podobne. Malwina nie potrafi myśleć źle o innych -powiedziała i roześmiała się gorzko. - Cholerna ciamciaramcia. Słodziel. Idiotka.

- Ależ ty jej zazdrościsz, Olka! Też byś chciała być taka, jak ta idiotka Malwina, co? - zapytała Magłowa, mrużąc oczy.

- Och, Magłowa, co mi tu wyskakujesz z Malwiną! - powiedziała gniewnie i zaśmiała się znowu, myśląc o swojej przeraźliwej głupocie; ten Kozubski... wydawał się taki bliski, taki potrzebny i żeby czołem o jego czoło...

- Śmiejesz się, Olka? -zapytała Magłowa. -Zupełnie jakbym słyszała Paszyńską. Ona roześmiała się podobnie: szyderczo, z zawziętością, gdy tylko Piecolog wybył za drzwi. Śmiejąc się powiedziała: a znacie



to przysłowie o jabłku, co to niedaleko pada od jabłoni?

Ustyszała ten cichy, zawzięty śmiech Krystyny. Powiedziała do Magłowej:

- Zaczynasz być nudna. Nie mamy o kim rozmawiać? Musimy o kolabolu?
- Więc i ty uwierzyłaś?

Milczała. Co tu odpowiedzieć? Jak nie uwierzyć?

- Więc i tobie było to potrzebne?
- Psychoanalityczka! - zawołała gniewnie, popatrzyła wrogo na Magłową. - Idź już. Dziękuję, że przylazłaś. Mam dość wrażeń.

Magłowa znowu skubnęła spódnicę.

- Za chwilę pójdę, Olka. Musisz jednak jeszcze trochę się posprężyć, ponieważ to nie jest koniec. Więc Krystyna się roześmiała i powiedziała o tym jabłku. A Kozubski, o! Kozubski jest inteligentny, nie żaden ćwok, już wiedział, co teraz będzie grane. Przewidująco ściągnął bicykle, pewnie nie miał następnej, zapasowej pary. Widzisz go, Olka? Dokładnie? Tego Kozubskiego, który powoli zdejmuje okulary i chowa je do torby? Oczy ma wypukłe, brązowe, nagie. To zastanawiające, jak zwykłe okulary odmieniają człowiekowi twarz i co czyni z twarzą brak tych okularów. Oczy Kozubskiego nagle bezbronne, jakby obnażone. Widzisz te oczy, Olka? Czy już patrzą na ciebie? Widzisz, jakie harde? pełne zastanawiającej godności? Nie proszą cię o nic. Nie próbują się nawet usprawiedliwiać. Mil czą. Czekają. Czy jeszcze w kogoś wierzą? Jeszcze komuś ufają? Może tak, może nie. Nie wiem. Nie wiem. Wiem tylko, że nie ma w nich strachu i że nie są pokorne. I że ciągle nie są poniżone! To nie do wytrzymania, te oczy Kozubskiego, Olka! Malwina krzyczy: nie uwierzę!, a Kozubski zaczyna się uśmiechać. Do Malwiny. Ty, matka, mów! Dudek, zbliża się do Malwiny, wciska ją w ławkę; ty, matka, siedź, nie mieszaj się i nie podskakuj. Proszę cię grzecznie, matka. Krystyna ciągle się śmieje. Jabłko, powtarza, niedaleko od jabłoni. Komornicki woła: Dudek, szkoda rąk! Węcel od okna: kocówę by mu! Lecz Komornicki mruży rzęsy, cedzi: nie, panowie, nie poniżajcie się, panowie. On nie zasługuje nawet na kocówę. Matula! w moim imieniu wraz z ukłonem ode mnie, cedzi dalej Maciek, bądź uprzejmy dać hrabiemu pstryczka w nos. Pstryczek w nos, panowie, to jest to!

- Nie, Magłowa, nie! Nie tak! Nie w ten sposób!

- Ależ tak, tak, Olka! A czemu by nie? No więc spręż się jeszcze, bo to się nam podoba, bardzo podoba, ten pstryczek. To jest to! w sam raz dla kolaboli! Tylko pstryczek w nos, nic więcej! Sprężyłaś się, Olka, wystarczająco? Widzisz nas? Podchodzimy kolejno i małego, tyciuteńkiego pstryczka w nos Kozubskiemu.

- Przestań! Nie mogę tego słuchać!

- Dlaczego? Nie złożyłabyś palców do pstryczka? aby udowodnić, że pamiętasz to powiedzonko o stworze, co swego amatora? i że to ciebie nie dotyczy? Dopiekłam ci, Olka, w szatni, co nie? Każda

stwora znajdzie swego amatora! Nogi na becze prostowane! To jak? Nie podeszłabyś do Kozubskiego z palcami złożonymi do małego pstryczka? A ja, jak sądzisz nie miałam prawa do swojego osobistego pstryczka? A kto mnie przechrcił na Koleżankę Co Za Tym Się Kryje? Wy od wieków przezywacie mnie Maglową, ale to wy, swoi, a nie jakiś obcy bęcwał.

Ta cholerna Maglowa trafiała cały czas w samo sedno. W dziesiątkę. Tak by się to odbyło. Może mój osobisty pstryczek, pomyślała, byłby litościwie lekki, łagodny, ledwo muskający, może nawet ominęłabym ten opuchnięty, na nowo rozkwaszony nochal Kozubskiego, bo przecież chodziłoby mi nie tyle o siłę pstryczka, ile o udowodnienie wszystkim obecnym, że ja nie chcę czołem o czoło... że się tego wypieram. I jeszcze chodziłoby mi o zajrzenie w głęb oczu Kozubskiego. Przecież musiałby je w końcu spuścić. Przyznać się, że jest zwykły i słaby, taki jak my. Nie. Gorszy od nas.

- Do pstryczka dołączyliśmy efektowne powiedzonka. Donieś i na mnie! Nazywam się Węcel, nie zapomnij, Kozubski, Węc-el! A to ja: Jo-lu-ska! Cześć, Kozubski, Tadeusz cię pstryka! Pozdrów ode mnie swojego tatusia. Sie masz, Kozubski, to ja: Iwona. Poznajesz? Pamiętasz, jak mnie częstowałaś herbatą? Tu Krystyna Paszyńska zapytuje się, czy braciszek już w drodze? Jak mu dacie na imię?...

- Oszczędź, Maglowa! I idź sobie, wynoś się!

- Potem wyciągnął chustkę. Wylał krew z nosa. Chustkę wsadził do kieszeni. Wstał. Malwinie, chociaż go nie pstryknęła, powiedział: nie udawaj takiej dobrej. Okręt z frajerem Kozubskim utonął. A do nas: dziękuję wam, nauczyłem się od was wiele. I zaczął iść ku drzwiom. Dudek krzyknął: ty, facet, klusem! bo ci zwierchność ucieknie i komu na nas doniesiesz? Kozubski nie obejrzał się, wyszedł. Zdemaskowany kolabola. Znaliliśmy jego drogę: z pracowni geograficznej prosto do gabinetu dyra. Boicie się?, zawołał Węcel. Neeee! Pamiętasz, Olka? kiedyś w podstawówce bawiliśmy się w czarnego luda? Kto się boi czarnego luda? Nikt! Nikt się nie boi, ach, jak przyjemnie!

- Wynoś się, dobrze! Bo zawołam ojca!

- Zaraz, zaraz, spokojnie, Olka. Jeszcze kilka zdań uzupełniających. Kozubski nie wracał, zmiana warty wpychała się na chama do pracowni. Z wrzaskiem, że my ostatnio ciągle okupujemy a to geograficzną, a to inną. Pognaliśmy na górę. Kozubskiego wciąż nie ma. Dzwonek. Kozubskiego nie ma, dyra nie ma, sekretarka nie przylatuje, aby wywołać grupę chuliganów z drugiej licealnej na dywanik; za to Kwaśniewska jest. Włazi wesoła, uśmiechnięta, wiosenna nieomal, chociaż śnieg za oknem, głucha zima w listopadzie. Zaszczębiotała: a gdzie Łukasz? U dyrektora!, krzyknął Tadek. A po co?, zapytała Kwaśniewska. Co wy dzisiaj tak ciągle do dyrektora? Najpierw przed lekcjami Matuliński, a teraz Łukasz?

- O, dobry Boże!

- Widzisz, jak się streszczam? I to już właściwie koniec, Olka, całej mojej opowieści.

- Mów natychmiast, co było dalej! Co z Łukaszem! - krzyknęła.

- Ciszej, bo wywołasz starego z kuchni. Co z Łukaszem, Olka? Nie wiem. Wiem natomiast, co się działo z Matulą. Gdyby się pod nim ziemia wówczas rozstąpiła, to on by w tę czeluść skoczył bez

wahania. I co jeszcze? Aha, taka cisza się zrobiła dziwna, że nie do wytrzymania. Czy znasz taką ciszę, powiedz? w której nic, tylko ty, sam na sam ze sobą? ze swoim sumieniem? A ono się w tobie szarpie, szamocze, skowycze i też pragnie czeluści, aby się ukryć, zniknąć. A tu niczego zmienić się nie da, ani niczego odwołać. Wszystko już zaistniało, stało się. Kwaśniewska ciągiem gdzie ten Łukasz? Szliśmy razem do szkoły, narzekał, że go głowa boli, ponieważ wczoraj potknął się na schodach i mocno się potłukł. Nie wiecie naprawdę, co z nim? A my ciągle w tej ciszy. Co się z wami dzisiaj dzieje? zapytała Kwaśniewska. Wywaliła zeszyty na stół. Smółkowa, powiedziała do mnie, muszę cię pochwalić, ostatnio bardzo się podciągnęłaś w angielskim. Oby tak dalej. Musiałam podejść, odebrać zeszyt z klasówką. Czwórą. A Kwaśniewska dalej wywoływała nazwiskami. Malwina także się podciągnęła. Ty, Olka, jeszcze nie za bardzo. Dudek też zrobił dziwne postępy. Natomiast Łukasz... Połóżcie mu zeszyt na ławce, poleciała Kwaśniewska. Nikt się nie kwapił. Ten zeszyt Kozubskiego chyba popaliłby nam ręce. Wbrew oczekiwaniom, powiedziała Kwaśniewska, praca pisemna Łukasza nie jest tak dobra... Ma braki.

- O, dobry Boże... Braki!

- Załapujesz się, Olka, na te braki Kozubskiego? Już go nie ma wśród nas, już wybył, wyparował, i nie do dyra, bo to nie on kolabola, to Matula, który pragnie teraz dla siebie dziury w ziemi, czeluści i jest zielonkawy na gębie, i robi w portki ze strachu, bo co się z nim stanie na przerwie? kiedy się rzucimy na niego z wraskiem? Przecież musimy się rzucić, musimy choć w ten sposób uspokoić nasze sumienia, czy nie tak, Olka? A obok Matuli błąd jak ściana Komornicki, czy Komornicki też oczekuje naszego wrasku na przerwie? naszego odwetu? Bo przecież nikt nie wątpi, że to Maciek podpuścił Matulę, posłużył się nim, może za frajer, może za dolce? Komornicki kontra Kozubski, czy Komornicki potrafił zapomnieć Kozubskiemu te podarte brudasy? Nie poniżaj się aż tak, Komornicki; pamiętasz, Olka? A może Komornicki podpuścił i Dudek? Chociaż nie, każdy z nich: i Dudek, i Maciek, miał własne porachunki z Łukaszem. A Łukasz? gdzie jest teraz Łukasz? Dlaczego nie wraca? Zostawił torbę, białe, wyszedł, nie do dyra, więc dokąd? Ma braki, powiedziała Kwaśniewska. Sama musiała odłożyć zeszyt Kozubskiego na osłą ławkę. I oto tam leży ten zeszyt, niszczy nas, urąga rzekomymi brakami. Jest cisza, cisza trwa, Kwaśniewska się denerwuje: co z wami?, pyta, a my myślimy o tych brakach w angielskim kolegi Kozubskiego, który dzięki nim nie chciał być od nas lepszy.

- I co my zrobiliśmy, Magłowa? co?

- Potem już nie zrobiliśmy nic, Olu - Magłowa otarła jeszcze jedną łzę. - Potem zostaliśmy sami w tej naszej ciszy. Zaskrzybiała ławka. Zaskrzybiała podłoga. Dudek szedł ku Matuli i Komornickiemu, bo oni, Komornicki i Matula byli teraz razem, ramię przy ramieniu, głowa przy głowie, rozkazodawca i wykonawca; czy byli kiedykolwiek tak bardzo razem? tak zespoleni wspólnym strachem? wspólną podłością? Którego z nich najpierw uderzy Dudek? Lecz Dudek tylko zatrzymał się przed nimi, wsadził łapę w kieszeń spodni, grzebał, grzebał, bo te spodnie opięte na jego zwałach mięśni, wreszcie dogrzebał się do czegoś, co było zmiętym papierkiem, i położył ten paperek na ławce, ani bezpośrednio przed Komornickim, ani przed Matulą. Tak jakoś pośrodku. I właściwie się do nich nie odezwał, gdyż to, co powiedział, zabrzmiało bezosobowo: nie potrafiłem się nie skusić, powiedział Dudek, ale i nie umiałem z tego skorzystać. Oddaję, nie rozmiennie, te same. W całości. Nic nie jestem już winien. Cofnął się ku ławce, zabrał torbę, skierował do drzwi. Matula nagle krzyknęła: nie, Dudek, nie, proszę cię! Chociaż mnie

walnij! Słyszysz! Walnij! Uderz! Jego nie możesz, bo on kaleka, ale mnie tak! O nie, Matula, odpowiedział Dudek, nie moimi rękami. Moimi się nie uderzysz. I wyszedł. A potem... potem... - Magłowa urwała, zapatrzyła się w okno.

- Co potem? Mów. Wzruszyła ramionami.

- Wymykaliśmy się chyłkiem, jedno po drugim. Malwina, zaryczana, usiłowała mnie zatrzymać: trzeba coś zrobić, Magłowa, zrób coś. Niby co?, zapytałam. I poszłam. Nie na następną lekcję. Nie mogłam. Musiałam wyjść z budy. Zbiegłam na dół, weszłam do pracowni geograficznej, zabrałam tę pozostawioną przez Kozubskiego torbę, jego białe, i poszłam do szatni. Czyli uciekłam, Olka. Nawiałam. Stchórzyłam. Potem szwendałam się długo ulicami. Podeszłam pod blok Kozubskich, ale cofnęłam się. Bo co mu mogłam powiedzieć? Jakie słowo zaproponować, aby w nie uwierzył? I sama nie wiem, w jaki sposób przylazłam tutaj. Patrzę: przecież to blok Olki Marciniak. I nagle błysk: co za szczęście, że Olka akurat się rozchorowała, tylko Olka może nam pomóc.

- Nam?-zapytała cicho.

- Nam - odpowiedziała równie cicho Magłowa.

- Mówiłaś, że chodzi ci o Łukasza.

- Łukasz to właśnie my.

- Tak. Łukasz to właśnie my-powtórzyła za Magłową i pomyślała: jak jej na imię, tej Magłowej? Jak ona właściwie ma na imię?

- Nie wysilaj się, Olka. Na zawsze: Magłowa.

- O, Boże, Magłowa! Przepraszam...

- Och, Ola... - powiedziała tylko Magłowa. - Czy zbierzesz się w sobie? Dasz radę? Spróbujesz?

- Dam. Muszę.

- Trzeba poprosić twojego ojca, żeby cię zawiózł.

- Poproszę. Zawiezie. Łachy mam chyba w łazience. Nie wiem. Ojciec mnie wczoraj rozbierał, niewiele pamiętam. Tato!

Ale ojciec właśnie wszedł.

- Powiedz mi, Ola - zaczął, minę miał nieszczęśliwą, palce oklejone rzadkim ciastem - co należy zrobić, żeby ciasto dało się rozwałkować na makaron?

- Tato! Ja muszę natychmiast... Gdzie moje ubranie? Zawieziesz mnie zaraz do Kozubskiego, tato?

- Zwariowałaś? Doktor kazał ci leżeć!

- Ale ja muszę! tato!

- Och, i tak już nie zdążysz - powiedział ojciec.

- Dokąd nie zdążę?

- Bo Kozubski wyjechał. Dzwonił do mnie ten... - chciał powiedzieć swoim zwyczajem: trep, lecz chrząknął, spojrzał na Maglową - no, naczelnik, oczywiście, prosił, abym go jutro zastąpił w Urzędzie, załatwił za niego kilka bieżących spraw, ponieważ on właśnie syna odwozi do Elbląga. Co wam, dziewczynki?

- Kiedy dzwonił, proszę pana? - zapytała Magłowa.

- O, dobre pół godziny temu! Trajkotałyście tu jak najęte, pewno nawet i telefonu nie słyszałyście. A ja się zaplątałem w ciasto, cholera, bo ten makaron chciałem, żeby był do rosołu... i męczę się z nim od godziny, albo za twarde, jakies kamienne ciasto mi wychodzi, albo za rzadkie...

- Co ci jeszcze powiedział pan Kozubski, tato?

- Aaa, nic ważnego. Tyle, że syn poprosił, aby go natychmiast odwieźć do siostry matki, tej, wiecie, której mąż jest architektem wojewódzkim. O powody nie wypadało mi pytać, czemu tak gwałtownie zapragnął do cioci?, ale rzeczywiście - ciekawe, i co za tym się kryje?

- Właśnie - powtórzyła Magłowa - i co za tym się kryje?

- Jeszcze jeden ptak - odpowiedziała.

- Ptak? - zdziwiła się Magłowa. - Ptak?

- A to tak łatwo zabić ptaka. Prawda, Teresko? - nareszcie przypomniała sobie imię Magłowej.

- Tak, Olu. Bardzo łatwo-odpowiedziała Tereska, podniosła się.-To ja już pójdę. Cześć.

- Dziewczyny? co wam? o czym wy? Ola, znowu jakieś ptaki? - zdenerwował się ojciec.

- Do widzenia panu - powiedziała Tereska. Stuknęły za nią drzwi.

- Czy mogłabyś mi przynajmniej wytłumaczyć...?-ojciec gniewnie zaciskał usta.

- Musisz do ciasta dosypać więcej mąki, wówczas przestanie się kleić.

Ojciec ciągle szalał w kuchni. Biedak. A jak klął: no, przestań się mnie czepiać, ty diabelskie ciasto, wałkuj się.

Uśmiechnęła się przez łzy: w taki czuły sposób jej ojciec przemawia do makaronu. Tak bardzo się stara, że nawet makaron próbuje ulepić. W obyczajach tego domu istna rewolucja: ojciec plus makaron plus

rosół.

Obiad jest?

Pomyślała o matce. Dziś po raz pierwszy nie odwiedziła jej na cmentarzu.

Dziś oznacza czas teraźniejszy. Wczoraj - przeszły. Pomiędzy wczoraj a dziś zaledwie kilkanaście godzin. Tak krótko, a tak długo jednocześnie. I tyle się przeżyło między wczoraj a dziś. Jakby istniał jeszcze jakiś inny czas i dopiero on był prawdziwy.

W tym dzisiejszym Łukasz jest już w drodze. Odjeżdża ze świata zwanego Orzelsk. Okręt z frajerem Kozubskim utonął. Ach, nie, Łukasz, nieprawda, to nie tak, to ci minie, bo ty jednak jesteś inny. I nie chodzi nawet o to, że jakiś lepszy. Nie. Ty jesteś, Łukasz, po prostu silny. Tą dobrą siłą, jaką nosisz w sobie. Jaką noszą w sobie i Malwina, i pani Kapusta, i doktor Barański. I kto wie, ilu jeszcze ją nosi w sobie, pewno znalazłabym takich sporo, gdybym zechciała uważniej patrzeć na mijających mnie ludzi. Więc, Łukasz, pomyślała, płacząc, może któregoś dnia wrócisz tutaj, do nas, słabych, a wówczas będę mogła powiedzieć ci: jakie masz dobre imię, łagodne, budzące zaufanie.

Przytrzymując łzy powiekami, pomyślała, że bardzo pragnęłaby tak mu powiedzieć. I oprzeć się czołem o jego czoło. Ale to chyba nie będzie możliwe. Bo Łukasz Kozubski należy do czasu przeszłego. W tym, teraźniejszym, oddala się coraz bardziej i bardziej od Orzelska. W tym, teraźniejszym, zostaliśmy my, ze swoimi rozbudzonymi sumieniami. Dudek, Tadek. Matula. Magłowa, odtąd Tereska. Ja. I ja też. Aha, prawda, i jeszcze Komornicki... ale czy w nim się rozbudziło sumienie?

I zobaczyła go, jak siedzi w swoim osobistym fotelu, w swoich osobistych apartamentach, z kaleką ręką ułożoną na kolanie. Mruży oczy w mściwą kreseczkę. Nienawidzi? I już mu nic, poza nienawiścią, nie zostało?

Na pewno nic?

Przychodziłam do niego, najpierw czułam zazdrość, że ma aż tyle, a ja nie mam i nigdy nie będę mieć. Potem przychodziłam z litości dla kalekiej ręki. Litość, nic więcej, a to tak mało. To gorsze od pogardy. Chociaż i pogarda we mnie też była. Odrażający, myślałam. Podlec, myślałam. To ty, mammo, nie znając go zupełnie, potrafiłaś zrozumieć, że jego szmal nie daje mu szczęścia, że on jest biednym chłopcem, takim, którego należy pocieszyć. Ale żadne z nas, z naszej piątki, ani nikt z całej klasy nie ofiarował mu nigdy słowa pocieszenia. Spijaliśmy jego aperitify, żarliśmy jego torty, przeliczaliśmy jego dolce na złotówki, traktując go jak jelenia, który stawia i któremu za to stawianie warto się podlizać, a on obrastał w zaskorupiały pancerz, wołając coraz głośniejsze: szmal to jest to! Nic się nie liczy poza szmalem! Nie istnieje przyjaźń, godność, miłość, jest szmal. Biedny, trzepoczący ptak, schwyty w klatkę komfortu. Z osobistym fotelem, osobistymi apartamentami, którymi matka chciała zapłacić za wyrządzoną krzywdę. Ola, ja ciebie jedną... Ola, tylko ciebie... Och, Boże, a ja akurat tego nie... Jedyne, co jeszcze mogę zrobić dla ciebie, to zaproponować ci swoją przyjaźń. Ale nie taką za dolce. Taką, Maciek, jakiej nie znasz. Zwyczajną, prostą. Serdeczną. Taką, Maciek, której i ja muszę się dopiero nauczyć.

Wstała. Nogi zdrząły. Trzymając się ściany, dotarła do przedpokoju. Z kuchni dobiegły hałasy. Bardzo

dobrze, teraz musi być sama. Posuwała się, ciągle przy ścianie, w kierunku telefonu.

- Ola!

Jaki czujny. Trząsknął garnkiem, siłował się z ciastem makaronowym, a jednak usłyszał.

- Ola! Doktor kazał leżeć!

Ciasto miał na czole i we włosach, cały był w cieście, mące i czymś jeszcze, taki komiczny, taki czuły, taki pełen ustawicznego niepokoju, o mnie, pomyślała, on mnie kocha, więc może uda mi się, tato, dotrzeć i do twojej szuflady? ożywić serce małe, całkiem zasuszone?

- Ola! należało zawołać, że czegoś potrzebujesz!

- Muszę, tato, zadzwonić. Natychmiast.

- Do kogo znowu tak gwałtownie musisz telefonować?

- Do Komornickiego, tato.

- Co się dzisiaj z tobą dzieje? To natychmiast musisz jechać do Kozubskiego, to z kolei natychmiast dzwonić do Maćka. I wszystko jest takie natychmiast? Niczego nie można odłożyć na później? Przecież ten Maciek ci nie ucieknie!

- Obawiam się, tato, że już mi uciekł. Że już za późno.

- Ola! Dokąd uciekł? O czym ty bredzisz?

- Ciągle o tym samym, tato. O ptakach - powiedziała, uśmiechając się gorzko do tego swojego ojca, który ciągle niczego nie rozumiał, ale właśnie dzisiaj po raz pierwszy się uczył trudnej sztuki gotowania klarownego rosółu.